

Niech wieje
dobry
wiatr



Linda Olsson

innaGloria

Linda Olsson

Niech wieje dobry wiatr

Przełożyła Urszula Szczepańska

Tytuł oryginału: Let Me Sing You Gentle Songs

Jag driver av och an i mina rum och diktar for skuggorna och tanker vad jag alltid tdnlet, att det ar dikt blott som forsonar och forpliktar och ger sin ldleedom at vad ett liv har krdnlet.

Błąkam się po pokojach i piszę do cieni, myśląc, jak zawszem myślał, że tylko słowa mogą przynieść spokój, tylko słowa uzdrowić, tylko słowami zmyjesz, co życie splugawi.

Bo BERGMAN, Somnlos (Bezsennaść) z Aventyret

(Przygoda), 1

Annie-Lisie, mojej babci, mojej przyjaciółce

PROLOG

Astrid

Lipiec 1942, Wistra Sdngeby, Dalarna, Szwecja

Kiedy słońce zaszło za ścianę drzew, położyliśmy się na trawie i pochłonęła nas biała noc. Odtąd stale jest noc.

Veronika

Listopad 2002, Karekare. Nowa Zelandia

Nad nami bezlitosne słońce, podczas gdy świat wirowało niepojęty dokoła bezruchu, jakim byliśmy my dwoje. Potem gwałtowny huk zwycięskiego morza.

... nar det dagas.

... gdy wstaje dzień.

Podczas jej podróży był wiatr i śnieżna zawierucha, lecz z zapadnięciem mroku wiatr zamarł i osiadł śnieg.

Był pierwszy dzień marca. Jechała ze Sztokholmu w stopniowo gęstniejącym zmierzchu, który płynnie przeszedł w noc. To była wolna podróż, ale dała jej czas na myślenie. Bądź na zgłuszenie myśli.

Skręciła z głównej szosy za kościołem, a potem wąską stromą drogą jechała pod górę aż do ostatniego zakrętu, gdzie wybrała dziewiczy dukt. Nikt wtedy nie przejeżdżał, odkąd spadł świeży śnieg, i drogę między obłymi zaspami ścieliła nieskazitelna biel. Jechała wolno, oswajając oczy z ciemnością. Powiedziano jej, że na wzgórzu są tylko dwa domy, i dostrzegła ich kontury na tle nieba. Oba tonęły w mroku; nigdzie nie paliło się światło.

Minęła większy dom i nieco dalej, brnąc kołami przez śnieg, wjechała z drogi na frontowe podwórze drugiego domu; Zatrzymała się przed schodami prowadzącymi na ganek. Przejście zostało odśnieżone na jej przyjazd, ale do tego czasu napadało świeżego śniegu i teraz było tylko lekką wklęsłością w białej pierzynie. Wsiadłszy z samochodu, zobaczyła wystające spod śniegu martwe źdźbła trawy i oblodzenia. Uważając, aby się nie pośliznąć, dreptała ostrożnie między samochodem a domem, wypakowując bagażnik i tylne siedzenie. Jedynym dźwiękiem, kiedy wносиła do domu pudła i torby, było ostre skrzypienie śniegu pod jej stopami. Zostawiła włączone reflektory samochodu i światło padało ukosem na pozostawione przez nią ślady.

Sąsiedni dom był bezszelestnym cieniem, majaczącym w ciemności za tunelem światła, w którym się poruszała. Powietrze było suche i mroźne, jej oddech umykał z ust w obłoczkach białej pary, ulatniając się w noc. Niebo było czarnym bezkresem bez gwiazd i księżyca. Czuła się, jakby wpadła przez jakiś tunel do świata absolutnej ciszy.

Tej nocy leżała w łóżku, w którym jej ciało było obcym kształtem, w domu, który jej jeszcze nie znał. W bezgłośnej ciemności miała wrażenie, że jest nigdzie. Czuła się lekka jak powietrze.

Następnego dnia rano słońce ledwie zdołało przeniknąć białe niebo.

Otworzyła okno na lekki wiatr i zapowiedź dalszego śniegu w powietrzu.

Stała, wyglądając na świat, otulając się szczelnie czerwonym szlafrokiem.

Wspominała podróż, ale zagroziła swoim myślom drogę powrotną do punktu wyjścia. W zamian zaczęła myśleć o wielu podróżach wcześniejszych. Rozpakowywaniu bagaży w nieznanych miejscach, budowaniu gniazda wszędzie tam, gdzie dana podróż się kończyła, ze swoim ojcem jako jedynym elementem stałym. Wiedziała, że tym razem jest inaczej.

Dawniej przez całe życie podróżowała w jego towarzystwie, za rękę ze swoim ojcem, w drodze ku nowej zagranicznej placówce. Odkąd odeszła jej matka, zawsze trzymali się razem. I tak jakoś było, że nawet najbardziej egzotyczne miejsca stawały się tylko następnym przystankiem w ich wspólnej wędrówce. Ale ojciec, którego w grudniu odwiedziła w Tokio, miał teraz własne, osobne życie. Przestali być towarzyszami podróży. A ta podróż była samotną ucieczką. Podróżą bez celu. Jej życie zdawało się równie niepewne jak światło. Zawieszona w białej nicości.

Zamknęła okno, ale stała dalej, patrząc w dal. Sięgała wzrokiem poza rzekę i wieś, w błękitną przestrzeń lasów i gór. Krajobraz przed jej oczami wydawał się przedwieczny; kopulaste góry wygładzone przez lód i wiatr, wolno płynące rzeki i nieruchome jeziora. To była ziemia, która darzy skąpo i tylko za cenę ciężkiego trudu.

Obróciła się i spojrzała na drugi koniec pola. To, co skrywał wieczorny cień, teraz w smętnym świetle poranka widać było jak na dłoni. Drugi dom był większy, niż się zdawał: solidny piętrowy

budynek, który niegdyś mógł być pomalowany na żółto, ale wyblakł do nijakiej bladej szarości, wtapiając się w kolory nieba i śniegu.

Okna były pustymi czarnymi prostokątami. Wciąż nie widziało się żadnych oznak życia.

W koszu przy kuchni leżało drewno na opał, zapobiegliwie ułożone z suchymi szczapkami na wierzchu i większymi kawałkami pod spodem. Postanowiła rozpalić ogień i włączyła też kuchenkę elektryczną, by zagotować wodę na kawę. Gdy ogień powoli zaczął trzaskać, usiadła przy stole z kubkiem w dłoniach.

Przyjechała na nie wiadomo jak długo i przywiozła tylko kilka toreb z rzeczami osobistymi, książkami oraz płytami. Decyzja zapadła nagle, nie zostawiając wiele czasu na przygotowania. W istocie to była nie tyle decyzja, ile seria prawie nieświadomych pospiesznych działań. Czuła, że nie ma żadnych planów, żadnych przemyśleń; a jednak na jakimś poziomie jej umysł i jej ciało podjęły działanie i wykatapultowały ją w ten bezmiar spokoju.

Drugiego dnia dom wciąż zachowywał dystans. Widać było ślady niedawnego odnawiania - nowe tapety, nowa armatura i kafelki w łazience. Nowe szafki w kuchni, eleganckie i praktyczne, ale jakby trochę nie na miejscu. To był skromny, bezpretensjonalny dom z klimatem opuszczonego miejsca. Skąpo umeblowany, ze stołem i sześcioma krzesłami w kuchni, dwiema małymi sofami i stolikiem do kawy w salonie oraz dwoma łózkami w sypialni na górze. Wąskie, ręcznie tkane szmaciane chodniki tworzyły szachownicę z deskami podłóg, okna nie miały zasłon, tylko gładkie białe rolety. Nie prosiła o

podłączenie telefonu, ale przywiozła swoją komórkę. Trzymała ją w szufladzie nocnego stolika, wyłączoną.

Była osieroconą lokatorką w osieroconym domu.

Jej życie powoli odnajdywało własny naturalny rytm. Po tygodniu wypracowała swój rytuał poranków. Wstawała wcześnie, piła kawę przy kuchennym stole, obserwując, jak pokój wchłania nastającą jasność. Miała wrażenie, jakby dom ją zaakceptował, jakby zaczęli wspólne życie. Podeszwy jej stóp zaznałomiły się z drewnianymi stopniami schodów, jej nos przywykł do woni ścian, i stopniowo, znacząc maleńkie ślady, odciskała własne piętno. Obróciła sofę w salonie, tak aby siedząc, mogła patrzeć przez okno, i kupiła geranium w doniczce na kuchenny parapet. Stworzyła sobie miejsce pracy na jednym końcu kuchennego stołu: laptop stał otwarty, gotowy rejestrować słowa; notes, słowniki i pióra były starannie ułożone po jednej stronie. Z palcami na klawiszach spędzała czas wpatrzona w ekran, ale cokolwiek zdołała napisać, w całości usuwała.

Każdy dzień zaczynał się od spaceru, bez względu na pogodę. Jeśli nie zeszła do wioski, rzadko spotykała inną żywą duszę. Pewnego ranka, kiedy szła przez frontowe podwórze, zobaczyła przed sobą jelenia.

Stał nieruchomo, patrząc jej prosto w oczy, po czym odwrócił się bezgłośnie i jednym zwinnym ruchem zniknął za stodołą. Widywała na śniegu tropy łośi i lisów. Noce wciąż były zimne; po zmroku zima upominała się o to, co zostało darowane za dnia. Każdy poranek wstawał w szarości i mrozie.

Dom po drugiej stronie pola trwał w ciemności i ciszy. Przez kilka pierwszych dni nie była pewna, czy jest zamieszkały. Aż któregoś dnia, gdy poszła do sklepu w wiosce, wymieniła kilka słów z kasjerką i przedstawiła się.

- Jestem Veronika Bergman. Wynajmuję dom Malmsów na wzgórzu.

- Ach, więc jesteś nową sąsiadką Astrid - powiedziała kobieta.

Uśmiechnęła się i przewróciła oczami. - Astrid Mattson, tutejsza wiedźma. Nie lubi ludzi. Trzyma się z daleka od wszystkich. Żadna z niej sąsiadka, niestety. - Wręczyła Veronice resztę, dodając:

- O czym się na pewno przekonasz.

Dwa tygodnie później zobaczyła swoją sąsiadkę po raz pierwszy.

Stara kobieta była wręcz nieprzyzwoicie obnażona; samotna zgarbiona postać w ciężkim burym palcie i gumiakach, niepewnie drepcząca po oblodzonej drodze w stronę wioski. Dotąd chronił ją dom, ciemne okna lojalnie strzegły sekretów życia, które toczyło się wewnątrz.

Po porannym spacerze Veronika usiadła przed laptopem, ale wzrok jej umykał do pejzażu za oknem. A był taki moment, gdy czuła, że książka jest absolutnie gotowa, idealnie skonstruowana w jej głowie, i że proces zapisywania słów będzie czysto technicznym zadaniem, szybkim i łatwym. Że wystarczy odciąć się od świata i pójdzie jak z płatka. Że jedyne, czego jej trzeba, to święty spokój.

Lecz ekran wciąż świecił pustką.

Zapanowała niezmienna szara pogoda. Zupełnie, jakby czas tkwił w bezruchu. Nie śnieżyło, ale też w ogóle nie pojawiało się słońce.

Niewidoczne wrony krakały w milczącym skądinąd świecie.

Któregoś ranka, gdy podczas codziennego spaceru mijala dom swojej sąsiadki, zauważyła, że okno kuchenne jest otwarte. To była ledwie szparka, wystarczająco szeroka, by ktoś mógł wyglądać na świat, ale nieodslaniająca widoku wnętrza. Veronika przechodząc obok, pomachała. Wyobraziła sobie tam starą kobietę, w ciemności za szybą, ale nie mogła być pewna.

Myślała o książce, o ciągłym procesie przekształcania i przekomponowywania wszystkich swoich pomysłów i planów. To było tak, jakby książkę rozpoczęła w innym świecie, w innym życiu, pisał ktoś inny. Słowa przestały mieć związek z osobą, którą się stała. Tutaj nie było rzeczy, które rozpraszałyby jej uwagę, oprócz tych, które nosiła w sobie, i wszystko było w pełnej odświeżeniu. Teraz należało znaleźć nowe słowa.

Wtem, nareszcie, obietnica wiosny. Veronika stała na ganku, patrząc w niebo, które było bezkresnym niebieskim płótnem ze stadem wędrownych ptaków przypominających subtelną dryfującą czarną kaligrafię. Świt wstał bez żadnych oznak zmiany, dlatego skróciła swój poranny spacer. Teraz, z twarzą w słońcu, postanowiła zajść nad rzekę. Powędrowała w dół wzgórza, przecięła drogę i poszła dalej przez las. W cieniu u stóp jodeł wciąż zalegał krupiasty śnieg, ale lód na rzece już pękał, niosąc wielkie ruchome bryły po ciemnej

toni. Wiosenna powódź miała dopiero nadejść: śnieg w górach nie zaczął topnieć.

Trzymała twarz zwróconą ku słońcu, a kiedy wróciła do domu, przysiadła na frontowych schodach. Kamienie były ciepłe. Z małego plecaka, który leżał u jej boku, wyjęła notes i zaczęła pisać. Kiedy odłożyła długopis, ze zdziwieniem spostrzegła, iż dzień łagodnie przygasa; słońce ukośnymi promieniami sączyło się zza drogi przez wierzchołki drzew. Zamknęła notes, uniosła twarz do przygasającego światła i wzięła długi, wolny oddech.

I zdała sobie sprawę, jak wiele czasu minęło, odkąd właściwie napełniała płuca powietrzem.

En forsza virvel, en krusning...

Najmniejszy wir, zmarszczka na wodzie...

Astrid stała naga, wyglądając przez okno. Było późno i bardzo ciemno.

Gdyby nie biały śnieg, niewiele byłaby w stanie dojrzeć. Tylko żółte ślepia okien po drugiej stronie pola, nagle przebudzone po długim śnie.

Jej własny dom był pogrążony w ciemności, jak zawsze. Ciemny i ciepły. Solidnie go ogrzewała. Był organiczną częścią jej samej i kształty tej przestrzeni wrosły w jej ciało: poruszała się w niej bez wysiłku, nie zapalając świateł. Czasami ciemność przyciągała zwierzęta: łosie, sowy, nawet rysie. Zdystansowanych obserwatorów jak ona, ze swoją własną przestrzenią, odwiedzających ją na krótko.

Rzadko wyglądała przez okna: widok stracił wszelkie znaczenie.

Lecz oto była tam, przy oknie, otulona ciepłym mrokiem swojego domu, w skupieniu śledząca ruch po drugiej stronie pola. Skrzyżowała ręce, obejmując dłońmi piersi. Były ciepłe w dotyku, ciężkie. Pochyliła się do przodu, prawie muskając czołem szybę. W martwocie nocy widziała tylko ciemną sylwetkę kobiety poruszającej się w jasnym tunelu światła bijącego od reflektorów samochodu. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte - ziejący żółty prostokąt w czeluści nocy. Przeciągała językiem po zębach, w tę i we w tę, ślizgiem po ostrych kantach i płatach miękkich drzwi. Przez cały czas miała oczy zwrócone na drugi dom.

Jeszcze długo po tym, jak zgasły reflektory i zamknęły się drzwi wejściowe, stała przy oknie, obejmując się ramionami, przeciągając dłońmi po papierowej skórze. Wpatrując się w przestrzeń, która dzieliła dwa domy.

Spodziewała się czyjś przyjazdu, ale była zaskoczona własną reakcją. Faktem, że stoi przy oknie, obserwując.

Następnego dnia obudziła się wcześnie, jak zawsze, w pokoju za kuchnią, który był jej sypialnią. Przeniosła się na dół dawno temu, urządzając sypialnię tam, gdzie kiedyś była mała jadalnia. Nie zrobiła żadnego większego przemeblowania, przesunęła tylko stół pod okno, tak że cztery krzesła przy długim boku zostały dopchnięte do ściany, aby zrobić miejsce na wąskie łóżko. Ubrania trzymała w korytarzu przy kuchni.

Nie miała rolet, tylko paski spłowiałego perkalu rozsunięte na obie strony okna. Lubiła budzić się w ciemności. Przerazał ją powrót

wiosny i lata z nieustannymi białymi nocami.

Leżała bez ruchu, patrząc, jak zmienia się odcień sufitu, i nasłuchując. Głosy ciemności były nikłe, ale znajome. Umiała słyszeć śnieg, gdy dostrajał się do powoli rosnącej temperatury, wiatr, gdy lada chwila miał się nasilić, szelest małych stworzeń przebiegających przez twardą pokrywę śniegu, który tajał i na powrót zamarzał. Noc ustąpiła; nastał dzień. Usłyszała pierwszy odgłos poranka: krakanie wrony. Jakby niesiony światłem dźwięk wtargnął do jej domu. Nie poruszyła się, ale oczy miała otwarte, słuch wyteżony. Światło i dźwięk rozpuszczały swoje macki wokół pokoju, muskały ściany, sufit, podłogę. Prześlizgnęły się po jej kocu i zatrzymały. Obserwowała światło na suficie, kiedy pierwsze wątle promienie słońca przebiły szary przestwór. Nie było ucieczki; w końcu musi się poddać. To przyszło. Musiała się pogodzić i zacząć kolejny dzień.

Raptem, w momencie, gdy postawiła stopy na podłodze, dobiegły ją nowe dźwięki. Usłyszała otwieranie okna, potem drzwi. Odgłos kroków na zmrożonym śniegu, otwarcie drzwi samochodu, po chwili zamknięcie. Głosy życia.

Miała ustaloną poranną rutynę i nie lubiła zakłóceń. W swoim codziennym reżimie nie kierowała się dyscypliną, lecz wygodą. Stałość dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Dni miały swój schemat, niezależny od zmieniających się pór roku. W jej życiu chodziło o przetrwanie, zaspokajanie niezbędnych potrzeb, a potrzeby miała minimalne.

Nie robiła planów na przyszłość. Ogród był zaniedbany, dom

popadał w ruinę. Wiedziała, że ściany obłazą z farby, że pęka komin. Umierający dom z umierającym w nim ciałem.

Do wioski chodziła tylko w razie konieczności. Zwłaszcza teraz w zimie. Drogi rzadko były odśnieżane tam, gdzie samochody nie miały żadnego interesu, a topniejący śnieg zamieniał się w zdradliwy lód.

Nie bała się śmierci, ale życzyła sobie, by nadeszła na jej warunkach.

Ze złamanym biodrem dostałaby się w ręce tych, których bała się najbardziej. Tych, którzy tylko czekali, aż będzie potrzebowała ich łaski.

Przeszłość nie była dopuszczana do głosu. Przyszłość nie istniała, a teraźniejszość była cichą pustką, w której Astrid egzystowała fizycznie, ale uczuciowo nieobecna. Czekala, odwrócona od swoich wspomnień, co stanowiło stałe, wyczerpujące zadanie, pochłaniające całą jej energię. I były momenty, kiedy to się na nic zdawało. Kiedy ogarniały ją uczucia tak intensywne jak wtedy, gdy były świeże. Mechanizmy wybuchowe okazywały się nieprzewidywalne, postępowala zatem ostrożnie. Przez wiele lat dryfowała w cichej wodzie, cierpliwie oczekując ostatecznej fali powrotnej. I nagle to lekkie wzburzenie toni.

Wstała i rozpoczęła swój dzień. Umyła się, zrobiła kawę. Jej kuchnia była taka jak zawsze, ze starym paleniskiem na drewno pośrodku i elektryczną kuchenką z boku. Żar jeszcze się tlił, wystarczyło lekkie tchnienie powietrza i trochę drewna, by na nowo

rozpalić ogień.

Ssąc kostkę cukru, otuliła dłońmi kubek z kawą. Postawiła go na stole, bezwiednym gestem pogładziła popękana ceratę, równie znajomą jak jej własna skóra, i zgarnęła nieistniejące okruszki. Siedziała, popijając stygnącą kawę, gdy na zewnątrz wschodziło blade słońce. Jej oczy powędrowały do okna.

Stopniowo wkładało się życie. Nieproszone powracało do jej domu. Dźwięki. Otwieranie i zamykanie okien. Cicha muzyka z otwartego okna. Warkot odjeżdżającego samochodu. Spostrzegła, że włącza je do swego codziennego schematu. Z upływem dni obserwowanie sąsiedniego domu stało się centralnym punktem jej wczesnych poranków. Siadała przy stole na długo wcześniej, zanim ożywał drugi dom, czekając, podczas gdy rozpływały się cienie nocy. Skupiała spojrzenie na górnym oknie, gdzie pojawiały się pierwsze oznaki życia.

Stawała przy kuchennym oknie, czekając, aż z domu wyłoni się drobna postać i przejdzie obok. Uważała, by stać nieruchomo, wystarczająco daleko od szyby. Z rękami skrzyżowanymi na piersi, skulona w sobie, patrzyła, jak młoda kobieta mija jej dom, machając. Wreszcie, któregoś dnia, nieoczekiwanie uniosła rękę w odpowiedzi. To był niepewny, wolny ruch, i kiedy jej ręka opadła, spojrzała na nią, jakby zdziwiona tym, co zrobiła. Usiadła przy stole, kładąc obie dłonie przed sobą. Otworzyła je kilka razy i zamknęła, potem położyła płasko, spodem do dołu. Ręce starej kobiety, pomyślała. Przezroczysta, papierowa skóra rozciągnięta na wystających żyłach.

Plamy wątrobowe. Aczkolwiek zniekształcenie paznokcia na prawym małym palcu, w miejscu, gdzie delikatny koniuszek palca pięciolatki został przytrzaśnięty drzwiami stodoły, było na ręce starej kobiety nienaruszone czasem. I wgłębienie na spodzie lewego palca serdecznego. Tyle lat i wciąż tam było: stały widoczny ślad. Ku pamięci. Znamię po jej ślubnej obrączce.

Jej spokój został zakłócony. Zaczęła chodzić po domu z rękami założonymi do tyłu. Dni były szare, noce zimne. Wieczory się wydłużały i kiedy leżała, nie śpiąc, z dłońmi splecionymi na piersi, oczami błędzącymi po suficie nad łóżkiem, nasłuchiwała w skupieniu nowych dźwięków. Przyciszonej muzyki wydostającej się przez zapuszczone rolety. Pościeli strzepywanej przez okno na piętrze. Otwierania i zamykania drzwi wejściowych. Szybkich kroków na frontowym podwórzu.

Słuchała, czując, jak z zewnątrz naciera świat. Życie. Odwracała się twarzą do ściany i płakała.

I oto pewnego ranka, w pierwszy dzień maja, leżała w łóżku, czekając. Ożywał wiatr i śpiew ptaków. Ale nie dźwięki z drugiego domu.

Pokój stawał się coraz jaśniejszy; gotowa była wstać. Ale czekała dalej, wyteżając słuch. Później, kiedy usiadła przy stole, skupiła wzrok na sąsiednim domu. Okna były zamknięte; nie pojawiał się dym z komina.

Samochód milczał. Czekała.

Otworzyła okno i patrzyła. Oparłszy ręce na kuchennej ławie,

pochyliła się, wyglądając na zewnątrz. Dopiero gdy zimne powietrze wypełniło kuchnię, zamknęła okno.

Minęły dwa dni. Drugiej nocy obudziła się, wstała i podeszła do okna. Sąsiedni dom spowijała martwa cisza. Usiadła przy stole i patrzyła przez szybę. Kiedy smolista noc osiągnęła swój zenit, zza gęstej, czarnej ściany drzew za otwartym polem wyłoniły się z gracją ciemne kształty dwóch łośi. Owe zwierzęta poruszające się bezszelestnie po zeszłorocznej trawie były jedynymi oznakami życia w uśpionym świecie.

Astrid nie mogła dłużej spać. Spacerowała między swoim pokojem a kuchnią z kubkiem kawy w ręce. Samochód stał ciągle w tym samym miejscu. Ona nie mogła wyjechać. A jednak nie dawała znaku życia.

Ona mnie nic nie obchodzi, mówiła sobie. Nic o niej nie wiem. Nie mam żadnego powodu, by się narzucać.

Nie wiedziała o swojej sąsiadce nic więcej, niż to, co była w stanie zaobserwować. Młoda kobieta. Astrid nie miała już pewności w ocenianiu wieku. Dwadzieścia pięć lat? Trzydzieści? Szczupła, o ciemnychkręconych włosach. Niska. W każdym razie niewysoka. Któregoś dnia słyszała, jak ktoś mówił o niej w sklepie, ale jak to miała w zwyczaju, szybko wyszła. Veronika. Usłyszała imię.

Zauważyła, że znów rejestruje czas. Porę dnia, dzień tygodnia.

A czas biegł coraz wolniej i z każdą upływającą minutą coraz trudniej było jej oderwać wzrok od drugiego domu. On zaczął zajmować całą przestrzeń, wszystkie jej myśli. W końcu poszła po

kurtkę.

Kiedy wyszła na ganek i z wahaniem ruszyła przed siebie żwirową ścieżką, wciąż nie w pełni zdawała sobie sprawę, dokąd prowadzą ją stopy. Tak jak gdy jej ręka odwzajemniała machnięcie, teraz jej nogi działały niezależnie od świadomego umysłu. Poszła drogą w prawo i przez frontowe podwórze sąsiedniego domu. Nie było żadnych oznak życia. Zapukała do drzwi i zrobiła krok w tył, jakby szykując się do ucieczki. Ale nie doczekawszy się reakcji, podeszła jeszcze raz i zapukała mocniej. Wydało jej się, że słyszy miękkie dźwięki, jakby bosych stóp na drewnianej podłodze.

Kiedy otworzyły się drzwi i stanęła twarzą w twarz z młodą kobietą, zdała sobie sprawę, iż nieodwołalnie powróciło życie. Coś ją obchodziło.

... sag, vem raddar dig da?

... powiedz, kto cię wówczas ocali?

Poprzedni dzień był bardzo obiecujący, z jasnym słońcem na śniegu.

A wtem znów pochmurno i zimno. Veronika siedziała przy kuchennym stole, patrząc, jak wzmaga się wiatr. Nie było kolorów, tylko odcienie szarości i bieli. Nagie drzewa poruszały się niespokojnie, a śnieg wzbijał się i kłębił w nieregularnych zrywach. Czas jakby stanął w miejscu, zastygły w bezruchu na ziemi niczyjej, która była ni to zimą, ni latem.

Mieszkała na tej wsi od dwóch miesięcy. W końcu, po jakimś czasie, zaczęła pisać. To był spory wysiłek, a nie, jak się spodziewała,

szybki proces. Miała wrażenie, jakby jej opowieść stanowiła delikatną pajęczynę wymagającą najwyższej ostrożności, aby nie zerwać wątku.

Kontrakt z wydawnictwem i dyskusje wokół książki należały do innej epoki, odległej jak prehistoria, i z trudem przywoływała swą radość i entuzjazm dla nowego projektu. Jednak słowa się wyłaniały. Boleśnie, powoli. Słowa nieoczekiwane.

Był ostatni dzień kwietnia, wigilia Valborgsmass.* Świątowanie końca zimy i nadejścia wiosny. Niestety, jak zwykle, dzień przenikliwie zimny z mroźnym wiatrem. Myślała, że pójdzie na swój codzienny spacer po południu i obejrzy we wsi ognisko. Ale była zmęczona.

Przedwiosennie zmęczona. Usiadła przy kuchennym stole przed laptopem. W pokoju było ciepło - rozpałała pod kuchnią - ale wciąż czuła chłód. Słowa na ekranie zdawały się malować prawie zapomniany pejzaż. To tak, jakby się powoli rozpakowywała, wyjmując jedną scenę po drugiej, wystawiając je na to skąpe światło. Wysilek był ogromny. Tu i teraz każdy fragment wydawał się nie na miejscu, jak ubrania kupione na wakacjach. Odległy i bez żadnego związku z nią samą, z tym miejscem na ziemi. Podniosła wzrok i spojrzała w okno, ale senny krajobraz wydawał się odsunięty w dal. Czuła się zawieszona między dwoma światami, do żadnego nie należąc.

Dom sąsiadki był zamknięty i pogrążony w ciszy, ale poprzedniego dnia, kiedy przechodząc drogą, pomachała, zauważyła, że okno kuchenne znów jest uchylone, mimo pogody. Może się jej

zdawało, ale pomyślała, że widzi jakiś ruch w ciemności za szybą. Pomyślała, że stara kobieta odwzajemnia jej pozdrowienie. Dzisiaj nie było znaku życia.

Wzdrygnęła się i poszła na górę po swoją polarową kurtkę. Czerwoną. Jamesa. Włożyła ją i usiadła z powrotem przy stole. Bezwiednie pogładziła miękki rękaw. Uniosła ręce do ust i pochuchała na zgrabiałe palce.

Dzień przetoczył się w popołudnie, a Veronika nadal siedziała przed ekranem, więcej czytając, niż pisząc, ale z upływem godzin słowa zdawały się oddalać, zamazywać i układać na nowo w sekwencje coraz trudniejsze do odszyfrowania. W końcu wyłączyła i zamknęła laptop. W kuchni było ciemno; szary dzień przeszedł we wczesny wieczór. Wstając, musiała podeprzeć się ręką o stół, zanim zrobiła pierwszy krok. Na górze w sypialni położyła się na łóżku, zwinęła się w kłębek i okryła szczelnie narzutą.

Leżała naga na plaży. Wszechświat był czarny. Czarniejszy niż czarny - tam, gdzie się znajdowała, nigdy nie było światła. Szorstki piasek pod jej plecami był bardzo gorący, parzył ją i drapał. Choć jednocześnie woda oblewała jej ciało. Z rozszalałego morza dobiegał ogłuszający ryk. Bolały ją oczy, gdy wpatrywała się w przestrzeń całkowicie pozbawioną światła, próbując dostrzec kształty w litej czerni.

Wszystko wokół niej było hukiem morza. Powietrze, gęste i słone, lepilo się do języka i zatykało nozdrza. Chciała podnieść się, biec, ale ciężar smolistej nocy wgniatał coraz głębiej jej ciało w

gorący piasek, paralizując ruchy. Nagle, w ułamku sekundy pomiędzy snem a przebudzeniem, poraził ją świetlisty błysk i zobaczyła gigantycznych rozmiarów falę wypełniającą cały wszechświat, toczącą się ku niej, coraz wyższą, nabierającą pędu, spiętrzoną w swym śmiertelnym, połyskującym ogromie, bliską rozbicia. Wczepiła ręce w piasek, łamiąc paznokcie. Bezgłośny krzyk wypełnił jej usta, dławiąc oddech, i kiedy znów pochłonęła ją ciemność, wiedziała, że fala się rozbija.

Zdołała zejść do łazienki i natychmiast zwymiotowała. Trzęsła się i szczekała zębami, ale skórę miała rozpaloną. Odkręciła kran, obmyła ręce zimną wodą i przyłożyła mokre dłonie do policzków. Nabrała w ręce wody, żeby się napić. Dom tonął w mroku.

Potem to już nie była noc, ale i nie biały dzień. Veronika leżała w swoim łóżku z pulsującym bólem gardła. Pościel była skłębiona i zmięta. Bezbarwne światło wsączało się przez podciągnięte do połowy rolety. Męczyło ją skrajne pragnienie, ale do drzwi i schodów było niemożliwie daleko. W pokoju panował mdlący zaduch. I jeszcze to smutne światło. Zamknęła oczy.

Była na plaży na zachodnim wybrzeżu Nowej Zelandii, pod stopami miała gorący ciemny piasek. Z tyłu majaczyły szczyty gór; przed nią morze rozciągnięte po horyzont, grzmiące fale bijące o pusty brzeg.

Biegła zdyszana, jej stopy zapadały się w piasek. On ją wyprzedzał - widziała tylko jego nagie plecy i szybko poruszające się nogi, lekkie stopy na piasku. Próbowwała go dogonić, usiłowała trafić

w jego ślady, ale on stawiał o wiele dłuższe kroki i by dosięgnąć każdego odbicia, musiała skakać. Wiedziała, że musi się spieszyć - ślady stawały się coraz mniej wyraźne i coraz trudniejsze do wypatrzenia. Narastał przyływ, podchodząc coraz bliżej i bliżej niknących odcisków w piasku.

Potknęła się, straciła pęd i zaczęła mylić kroki. Kiedy podniosła wzrok, już go nie widziała; była sama na bezludnej plaży. Przystanęła i wtedy fala dosięgła jej stóp, chlupocząc o kostki. Veronika patrzyła bezradnie, jak woda rozlewa się po piasku i jednym krótkim pociągnięciem zmazuje ślady, zostawiając po sobie gładkie lustro. Opadła na kolana z przejmującym~ poczuciem żalu, które wstrzymało jej oddech i bicie serca. Łzy ciurkiem spływały jej po twarzy. Zakryła rękami oczy, ale w ten sposób nie mogła zatamować łez: ciekły między palcami i spadały na uda, aż usiadła w kałuży letniej wody. Gdy opuściła ręce, zobaczyła, że wznosząca się woda jest spokojną miedzianobrazową tonią szwedzkiego jeziora. Położyła się, dając łagodnemu nurtowi nieść swoje ciało, zanurzając się głębiej i głębiej, aż woda całkiem zakryła jej twarz. Snopy światła przenikające bursztynową ciecz tworzyły złotą konstelację niezliczonych dryfujących cząsteczek. Była delikatnie huśtana, nieważka.

Potem biel porannego światła i znów była w swoim pokoju.

Za oknem śpiewał kos. Veronika wyczołgała się z łóżka i zdołała zejść do łazienki. Zdjęła nocną koszulę i weszła pod prysznic, nawet nie usiłując się myć, pozwalając, by woda swobodnie spływała po jej ciele.

W końcu nie zakręcając prysznicą, usiadła, oparta plecami o kafelki, z głową na kolanach. Siedziała tak bez ruchu, znosząc coraz zimniejszą wodę, aż ścierpły jej ramiona. Wstała powoli, wytarła się i wróciła na górę, gdzie zdjęła zmiętą pościel i założyła czystą. Z wysiłku zaczęła dyszeć i kiedy się położyła, pokój pulsował w rytmie uderzeń jej serca. Zamknęła oczy.

Jej ojciec stał przed jakimś domem, którego nie poznawała, choć czuła, że powinna. Zamachał do niej, uśmiechając się, a ona chciała odpowiedzieć mu tym samym, ale samochody i autobusy zasłaniały jej widok, odgradzały ich od siebie. Stała na palcach, pochylając się to na prawo, to na lewo, wykręcając szyję, usiłując przebić się wzrokiem przez uliczny ruch, ale za każdym razem, gdy znów dostrzegła ojca, wydawało się, że stoi on dalej. Próbowwała krzyczeć, żeby stał w miejscu, żeby zaczekał na nią, ale jej słowa tonęły w hałasie. Wbiegła między pojazdy, zamierzając przejść przez ulicę. Samochody, autobusy, tramwaje i motocykle osaczały ją ze wszystkich stron; została pochwycona przez wzburzone morze miejskiego ruchu. Zdała sobie sprawę, że nigdy się nie przedostanie na drugą stronę, i nagle poczucie straty zagłuszyło wszystkie dźwięki. Tkwiła jak wyspa w niemym zgiełku, który kłębił się wokół niej doskonale obojętny.

Usłyszała dźwięk. Może w swoim śnie? Klęczała, wsparta na łokciach, waląc ręką w zbity, czarny piasek na plaży. Próbowwała mówić, ale bez przerwy dławili ją łzy, a im bardziej była zdenerwowana, tym mocniej uderzała. Lecz nagle znów była w łóżku, z ręką wetkniętą między materac i ramę, a z dołu dobiegło pukanie do

drzwi.

Gdyby nie wyschnięte naleśniki, słoiczek i niebieski termos, które rankiem następnego dnia wciąż były na stole, mogłaby uznać to wszystko, co nastąpiło, za wytwór umysłu rozpalonego gorączką. Otworzyła drzwi i stała w nich jej sąsiadka, spoglądając niepewnie, z widocznym zakłopotaniem. Po krótkim spojrzeniu i skinieniu głową, kobieta uciekła wzrokiem, zatrzymując się na jakimś punkcie tuż ponad ramieniem

Veroniki. Odezwała się z wyraźnym trudem, wolno i niezdecydowanie.

Jak gdyby nieoswojona z własnym głosem potrzebowała czasu, aby usłyszeć każde słowo, zanim wypowie następne. Powiedziała, że zaraz wróci. A potem się odwróciła i w pośpiechu odeszła.

Veronika weszła do łazienki i spojrzała na siebie w lustrze nad umywalką. Jej twarz wydawała się mała, jakby oglądana z dystansu. Przeciągnęła szczotką potargane włosy i wolno umyła zęby. Usiadła na kłapie sedesu, z głową między kolanami, obejmując rękami uda.

Gdy usłyszała, że otwierają się drzwi wejściowe, owinęła się ciasno szlafrokiem. Uniosła rękaw do twarzy i zanurzyła nos w ciemnoczerwonej frotowej miękkości.

W kuchni zobaczyła, że jej sąsiadka krząta się przy kuchence. Odwrócona plecami do Veroniki nie dawała znać, że ją zauważyła. Veronika usiadła przy stole, obserwując starą kobietę. Była ubrana w wielki zielony wełniany sweter i szare spodnie, za długie dla niej i byle jak podwinięte, odsłaniające pożyłkowaną bladą skórę nad

skarpetkami.

Znalazła patelnię i Veronika poczuła woń roztopiającego się masła.

Na stole stał słoiczek dżemu i stary wyszczerbiony niebieski termos.

Kobieta smażyła naleśniki i kiedy pierwszy był gotowy, przyniosła talerz na stół. Otworzyła słoik, rozsmarowała na placku sową porcję dżemu i zwinęła go w rulon za pomocą widelca. Z oczami utkwionymi w twarzy Veroniki bez słowa podsunęła jej talerz. Veronika wzięła w palce zrolowany naleśnik i ugryzła mały kawałek. Był pyszny - lekki, ale powleczony masłem, a dżem słodki i przesycony aromatem poziomek.

Stara kobieta wróciła do kuchenki, nic nie mówiąc, ale co rusz się odwracała, kiwała brodą i gestykulowała łopatką, zachęcając Veronikę do następnego kęsa. Jednocześnie skupiona na swoim zadaniu wlewała na patelnię ciasto, patrzyła, jak zastyga, trzymając rękę z łopatką na biodrze, potem szybkim ruchem przewracała naleśnik i po chwili zsuwała go na talerz. Uparcie milcząc.

Wyjęła dwa kubki i naląła z termosu herbaty. Była mocna, prawie czarna i bardzo słodka. W końcu wyłączyła kuchenkę, opłukała pod kranem patelnię i usiadła przy stole. Nie jadła. Prawą ręką, nerwowymi okrężnymi ruchami, pocierała blat, a jej oczy ciągle umykały w stronę okna. Po kilku chwilach wstała, wzięła kurtkę, którą wcześniej powiesiła na krześle, i zaczęła się ubierać. Przerwała w połowie, odwracając się do Veroniki.

- Otwórz tylko okno sypialni i zawołaj, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała.

Potem wciągnęła drugi rękaw i ruszyła w stronę korytarza. Z ręką na klamce, nie odwracając się, powiedziała:

- Będę uważała na ciebie.

Wyszła na ganek i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Ldgg din hand i min om du har lust!

Kładź swą dłoń na mojej, jeśli chcesz.

Trzy dni były stracone, jedyne, co po nich zostało, to ciąg dręczących urojeniowych wizji. Po wyjściu starej kobiety Veronika wróciła do łóżka i spała do następnego rana. Kiedy się obudziła, wyschnięte naleśniki oraz niebieski termos na kuchennym stole były jedynymi namacalnymi dowodami owej wizyty. Jej sąsiadka była mglistą zjawą wplecioną w jej sny. Veronika nic nie wiedziała o kobiecie, która się pojawiła na jej progu, ale gdy wyjrzała przez okno, dom naprzeciwko już nie wyglądał na niezamieszkały.

Przez resztę tygodnia dochodziła do siebie, próbując trochę pisać, najczęściej jednak siedziała przy stole i patrzyła w okno, błędząc gdzieś myślami. W sobotę ubrała się, żeby wyjść na zewnątrz. Nawet najprostsze zadanie, jak wejście po schodach do sypialni, przyprawiało ją o siódme poty, ale dzień był całkiem ciepły i słoneczny, postanowiła więc, że wyjdzie chociaż na krótki spacer. Poza tym chciała oddać termos i podziękować swojej sąsiadce.

Kiedy wyszła na ganek, miała wrażenie, jakby cała pora roku minęła pod jej' nieobecność. Idąc na przełaj do drugiego domu,

mrużyła oczy przed słońcem. Okno kuchenne było otwarte i gdy zapukała do drzwi, wiedziała, że jej przybycie musiało zostać zauważone. Chwilę jednak czekała, zanim drzwi się otworzyły. Cieszyła się, że przychodzi w konkretnej sprawie, na dowód czego wyciągnęła rękę z termosem. Stara kobieta stała w głębi za drzwiami, tylko częściowo widoczna, spoglądając na gościa spod przymrużonych powiek. Veronika podziękowała jej, wspomniała o dżemie. Powiedziała coś o pogodzie.

Stara kobieta nie odezwała się, kiwnęła tylko głową i wzięła termos.

Veronika podtrzymywała wymuszoną jednostronną rozmowę, ale słowa spadały jej pod nogi jak suche liście. W końcu wyjaśniła, że idzie na swój pierwszy spacer, odkąd wstała z łóżka. Nie miała wcale zamiaru proponować, by stara kobieta wybrała się razem z nią, i własne słowa ją zaskoczyły.

- Nie przesłaby się pani ze mną? - Pytanie zawisło w powietrzu.

Kobieta potrząsnęła głową, ale stała w miejscu, za na wpeł otwar-. tymi drzwiami. Veronika odczekała chwilę i powiodła wzrokiem po polach, zdjeta poczuciem osamotnienia i dziwnego zawodu. Milcząca przestrzeń między dwiema kobietami trwała w niepewności.

Gdy Veronika odwróciła z powrotem głowę, jej spojrzenie zostało odwzajemnione. Stara kobieta jakby się wyprężyła w fizycznej demonstracji swojej decyzji.

- Zaczekaj - powiedziała. - Ruchem głowy wskazała

niepomalowaną ławkę przystawioną do ściany domu wzdłuż ganku i zniknęła wewnątrz, zamykając za sobą drzwi.

Veronika usiadła w cieniu. Słyszała kroki w domu, potem odgłos zamykania kuchennego okna. Stara kobieta wyszła w wytartym rozpinanym swetrze na męskiej koszuli w kratkę, sztruksowych spodniach i w czarnych kaloszach z odciętymi cholewkami.

Ruszyły zboczem w dół, Astrid lekko zgarbiona, z rękami założonymi za plecy. Jej buty wydawały piszczący dźwięk przy każdym kroku. Nagle Veronika pomyślała o wiosennych dniach z czasów dzieciństwa, kiedy po raz pierwszy po zimie wychodziła z domu w letnich butach. I czuła się tak lekko, że mogłaby fruwać. Ale teraz ta kobieta stąpała nieporadnie w ciężkich, za dużych dla niej gumowcach, co krok wzbijając małe kłęby kurzu na suchej drodze. Pobocze od strony południowej porastały zawilce o jaskrawoniebieskich płatkach; niespodziewane zwiastuny nowego życia pośród szerniałych liści i szarobiałej trawy.

Schodziły w dół, u podnóża zbocza skręciły w główną drogę i dalej szły lewą stroną gęsiego, stara kobieta na przodzie. Potem przeszły na drugą stronę i zboczyły na ścieżkę przecinającą pasmo lasu. Tu znów mogły iść ramię w ramię i Veronika zauważyła, że wpada w rytm kroków swej towarzyszki.

- Dobrze się czujesz? - spytała Astrid, odwracając lekko głowę, ale bez przystawiania.

- Tak, dziękuję, nie najgorzej - odparła Veronika, dotrzymując jej kroku.

Nie było jeszcze komarów i szły spacerkiem. Veronika podejrzewała, że stara kobieta umyślnie zwolniła przez wzgląd na nią. W cieniu pod gęstymi jodłami było chłodno, z rzadka tylko snop światła padal na ścieżkę, tam gdzie słońce znalazło prześwit w ścianie drzew. Kiedy dotarli na kraniec małego lasu, poszły dalej ścieżką przez otwarte pola. Nagle Astrid przystanęła, kierując oczy na skupisko nowych domów otoczonych rachitycznymi drzewkami. Veronika podążyła za jej wzrokiem, zastanawiając się nad dziwnym wyborem terenu pod zabudowę mieszkalną - na błotnistej równinie wystawionej na kaprysy pogody, bez żadnego widoku.

- Mój ojciec uprawiał tu kiedyś len - powiedziała Astrid, patrząc na grupę ceglanych domów stojących w zwartym szyku przeciwko nieokreślonemu zagrożeniu. - A później on to sprzedał. Mój mąż. Sprzedał ziemię gminie. - Stała przez chwilę w milczeniu, potem odwróciła się gwałtownie i ruszyła dalej przez pola ku rzece, krokiem szybszym niż przedtem.

Veronika, dotrzymując jej kroku, była lekko zdyszana. Przez jakiś czas szły wzdłuż rzeki, szukając dobrego miejsca na odpoczynek.

Tam, gdzie rzeka brała ostry zakręt, brzeg opadał łagodną skarpią w kierunku południowym, tworząc osłonięty przed wiatrem zakątek.

Astrid zdjęła sweter i rozłożyła na trawie, a Veronika zrobiła to samo z polarową kurtką. Kiedy usiadły obok siebie, stara kobieta ściągnęła kalosze, odsłaniając blade bosc stopy z pożółkłymi paznokciami. Obie położyły się w ciepłym słońcu, nic nie mówiąc.

Veronika wpatrywała się w niebo, po którym bezgłośnie szybowało pięć mew. O niczym nie myśląc, zapadła w drzemkę. Oprzytomniała, gdy Astrid delikatnie klepnęła ją w ramię, podsuwając tabliczkę czekolady. Ona też patrzyła w niebo. Veronika poczęstowała się kawałkiem i z powrotem zamknęła oczy. Czuła, jak słońce ogrzewa jej twarz, i pozwoliła błędzić swym myślom.

- Mam na imię Astrid - powiedziała stara kobieta. - Astrid Mattson. - Na jej słowa Veronika wróciła do rzeczywistości. Otworzyła szeroko oczy i przekręciła głowę. Stara kobieta wciąż leżała na plecach, z zamkniętymi oczami. Ręce miała splecione na brzuchu, jak do modlitwy. Lub złożone po śmierci. - A ty jesteś Veronika. - Umilkła. - Tutaj nie ma tajemnic. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Albo chcieliby myśleć, że wiedzą. Tajemnice muszą być dobrze strzeżone, a cena jest wysoka. - Otworzyła oczy i zmrużyła przed słońcem.

- Samotność. Ceną jest samotność.

Mewy wisiały nad wodą, wzbijając się i opadając jak marionetki na sznurkach.

Astrid otworzyła oczy, przekręciła głowę i wtedy po raz pierwszy

Veronika zauważyła, że jej oczy są jasnoniebieskie. Chabrowniebieskie. Na tle pergaminowej bladej cery oraz kosmyków siwych włosów robiły niezwykle wrażenie.

Veronika usiadła i objęła podkurczone nogi, opierając na

kolanach brodę. Powiodła wzrokiem po rzece, gdzie mewy prowadziły dalej swą zawiłą grę.

- Nie zrozum mnie źle - powiedziała Astrid. - Nie śledzę twoich tajemnic. Nie obchodzi mnie życie innych ludzi.

Odwróciła głowę i znów zamknęła oczy. Veronika pogładziła suchą trawę i zamknęła dłoń na małym kamieniu. Uniosła rękę i cisnęła płaskim kamykiem w stronę rzeki. Pofrunął łukiem, płosząc mewy, które z krzykiem niepokoju poderwały się w powietrze. Kamień spadł i z cichym pluskiem przebił taflę wody.

- Mieszkam na tej wsi od urodzenia - powiedziała stara kobieta.

- I przez większość życia byłam sama. - Veronika spojrzała na jej twarz, ale nie malowały się na niej żadne uczucia. Oczy pozostawały zamknięte. - Teraz jestem stara. Mam prawie osiemdziesiąt lat. I z każdym mijającym dniem odnoszę wrażenie, jakby czas płynął coraz wolniej. Dzień wydaje się teraz dłuższy od całego życia, które mam za sobą. Pora roku jest wiecznością.

Veronika rzuciła jeszcze jeden kamyk, nie trafiając do wody, tylko w mały krzak przy brzegu. Oczy miała skupione na wolno falującej powierzchni rzeki.

- I w tym czasie bez końca żyję w swoim domu sama. Czekając.

Strzegąc swoich tajemnic. - Astrid usiadła z wysiłkiem, przekręcając się na bok i dźwigając na obu rękach. - Stałam się fachowcem od samotności i utrzymywania swoich sekretów. Ale teraz... - Nie dokończyła zdania i siedziały dalej w milczeniu.

- Przychodziłam tutaj ze swoją matką - odezwała się nagle

Astrid.

- Odpoczywałyśmy w tym miejscu w drodze powrotnej nad jeziora.

Dziwne, to było ponad siedemdziesiąt lat temu, a widzę ją tak wyraźnie, jak widzę ciebie. Zupełnie jakby czas nie grał roli. Moje wspomnienia zajmują przestrzeń niezależnie od tego, kiedy coś się wydarzyło i jak długo trwało. Pamięć o krótkich zdarzeniach wypełnia prawie cały czas, a długie lata życia nie zostawiły po sobie śladu.

- Spojrzała na Veronikę z lekkim wzruszeniem ramion i cieniem wstydlwego uśmiechu, miała zaciśnięte wargi i zarumienione policzki. - Nie wiem, dlaczego ci to mówię.

- Boję się stracić pamięć najcenniejszego czasu w moim życiu - powiedziała Veronika, zerkając na rzekę. - Dlatego, że kiedyś mi się to zdarzyło. Nie mam wspomnień dotyczących swojej matki. Teraz myślę, że być może musiałam pozwolić im odejść, by móc żyć dalej.

Pamiętanie jej oznaczałoby uznanie faktu, że mnie porzuciła. Nie sądzę, żebym umiała z tym żyć.

- Janie umiałabym żyć bez tamtych wspomnień - odparła Astrid.

Przyglądając się starej kobiecie, Veronika ściągnęła brwi.

- Tak - odezwała się po chwili milczenia. - Zaczynam rozumieć, że będę musiała pamiętać. Że będę musiała zatrzymać każdy dzień.

Przywoływać jeden po drugim i pilnować, żeby nic nie zginęło. Ale to takie trudne.

- Opowiem ci o swojej matce - powiedziała stara kobieta. - O dniu, który był ze mną przez wszystkie te lata, wyraźniejszy w mojej

pamięci niż całe wczoraj.

Jag skall bygga den med ett hogt tom som heter ensamhet.

Zbuduję ją ze strzelistą wierzą zwaną samotnością.

Astrid

Był czerwiec, wczesne lato i dzień bardzo podobny do dzisiejszego.

Byłyśmy nad jeziorem, tylko my dwie, spacerowałyśmy wzdłuż brzegu. Brodziłyśmy w lodowatej jeszcze wodzie, pluskając się i skacząc.

Śmiejąc się. Kiedy moja matka się śmiała, po policzkach ciekły jej łzy. Zawsze się tym martwiłam, choć ona to zauważała i za każdym razem mówiła:”Och, Astrid, córeńko, ja się tylko śmieję”. I ocierała łzy jak dziecko, trąc oczy zaciśniętymi dłońmi. Nigdy nie słyszałam, żeby śmiała się w domu, tylko wtedy, gdy gdzieś wychodziłyśmy, same we dwie.

Tamtego dnia biegałyśmy wzdłuż brzegu, ścigając się i śmiejąc.

Kaczka ze stadkiem kaczątek obserwowała nas z bezpiecznej odległości. W końcu zdyszane usiadłyśmy na piasku. Mama miała na sobie zieloną spódnicę, cały jej rąbek był przemoczony. Zebrała w garście materiał, wyzymając z niego wodę, odsłaniając białe nogi i bosa stopy.

Jej włosy opadły na ramiona i piersi, a kiedy puściła spódnicę, podniosła ręce i odgarnęła je z twarzy, zbierając w dłonie i zawijając na głowie.

Potem siedziała nieruchomo zapatrzona w jezioro. Gdy opuściła

ręce, przygarnęła mnie do siebie i pogładziła po włosach. Zadarłam głowę i spojrzałam na jej twarz. Matka utkwiała we mnie na chwilę swoje zielone oczy, a potem przycisnęła do piersi.”Nie zapomnij tego, moja mała Astrid”, powiedziała.”Zawsze pamiętaj, jak słońce lśni na wodzie. Jak mama kaczką dba o swoje dzieci. Jak błękitne jest niebo. I jak bardzo cię kocham”. A ja wiedziałam z absolutną pewnością, że nie będzie więcej takich dni jak ten.

W drodze powrotnej mijałyśmy to miejsce. Siedziałam za nią na rowerze, z rękami wokół jej talii, przytulona do jej ciepłego ciała. Jej długie miedziane włosy powiewały wokół mojej twarzy i czułam, jak przy każdym naciśnięciu pedałów poruszają się mięśnie jej pleców.

Nasze buty były w koszyku na kierownicy i mama ciągle powtarzała, żebym trzymała szeroko nogi, z daleka od kół.”Astrid, uważaj na stopy!”, krzyczała, zerkając szybko przez ramię. Niebo było całkiem przejrzyste; powietrze pachniało ziemią z pól ziemniaczanych po obu stronach drogi. To był taki szczęśliwy dzień, ale kiedy wcisnęłam nos w plecy mojej matki, chciało mi się płakać.

Tamtego popołudnia mama zeszła na dół ubrana do wyjścia, z włosami schowanymi pod kapeluszem. W kuchni wzięła mnie na ręce i przycisnęła twarz do mojej szyi. Czułam, że porusza ustami, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Spojrzałam przez jej ramię i zobaczyłam na parapecie hoję, obsypaną gronami mięsistych różowych kwiatów.

Odtąd, przez tyle lat, trzymam hoję w tym samym miejscu i kiedy otwierają się kwiaty, ich zapach przywołuje tamtą chwilę.

Usiadłam przyoknie i z nosem przyklejonym do szyby patrzyłam, jak matka wsiada do powozu pana Larssona. Widziałam, jak Larsson podcina konie i powóz rusza drogą w dół. Mama nie odwróciła się, żeby pomachać. Wyglądało, jakby obie dłonie w rękawiczkach trzymała przy twarzy.

Znaleźli ją w jakimś hoteliku w Sztokholmie. Podcięła sobie żyły i położyła się przyoknie, gdzie nie było dywanu. Leżała tam trzy dni.

Przy ciepłej pogodzie krew wokół niej zaschła i trzeba było zmoczyć spódnice wodą, żeby oderwać ją od podłogi. Mama miała dwadzieścia siedem lat. Ja sześć.

Tamtego wieczoru, po tym, jak mama wyjechała, leżałam w łóżku, nie śpiąc. Na zewnątrz wciąż było światło, jasna letnia noc. Okno pozostało otwarte, wiał lekki wiatr i sznurek do podciągania rolety uderzał o parapet. To był taki smutny dźwięk. Tap, tap, nieregularny i osamotniony. Leżałam na brzuchu z twarzą wciśniętą w poduszkę i to wtedy, gdy włożyłam ręce pod spód, znalazłam wisiorek. Owalny złoty medalionik, który moja mama nosiła na szyi na krótkim łańcuszku.

W środku był kosmyk jej włosów. Siedziałam na łóżku, mięłam w palcach delikatne włosy, pocierałam je o policzek, słysząc, jak roleta porusza się na wietrze. Tap, tap, tap o szybę. Dopiero wiele lat później powiedziano mi, co naprawdę się stało z moją matką, ale intuicyjnie już tamtej nocy wiedziałam, że straciłam ją na zawsze. Wiedziałam w chwili, gdy spojrzała na mnie nad jeziorem.

Wiedziałałam, patrząc, jak schodzi po schodach. I wiedziałałam, kiedy zakryła rękami twarz.

Pogodziłam się z samotnością jako nowym stanem życia. Nieuniknionym i trwałym.

Może to wtedy stałam się jednym z tym domem. On stał się moją skórą. Moim opiekunem. Słyszał wszystkie moje sekrety; wszystko widział.

Byłam jedynym dzieckiem swoich rodziców, jak oni oboje. Po tym, jak straciłam matkę, zostaliśmy sami we dwójkę, ojciec i ja. Był taki czas, kiedy brakowało mi rodziny, braci i sióstr, ciotek i wujków, kuzynów. Teraz jestem zadowolona, że nie ma nikogo innego. Tylko dom i ja.

Nie jestem pewna, czy mój dziadek budował ten dom z miłością, ale tak myślę. Uważam, że zbudował najwspanialszy dom, bo kochał swojego jedyne go syna. Bo chciał mu dać najpiękniejszy widok, najcudowniejsze łąki z kwiatami, żyzne pola lnu i ziemniaków, rozległe lasy z drzewami do ścinania zimą. Wierzę, że była w tym miłość. Nie wiem, jakim człowiekiem był mój dziadek - zmarł przed moim urodzeniem.

Nie wiem, czyby go bolało, gdyby wiedział, co stało się z jego darem.

Gdyby wiedział, że jego syn nie był rolnikiem i nie miał miłości do ziemi. Że pieniądze przepływały przez jego delikatne, smukłe palce jak woda i jedyne, co pozostało, to dom dla wnuczki. Mnie to się zdaje właściwe. Wszystko zmierza do końca.

A gdzie jest początek? Myślę, że przez wszystkie te lata, kiedy pielęgnowałam pamięć o mojej matce, to tamten moment był dla mnie początkiem i końcem. Gdy patrzyłam, jak wsiada do powozu, plecami do mnie. To jakby wyznaczyło koniec wszystkiego, co było dobre, samego życia. I początek dozgonnej samotności. Myśląc o tym teraz, zastanawiam się. Być może wcale nie ma takich decydujących momentów. Początki i końce są płynne, to długie łańcuchy wydarzeń, których pewne ogniwa wydają się bez znaczenia, a inne tak bardzo doniosłe, podczas gdy w rzeczywistości wszystkie mają tę samą wagę. To, co może wyglądać na szczególnie dramatyczny moment, jest tylko ogniwiem pomiędzy tym, co było przedtem, a tym, co ma nadejść.

Varken uill ha sallskap

Smdrtan uil! inte vara ensam

Ból szuka towarzystwa

Cierpienie nie lubi samotności

Astrid przestała mówić równie gwałtownie, jak zaczęła, i trwały dalej nieruchomo, Astrid na plecach z zamkniętymi oczami, Veronika z brodą na kolanach, patrząca na rzekę. Zastanawiała się, czy stara kobieta nie zasnęła - jej splecione na piersi ręce unosiły się rytmicznie przy każdym oddechu. W końcu ona też się położyła, zamknęła oczy przed blaskiem ciepłego słońca i zapadła w drzemkę. Obudziła się raptownie i ujrzała starą kobietę stojącą nad brzegiem, z rękami założonymi za plecy i wzrokiem utkwionym w płynącej wodzie. Słońce się przesunęło i teraz były w cieniu. Veronika wstała, otrzepała polarową kurtkę, ubrała się i ruszyły w drogę powrotną. Szły w

kojącym milczeniu, obie zatopione we własnych myślach. Na głównej drodze, kiedy mijaly sklep, Veronika zapytala Astrid, czy czegoś nie potrzebuje, ale ona pokręciła głową i powędrowały dalej z boczem w górę.

Było po trzeciej, kiedy Veronika znalazła się z powrotem w swojej kuchni. Spodziewała się, że wycieczka bardzo ją zmęczy, tymczasem czuła się dziwnie ożywiona, jakby wyostrzyły się jej zmysły. Całe popołudnie spędziła przy kuchennym stole, czytając i robiąc notatki, i tak zastał ją wieczór: słońce ustępowało z ociąganiem w bezkresnych promieniach światła, nim ostatecznie zaszło za horyzont. Zjadła trochę sera z krakersami i popiła kieliszkiem wina. Ciągle przy stole, oparła głowę na rękach i zasnęła, lecz poderwała się chwilę później i poszła na górę. Położyła się w ubraniu, zamknęła oczy, ale jej sen był niespokojny i pełen ulotnych zwidów. W końcu jeszcze raz wstała i zeszła do kuchni. Kiedy usiadła przy stole i spojrzała przez okno, zauważyła subtelną zmianę. Światło osiągnęło swoją najbardziej nasyconą szarość, a potem pojaśniało i rozspiewały się pierwsze ptaki. Wraz z powrotem światła znowu zaczęła czytać.

Podnosząc głowę, za każdym razem zatrzymywała wzrok na drugim domu. A ten odwzajemniał jej spojrzenie poprzez białą poranną mgłę.

Nagle, kątem oka, dostrzegła jakiś ruch. W smętnej aurze budzącego się dnia wolnym krokiem szła przez pole Astrid. Stąpała ostrożnie, jakby się bała stracić równowagę. Była w tym samym ubraniu co poprzedniego dnia. Veronika nie poruszyła się; siedziała,

obserwując wolny postęp, aż usłyszała kroki na ganku, a potem nieśmiałe pukanie. Dwa ciche stuknięcia, ledwie słyszalne. I kiedy otworzyła drzwi, Astrid była już stopień niżej, na wpół odwrócona. Zatrzymała się i bardzo wolno weszła z powrotem na ganek. Trzymała złożone ręce na brzuchu, wyginając palce.

- Pomyślałam, że może chciałybyś przyjść po południu na kawę - powiedziała, spuszczać na chwilę wzrok z twarzy Veroniki na dzielące je deski podłogowe. - Myślałam sobie, że mogłabym zrobić gofry.

- Zawahała się. - To właściwie to samo co naleśniki. - Znow się zawahała. - Mniej więcej. - Podniosła głowę, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się niepewnie. - Kiedyś robiliśmy gofry na Marie Bebadelsedag, dwudziestego piątego marca. W Dzień Zwiastowania. Nie wiem dlaczego, ale tutaj zawsze w ten dzień jadło się gofry. - Następną pauza. - Nie wiem, dlaczego pomyślałam o tym dniu. Ale ty możesz mieć inne zajęcia... - Zawiesiła głos. - Może kiedy indziej. - Cofnęła się o kroczek, ale

Veronika wyciągnęła rękę i przytrzymała starą kobietę za nadgarstek.

- Przyjdę bardzo chętnie.

- A więc o trzeciej? - Kiedy Veronika skinęła głową, Astrid odwróciła się, zeszła po schodach i nie spoglądając za siebie, ruszyła do swego domu.

Pora wciąż była wczesna i nagle Veronika poczuła zmęczenie. Poszła na górę, żeby się położyć.

Była sama w basenie. Miała na ramionach pomarańczowe nadmuchiwane poduszki i wisiała pionowo w wodzie po szyję, z wyciągniętymi na boki rękami. Czubkami palców ledwie dotykała niebieskich kafelków na dnie. Było ciemno, a basen oświetlały niewidoczne lampy umiejscowione wzdłuż brzegu, poniżej linii wody. Widziała swoje nogi, bladoniebieskie, niczym jakieś podwodne stworzenia żyjące własnym niezależnym życiem. Słyszała głosy swoich rodziców, ale ich nie widziała. Ponad lekko falującą jasnoniebieską wodą nie widziała niczego, tylko ciemność.

Wiedziała, że oni się kłóca, i starała się nie płakać. Przyszedł podmuch wiatru i w panice zdała sobie sprawę, że już nie czuje kafelków. Nie umiała pływać; nie wolno jej było wchodzić samej do basenu. Usiłowała biec przez wodę, machając z pluskiem rękami i łykając wodę przy każdej próbie krzyku. Nagle gwałtowny poryw wiatru wypełnił powietrze i zdawał się wsysać całą wodę, przepychając ją do jednego końca basenu, aż utworzył ogromną, niebieską, przejrzystą ścianę przy samym brzegu, wznoszącą się wyżej i wyżej. Wtem, gdy już groziło, że fala załamie się nad jej głową, znowu poczuła pod stopami kafelki. Woda bezgłośnie opadła, otulając ją i unosząc jej ciało, aż znów była tylko delikatnie zmarszczona na powierzchni oświetlonego basenu, a ona czubkami palców dotykała dna. Na niebie wisiał tropikalny księżyc w nowiu i już nie słyszała rodziców, tylko grające w ciemności cykady. Wiedziała, że tam już nie ma jej matki. Tylko ojciec, w rattanowym fotelu, palący papierosa, wpatrzony w pustą przestrzeń. I wiedziała, że

to wszystko jej wina.

Poderwała się ze snu oszołomiona, z uczuciem suchości w ustach.

Było po drugiej i zaczęło padać, cienka mżawka wprost z białego nieba. Wzięła szybki prysznic i ubrała się. Wychodząc, zatrzymała się na ganku z nagłą myślą, że na pierwszą wizytę u sąsiadki nie powinna iść z pustymi rękami. Wróciła na górę i otworzyła szafę, w której trzymała swoje torby. Przywiozła kilka egzemplarzy swojej pierwszej książki, *Pojedynczy*, w jedną stronę, bez bagażu, które wciąż były w pudle z nierozpakowanymi rzeczami. Wyjęła jedną i przez moment ważyła ją w ręce, nie zdecydowana. W końcu wstała i zeszła na dół.

W kuchni znalazła pióro i otworzyła książkę na stole. „Astrid, mojej sąsiadce”, napisała krótko, opatrując dedykację autografem. Przewróciła stronę i spojrzała na pierwszy akapit. Mała wiosłowa łódź przechyliła się na bok, gdy zepchnął ją na wodę i wszedł do środka.

Ruszaliśmy w drogę Pamiętała towarzyszący przedsięwzięciu zachwyty i lęk. Swoją szlak wędrowny od strumieni i zatoczek poezji bądź opowiadań do oceanu powieści. Lecz nawet gdy zamarł czasem wiatr, albo zerwał się sztorm, nie traciła pewności, że osiągnie swój cel. Było podniecenie, nawet radość. Frustracje również, ale twórczej natury.

Trzymając w ręce cienką książkę, przypominała sobie cały proces. Tylko że to nie miało nic wspólnego z tym, gdzie była teraz, ani z osobą, jaką się stała. Zamknęła książkę i wyszła z domu.

Poczuła zapach gofrów, nim Astrid otworzyła drzwi. Stara kobieta krzątała się przy kuchni na drewno, obracając gofrownicę i sprawdzając ogień. Stół był nakryty lśniącym, wykrochmalonym obrusem z białego lnu i podwójnym kompletem wykwintnej porcelany w różyczki.

Przy każdej filiżance ze spodkiem leżała delikatna srebrna łyżeczka i widelec, na każdym talerzu złożona lniana serwetka. Na srebrnym świeczniku migotały trzy świece. Kontrast z resztą pomieszczenia był uderzający: wypłowiałe zasłonki, sfatygowane drewniane krzesła i goła podłoga z desek. Veronika była poruszona; miała wrażenie, że jest gościem na nie zwykłej ceremonialnej uczcie.

Astrid zamknęła drzwiczki kuchni i przyniosła na stół półmisek z goframi. Usiadły, naprzeciw siebie, ale żadna nie podejmowała inicjatywy, żeby zacząć.

- To należało do mojej matki, porcelanowa zastawa - powiedziała wreszcie Astrid, podnosząc swoją filiżankę. - Znalazłam ją w schowku po śmierci ojca. Musiał ją wynieść, kiedy moja mama umarła. Nigdy jej nie używałam. Trzymałam w pudłach i tylko od czasu do czasu pozwalałam sobie jakąś rzecz potrzymać. - Astrid przeciągnęła palcem po delikatnym uchu filiżanki. - Kiedy ogląda się ją pod światło, jest prawie przezroczysta. Cienka jak wydmuszka.

Astrid podsunęła Veronice półmisek, podała miseczkę z dżemem, a gdy Veronika częstowała się gofrem, naląła jej kawy.

- Przyniosłam ci to - powiedziała Veronika, przesuwając książkę po stole. - Być może czuję coś podobnego wobec tej książki. Że jest

krucha i nie wolno jej traktować niedbale.

Astrid dotknęła okładki, zostawiła na niej dłoń, ale nie zrobiła gestu, żeby otworzyć książkę.

- Wydaje się, że minęło tyle czasu, odkąd ją napisałam - mówiła dalej Veronika. - Może to jest trochę tak jak z własnym dzieckiem.

Jest z ciebie, ale nie jest tobą. Kiedy już się urodzi, zaczyna mieć własne życie. Jesteś po to, żeby je chronić i o nie dbać, cierpisz razem z nim i cieszysz się razem z nim, ale w końcu musisz mu pozwolić żyć własnym życiem. Usunąć się i dać mu wolność. I mieć nadzieję, że będzie mu się dobrze wiodło.

Astrid patrzyła na Veronikę w skupieniu, jakby przetrawiała jej słowa.

- Tak - powiedziała. - Musimy się rozstawać nawet z najcenniejszymi rzeczami. - Jej dłoń wciąż leżała na książce. - Co za pożytek z trzymania ich w pudłach? - Spojrzenie jej oczu stało się odległe. Jej wargi się poruszały, ale Veronika nie mogła uchwycić słów. Stara kobieta wzięła ze stołu książkę, otworzyła i przeczytała dedykację, wodząc po literach wskazującym palcem. Podniosła wzrok, gdy Veronika zaczęła mówić.

- Myślę, że napisałam tę książkę, bo chciałam spróbować zrozumieć zjawisko podróżowania. Powody podróży. Jak one wpływają na tych, którzy podróżują. Co dzieli podróżujących od tych, którzy tego nie robią. - Veronika spojrzała przez okno. - Podróżowałam przez prawie całe życie. Mój ojciec jest dyplomatą i po tym, jak moja matka nas porzuciła, zaczął wyjeżdżać na placówki za

granicę. Żeby zapewnić mi lepszy byt, tak myślę. Tu w Szwecji byłoby trudniej. Opiekowały się mną różne nianie - arny, aye, operki. Ale podróżowałam ze swoim ojcem.

Astrid wstała, podeszła do kuchni, a wróciwszy, zaproponowała Veronice następną filiżankę kawy. Usiadła z rękami na kolanach, odchylona do tyłu.

- Patrzą dzisiaj na filiżanki mojej matki i myślę o wszystkich tamtych latach. Wyobrażam sobie, że zostały przez kogoś kupione i podarowane z miłością, rozpakowane niecierpliwie w tym domu. Delikatnie ustawione w szafkach. Potem schowane, żeby nigdy ich nie używać. Taka strata. - Podniosła wzrok i Veronika z zaskoczeniem zobaczyła, że oczy starej kobiety są pełne łez. Jak gdyby w zawstydzeniu Astrid wstała i znów podeszła do kuchni, by zająć się ogniem, dołożyła drewna i patrzyła, jak się zajmuje, aż w końcu zamknęła drzwiczki.

- Strata - powiedziała, odwrócona plecami do Veroniki. - Taka wielka strata. Ale z drugiej strony, w niewłaściwych rękach delikatne rzeczy są niszczone. W niewłaściwych rękach książka może być tylko papierem. Użytym do rozpalenia ognia albo wytarcia okien. Porcelana tak delikatna jak wydmuszki... - Urwała na moment i zamknęła okno nad kuchennym zlewem. - Przynajmniej w ten sposób ciągle tu jest. Może pewnego dnia ktoś ją znów rozpakuje, tak czule, jak zrobiła to moja matka. I pozwoli, żeby była używana, tak jak to zawsze miało być.

Wróciła do stołu, usiadła i znów wzięła książkę.

- Tyle lat - powiedziała - tutaj w tym domu. - Spojrzała na Veronikę. - Tylko jeden raz wyjechałam z tej wsi. Raz w życiu, bardzo długim życiu. A miałam tak dużo powodów, żeby wyjechać. Tak bardzo mało, żeby zostać.

Ensam under fastet slingrar stigen, som jag gar.

Samotna pod firmamentem wije się ścieżka, którą chadzam.

Astrid

Kiedyś marzyłam o świecie. To nawet nie było tak, żebym marzyła o wyjeździe, ale przesiadywałam tu w kuchni, wyglądając przez to okno. Wioska na dole była innym światem, a za polami i górami były jeszcze inne.

Widziałam, jak rzeka rwie swoim nurtem, i zastanawiałam się dokąd.

To był styczeń, przeraźliwe zimno, dzień, w którym wyjechałam do dziadka, ojca mojej mamy, żeby u niego zostać. Szkoła była zamknięta, nauczycielka chora, i mnóstwo dzieci tak samo. Próbowałam zrozumieć, dlaczego mój ojciec się postarał, żebym wyjechała. Może bał się o siebie. A może o mnie. Nie o mnie osobiście, tylko o rolę, jaką miałam przypisaną: ogniwa, które łączyło go z przyszłością. Tamtej zimy kilkoro dzieci ze szkoły umarło.

Wiedziałam, że dziadek mieszka w Sztokholmie, ale od śmierci mamy nie było żadnych kontaktów z jej rodziną. Nie pamiętałam swoich dziadków, wiedziałam tylko, że babcia zmarła niedługo po mamie.

Dziadek był dla mnie imieniem bez twarzy. Wiedziałam, że

Sztokholm jest stolicą Szwecji, ale nie miałam pojęcia, jak może wyglądać wielkie miasto. Ono też było tylko nazwą.

Dzieci muszą budować swój świat na podstawie tak niepełnych informacji. Inni ludzie podejmują za nie decyzje, i tylko cząstka racjonalnych powodów kiedykolwiek do nich dociera. Jako dzieci zamieszkujemy świat zbudowany z chaotycznych strzępów. Myślę, że proces upiększania i wypełniania luk jest nieświadomy. I może trwa dalej przez całe nasze życie. Dla mnie to, że zostałam wysłana do Sztokholmu w towarzystwie Anny, młodej dziewczyny, która pomagała w domu, było całkiem niezrozumiałe, przerażające. Jednak kiedy decyzja została podjęta, przyjął ją bez zastrzeżeń.”To tylko na krótko.

Spodoba ci się, zobaczysz”, mówiła Anna. I podróżowałam dalej w swoją samotność.

Kiedy dotarliśmy do Sztokholmu, wysoka, samotna postać na peronie nie zrobiła pocieszającego wrażenia. Anna przyjęła złożony dziesięciokoronowy banknot z obleczonej w rękawiczkę dłoni mojego dziadka i szybkim krokiem oddaliła się na przeciwny peron. Mój dziadek, nie schylając się, patrzył na mnie z góry, i wydawało się, że jesteśmy dwojgiem jedynych ludzi w całym świecie. Przyglądałam się jego wąskiej twarzy, ale ani jego oczy, ani usta nic do mnie nie mówiły.

Na jego siwej brodzie, wzdłuż dolnej wargi i wąsów, osiadał szron. Nie odezwał się słowem, po prostu wziął moją walizkę i torował drogę przez peron i na zewnątrz, w lodowate zimowe

popołudnie. Miał ogromne mieszkanie w Drottninggatan i szliśmy tam w milczeniu. Nigdy wcześniej nie widziałam wielkich kamiennych budynków, nigdy nie widziałam tramwajów, wybetonowanych ulic ani świateł ulicznych.

Ale on nie udzielił mi żadnych wstępnych wskazówek i musiałam się bardzo starać, żeby dotrzymać mu kroku. Był wysoki, jego długie czarno palto łopotało z szumem wokół nóg. Przebierałam szybko nogami, wciągając pośpieszne, płytkie hausty zimnego powietrza.

W budynku była winda i kiedy dziadek zamknął za nami kratę, i stanęliśmy bardzo blisko siebie, ale bez dotykania się, i kiedy mały wagon powoli, skrzypiąc, ruszył w górę, zaczęłam płakać. Gdy w końcu winda się zatrzymała i wyszliśmy na korytarz, dziadek, zanim otworzył drzwi mieszkania, wyjął chusteczkę z wyszytym monogramem i podał mi ją bez słowa.

Mieszkanie było ogromne, z wysokimi sufitami i ciemnymi korytarzami, które wiły się i zakręcały, i otwierały na słabo oświetlone pokoje.

Wciąż słyszałam dobiegające z dołu dźwięki ulicy. Nieznane dźwięki.

Dźwięki wielkiego miasta. Potężna kobieta w fartuchu wyszła na korytarz, odebrała kapelusz i palto dziadka, zanim zwróciła uwagę na mnie.

Przykucnęła i jej twarz znalazła się na poziomie mojej. Rozpięła mi palto i rozwiązała wstążki kapelusza. ”Więc to jest mała Astrid”,

powiedziała. Jej jasnoniebieskie oczy wydawały się ogromne, kiedy zza grubych szkieł okularów badały moją twarz. Wyciągnęła rękę i lekkim dotknięciem uniosła mój podbródek. Pachniała jak mydło.”Jestem pani Asp.

Chodź, pokażę ci twój pokój”. Szła przede mną, w głąb korytarza, z moją walizką w ręce. W czarnej spódnicy, która rozciągała się na jej pośladkach, poruszała się jak woda falująca w tę i z powrotem, a końce troków jej fartucha kołysały się wolno z boku na bok. Miała siwe kręcone włosy zebrane na karku w luźny koczek. Pomyślałam, że wygląda na bardzo starą, że być może jest równie stara jak mój dziadek.

Nie jestem pewna, jak długo mieszkałam w Sztokholmie. Sześć tygodni? Dwa miesiące? Pierwszego wieczoru leżałam w łóżku, obserwując światła z ulicy odbijające się na suficie. Łóżko było zimne, a ciężar ciemnoczerwonej narzuty wciskał mnie w wykrochmaloną pościel.

Słyszałam cichą muzykę z innego pokoju. Nikt nie zdobył się na wysiłek, żeby mnie pocieszyć - wytłumaczyć, dlaczego tu jestem, kiedy wrócę do domu. Dla mnie to mogło oznaczać umowę na stałe. Ojciec mógł mnie po prostu wysłać, żebym zamieszkała tam na zawsze.

Niewiele wiedziałam o swoim dziadku. Pozostawiona samej sobie, spacerowałam po wypolerowanym, skrzypiącym parkiecie z założonymi za plecy rękami. Miałam dziesięć lat i musiałam jakoś zaistnieć w samotnym mrocznym świecie, który nie miał początku ni

końca.

Dwie rzeczy zajmowały mi większość czasu: biblioteka i fortepian. Biblioteka mojego dziadka pachniała wysuszonym papierem i ciszą, a ściany były zastawione książkami w przeszklonych gablotach. Całe rzędy wypełniały książki o niezrozumiałych tytułach, napisanych literami, których nie rozpoznawałam. Szklane drzwi były zamknięte na klucz, ale książki leżały też na biurku przy oknie i na stoliku, przy którym stał fotel. Siadałam na brzeżku i wolno przewracałam strony jakiejś książki, pamiętając, żeby trzymać jeden palec tam, gdzie była wcześniej otwarta. Na biurku i na ścianach były oprawione zdjęcia, głównie mojej mamy i trochę babci.

Na środku biurka stał wielki portret mamy w srebrnej ramie. Była odwrócona bokiem do obiektywu i patrzyła przez ramię, uśmiechając się prosto do mnie. Jej włosy były zebrane do tyłu i spięte klamrą, ale opadały luźno na plecy. Wyglądała na bardzo szczęśliwą. Brałam zdjęcie do rąk i trzymałam tak blisko twarzy, że nosem prawie dotykałam szkła, i patrzyłam jej w oczy. Były też inne jej fotografie, mniejsze. Moja mama w końskim siodle. W kapeluszu absolwentki z naręczem kwiatów. Przed sztalugami, w fartuchu malarza i z pędzlem w ręku. Ramię w ramię ze swoimi rodzicami, wszyscy troje uśmiechający się spod kapeluszy słonecznych z szerokim rondem. Ale nie było żadnego zdjęcia ze mną. Ani z moim ojcem.

Fortepian stał w salonie. Pani Asp wycierała go z kurzu i polerowała, ale nigdy nie słyszałam, żeby ktoś na nim grał. Siadałam na stołku i pozwalałam swoim palcom grać wyimaginowane melodie

na wieku klawiatury. Któregoś dnia podniosłam głowę i zobaczyłam, że w drzwiach stoi dziadek i na mnie patrzy. Zdrętwiałam, ale on nic nie powiedział, tylko odwrócił się i odszedł.

Od czasu do czasu pani Asp brała mnie na zakupy. Szłyśmy na targ kupić ryby. Albo do rzeźnika.

- Żebym tak mogła kupić wieprzowiny - westchnęła któregoś dnia. - Co to za grochówka bez szynki?

- Dlaczego nie możemy kupić wieprzowiny? - spytałam.

- Och, cóż... po prostu nie możemy. Twój dziadek jej nie je.

Jednego dnia pojechałyśmy tramwajem do Zamku Królewskiego i na Stare Miasto i oglądałyśmy zmianę warty. Było bardzo zimno i kiedy wróciłyśmy do domu, pani Asp kazała mi usiąść z nogami w misce z ciepłą wodą, a sama zrobiła mi w tym czasie gorącą czekoladę. Pani Asp miała wychodne w soboty i ja zaczęłam się ich strasznie bać. W piątki gotowała zupę i zostawiała w spiżarni na sobotnią kolację. Mój dziadek wychodził rano, zostawiając mnie samą. Większość dni spędzałam w mieszkaniu, ale soboty były najbardziej samotne. Nie miałam żadnych wieści od swojego ojca i powoli wieś i nasz dom zacierały się w mojej świadomości.

Pewnego dnia, kiedy szykowałam się, żeby pójść do łóżka, usłyszałam, jak pani Asp i mój dziadek rozmawiają w korytarzu.

- Ona spędza tu całe dni sama. Tak nie może być. To jest dobre dziecko i tak nie może być - mówiła pani Asp.

Dopiero po długiej przerwie usłyszałam głos dziadka.

- Nigdy nie prosiłem, żeby tu była. Ona jest podobna jak dwie

krople wody do swojego ojca i boli mnie, kiedy na nią patrzę.

- Ona jest tylko dzieckiem. Pańską wnuczką.

Nie słyszałam odpowiedzi dziadka, tylko głuchy dźwięk, kiedy zamknęły się drzwi jego gabinetu.

W dniu mojego wyjazdu padał deszcz. Pani Asp odprowadziła mnie na dworzec. Śnieg stał, prawie z dnia na dzień, i wielkie tafle lodu spadały z dachów. Tablice ostrzegały przechodniów, żeby trzymać się z dala od chodnika, a w niektórych miejscach były liny odgradzające, które zmuszały nas do zejścia na ulicę, gdzie strumieniami płynęła brudna woda. Na dworcu pani Asp weszła ze mną do wagonu i włożyła moją walizkę do schowka na bagaże. Schyliła się, żeby mnie uściskać, i zimne oprawki jej okularów wpiły się w mój policzek, gdy przycisnęła swoją twarz do mojej.

- Żegnaj, moje drogie dziecko. Nie myśl, że twój dziadek cię nie kocha. Nigdy tak nie myśl. Chodzi tylko o to, że... - Wyprostowała się, otworzyła swoją torbę na zakupy i wyjęła papierową torebkę.

- Proszę, małe co nieco do jedzenia na drogę.

Pogładziła mnie zimną ręką po policzku, potem włożyła rękawiczkę, zamknęła torbę i wyszła z pociągu. Pomachała mi jeszcze szybko i odwróciła się na dobre, a ja patrzyłam, jak znika w tłumie.

Zastanawiałam się później, czy to naprawdę się zdarzyło. Nie miałam żadnych pamiątek, żadnych świadków. Nikogo, z kim mogłabym się dzielić wspomnieniami. Kiedy po powrocie spojrzałam w lustro nad umywalką, byłam zdziwiona, że wyglądam tak samo. Nic się nie zmieniło w domu ani we wsi. Przystosowałam się z powrotem.

Całkowicie.

Nigdy więcej nie opuściłam wioski. Może trudno ci będzie uwierzyć, ale nigdy nie byłam nawet w Borlange. Ani w Falun, ani w Leksand. Nie mam pojęcia, jakie świąty leżą za lasami i za górami. Ani dokąd płyną rzeki.

Kom, sdtt dig net til! mig, jag skal! berdtta dig om mina sorger, vi skola tala med varandra om hemligheter.

Chodź, siądź przy mnie, powiem ci o wszystkich mych smutkach, wyjawimy sobie nawzajem sekrety.

Veronika ostrożnym ruchem odstawiła filiżankę, nagle bardzo przejęta bezpieczeństwem delikatnej porcelany w jej rękach. Filiżanka Astrid stała przed nią na stole, otoczona obu jej dłońmi, jakby dla ochrony.

Stara kobieta podniosła wzrok.

- Pokażę ci swój dom - powiedziała. - Wstała i skinęła na Veronikę. Poprowadziła ją na drugi koniec przestronnej kuchni i dalej na korytarz. - Mieszkam tutaj - powiedziała, kiwnąwszy przez ramię.

- W kuchni i pokoiku za nią. Nawet nie zawracam sobie głowy ogrzewaniem dużego pokoju i rzadko wchodzę na górę. - Wskazała zamknięte drzwi w końcu korytarza. - Tam jest duży pokój. - Na piętro prowadziły szerokie schody, które zakręcały w pół drogi. Astrid zatrzymała się na pierwszym stopniu i pokazała zamknięte drzwi po lewej stronie. - Mój ojciec miał w tym pokoju gabinet. Teraz używam go jako schowka. - Ruszyła schodami w górę. Na szczycie był wielki

kwadratowy podest z potężnymi oknami po dwóch przeciwległych stronach, czworo drzwi na wprost szczytu schodów i jedne tuż na prawo.

Przez lewe okno Veronika widziała swój dom, a naprzeciwko drogę do wzgórza schodzącego do wioski. Sporą część tego wnętrza zajmowało krosno; przy prawym oknie stał mały stół i kilka wiklinowych krzeseł. Najbardziej rzucały się w oczy liczne szmaciane chodniki rozłożone prostopadle do podłogowych desek. Jeszcze więcej, zrolowanych, leżało obok krosna.

- Kiedy umarł mój ojciec, pocięłam wszystkie jego ubrania i zaczęłam tkać. Kiedy mojego męża zabrali do domu opieki, zabrałam się do tych, które zostały po nim. - Astrid stanęła na jednym z chodników i potarła o niego stopą. - Chodzenie po nich sprawia mi przyjemność - powiedziała. Wzięła Veronikę za rękę i poprowadziła ją do jednych z drzwi na wprost schodów. - To był kiedyś mój pokój - powiedziała, naciskając kłamekę. Powietrze w środku było zastęłe i mroczne; roleta zasłaniała całe okno. - Później, kiedy wyszłam za mąż, mój ojciec używał go jako sypialni. Tutaj zmarł. - Astrid omiotła wzrokiem wąskie łóżko przykryte białą szydełkową narzutą. - Kiedy go znalazłam, już nie żył. Był zwinięty w kłębek i miał szeroko otwarte oczy. Zamknęłam je i zakryłam mu twarz.

Odwróciła się i zamknęła za sobą drzwi.

- Tu też jest sypialnia - powiedziała, ale nie przystanęła, żeby otworzyć drugie drzwi. - Pokój gościnny, chyba tak to można nazwać, choć od tak dawna nie było żadnych gości. - Wskazała palcem

następny, powiedziała Veronice, że to łazienka, i poszła dalej. Zatrzymała się z ręką na klamce czwartego pokoju. - Tam w rogu jest po prostu mała sypialnia. Ja... - Nie dokończyła zdania, tylko kiwnęła w stronę odległego pokoju na prawo od schodów, nie odrywając oczu od własnej ręki. Potem otworzyła drzwi przed sobą.

- To jest sypialnia małżeńska. - Odsunęła się na bok, przepuszczając Veronikę.

Wielkie podwójne łóżce zajmowało większość powierzchni, a po przeciwnej stronie pod ścianą było małe biurko z krzesłem, obok dużej wolno stojącej szafy. Wszystkie meble były stare, z ciemnego drewna.

W zimnym powietrzu Veronika nie mogła wychwycić żadnego zapachu.

Poczuła się trochę jak w muzeum, jakimś skansenie odległej przeszłości.

- Wietrzę pokoje raz na tydzień, ale poza tym nigdy nie wchodzę na górę. - Astrid przeszła przez pomieszczenie i otworzyła podwójne drzwi na balkon, który biegł wzdłuż całej ściany domu. Obie kobiety wyszły na zewnątrz i stały oparte o balustradę, patrząc na jabłonie, ciągle nagie, na pola, gdzie trawa była jeszcze zeszłoroczna, sucha i wyliniała, i niżej na wioskę i odległe szczyty w tle krajobrazu. W powietrzu czuło się chłód i nad doliną wstawała lekka mgła, jak delikatnie zmarszczona szara gaza. - Taki piękny widok. Ale wiesz, że on mi nigdy nie sprawiał najmniejszej przyjemności. - Astrid odwróciła się i weszła do środka. Poczekała na Veronikę i zamknęła

drzwi.

Później, wracając do siebie, Veronika wzięła głęboki oddech. Choć nowa trawa dopiero zaczynała przebijać zeszłoroczną okrywę, a liście brzoź miały jeszcze tydzień lub dwa, by się otworzyć, ona czuła zapach pączkowania. Teraz dni długo przeciągały się, zanim nastał wieczór.

Był tydzień przed Zielonymi Świątkami. Veronika napisała kartkę do Astrid podczas porannej kawy i włożyła kopertę do jej skrzynki na listy, przechodząc obok. Dopiero później przyszło jej do głowy, że być może stara kobieta nieczęsto zagląda do swojej skrzynki. Postanowiła odczekać dzień lub dwa. Przez kilka ostatnich tygodni widywała

Astrid na dworze, zwykle przy mrówczej pracy, pielącą i porządkującą zagonek po południowej stronie domu. Veronika nie szukała kontaktu ze swoją sąsiadką, lecz zajęła się własnym życiem, chodząc na codzienne spacerunki, a potem pisząc przez większość popołudnia i długo w jasny wieczór.

Sprawdziła skrzynkę Astrid następnego rana. Koperty nie było, ale tamtego dnia nie dostała żadnego odzewu. Nie widziała też Astrid przy pracy w ogrodzie. Okno jednak było otwarte, kiedy mijała jej dom, i pomyślała, że stara kobieta jest w środku i patrzy. Nagle Veronika potrafiła sobie wyobrazić, jak piękny musiał być ten dom i ogród przed laty: wielkie brzozy od frontu, teraz z bladofioletowymi pączkami, które lada moment miały wystrzelić zielenią, z tyłu szeroki stok opadający ku wiosce. Po stronie zachodniej rosło kilka wielkich

drzew czeremchy, a pod nimi stary zapuszczony żywopłot z bzu. Wyobraziła sobie, jak pięknie będzie wyglądał za kilka tygodni, gdy cały rozkwitnie. Za domem był mały zarośnięty sad ze starymi jabłoniąmi; ich pnie pokrywały szare porosty, na nagich gałęziach tu i ówdzie kiełkowały pączki. Kiedyś płot musiał być obsadzony kwiatami - zauważyła wśród chwastów kilka walecznych żonkili. Pomyślała sobie, że jej własny ogród wymaga pracy. Własny ogród? To nie był jej dom ani jej ogród.

Wciąż miała takie chwile, gdy ogarniało ją zdumienie, że w ogóle tu jest. Na wsi. W wiejskim domu.

Spędzała czas na przeglądaniu swojego dziennika, czytaniu zapisanych notatek i dodawaniu nowych. Za każdym razem przenosiła się błyskawicznie do innego świata, z każdym mijającym dniem, co ciekawe, bardziej obecnego i żywego, jak gdyby czas i odległość służyły za szkło powiększające.

Co noc śniła jej się plaża i morze. Zazwyczaj rano, do chwili, gdy była całkiem przebudzona, zachowywał się tylko fragment, jednakże pamięć uczucia trwała przez cały dzień.

Dziwiła się, że jej wspomnienia są tak wyraźne, żywe, w otoczeniu, z którym nie miały żadnego związku. Gdy obserwowała, jak zaniedbany ogród sąsiadki powoli odzyskuje żywotność i szykuje się do lata, nagle stawały jej przed oczami nowozelandzki len i kwitnąca pohutukawa *. Być może musiała odbyć tak daleką podróż, by zacząć widzieć jasno. By pozwolić wspomnieniom wyjrzeć na powierzchnię. Lecz to, że zaczynała dotykać przeszłości, nie

oznaczało, że jest w stanie przełożyć ją na słowa. Całe godziny spędzała przed komputerem, a ekran dalej świecił pustką. Książka, którą miała napisać, zdawała się coraz bardziej nieuchwytna. Z jednej strony były osaczające wspomnienia, z drugiej - codzienne życie na wsi. No i książka. Jakoś żyła z całą tą trójcą, ale też z poczuciem, że nic owych rzeczy nie łączy.

Następnego dnia dostała kartkę. Znalazła ją rano w skrzynce, choć nie widziała, kiedy Astrid ją przyniosła. Koperta była pożółkła, z wyschniętym klejem, charakter pisma elegancki, sprawiał jednak wrażenie, jakby czynność pisania była mordercą, bolesnym zmaganiem się z piórem i ze słowami. Ale było to przyjęcie zaproszenia.

Dziękuję, droga Veroniko. Byłam zadziwiona, że dostałam od ciebie kartkę. Rzadko coś bywa w mojej skrzynce na listy i często jej w ogóle nie sprawdzam. Wyobraź sobie moją radość z prywatnego listu. Zaproszenia.

Oczywiście, że je przyjmuję. Całym sercem.

Astrid miała przyjść na kolację.

Ikvdll har intet, intet skett, men nagot sker dnda.

Dziś wieczór nic, zupełnie nic się nie zdarzyło, a jednak coś zaszło.

Veronika zdecydowała po namyśle, że nie poda mięsa. To był prawdziwie letni tydzień i aż się prosiło o coś lekkiego. Pojechała do sąsiedniej wioski i kupiła trzy wędzone na ciepło pstrągi w małej wędzarni nad rzeką. Dzień wcześniej pojawiła się w sklepie pierwsza dostawa młodych ziemniaków, importowanych i strasznie drogich, ale

trochę kupiła.

Wszystko było gotowe. Postanowiła, że zjedzą w kuchni, przy oknie otwartym na jasny, wczesnoletni wieczór. Do środka wpadało powietrze wypełnione zapachami i dźwiękami zbliżającej się nocy: zwijających się kwiatów, mgły osiadającej na trawie, milknących dziennych owadów i tych nocnych, które dopiero budziły się do życia. Z ciepłej kuchni dochodził zapach koperku na parujących ziemniakach, plasterków cytryny, ostrego sera. Otworzyła butelkę nowozelandzkiego chardonnay, nalała sobie kieliszek i stanęła przy oknie, czekając. Wzięła pierwszy łyk, starając się utrzymać na języku zapamiętane smaki. Jabłko, grejpfrut, ananas, fejhoa, masło, trawa - nawet znawcy się głowią, by znaleźć słowa na ich opisanie. Powiodła wzrokiem po krajobrazie, jeszcze zasnutym słońcem, ale wieczornie wyciszonym, i chłoneła ten bezmierny spokój. Przymknęła okno, zostawiając tylko małą szparę.

Kieliszek pokryła mgiełka pary skraplającej się w strużki niby-
łez. Veronika słuchała nagrania Larsa Erika Larssona Fdrklddd Cud,
Bóg

54 w przebraniu, i miała wrażenie, jakby wszystkie jej zmysły
spoiły się w kompletną całość. Spokój wieczoru, zapachy z kuchni,
smak wina, dźwięki muzyki. Była zdziwiona, zdawszy sobie sprawę,
że wypełnia ją ciche, wyważone uczucie oczekiwania.

Odstawiła kieliszek na stół i poszła przygotować majonez. Do
miski z żółtkiem i musztardą zaczęła wlewać olej, mieszając
trzepaczką.

Biodrem przywarła do blatu, jedną stopę miała lekko opartą na drugiej. Jej ręce poruszały się energicznie, grała muzyka. Nagły przebłysk pamięci, bez najmniejszego ostrzeżenia, poraził ją z niemal fizyczną siłą. Oni we dwoje w kuchni jego matki, roześmiani. James ubijający majonez. Dla niej, w innym życiu. Jego opalone ręce poruszające się z wdziękiem, bez wysiłku, robiące swoje, podczas gdy on mówił o cudownych rzeczach, które miały nadejść. Jej własne ręce znieruchomiały, oparte o blat, z trzepaczką w jednej dłoni.

Właśnie wtedy usłyszała kroki na ganku. Odłożyła trzepaczkę i poszła otworzyć drzwi. Jej gościa oświetlała lampa z głębi korytarza, i Veronika zobaczyła bladą twarz Astrid, bledszą niż zwykle w zestawieniu z białą męską koszulą. Jej sąsiadka wyciągnęła obie ręce, jedną podając butelkę z ciemnoczerwonym płynem, drugą dwa małe kieliszki, które trzymała do góry dnem za smukłe nóżki. Veronika odebrała podarunki, potem delikatnie dotknęła łokcia starej kobiety i poprowadziła ją do środka, zamykając drzwi nogą.

W kuchni Astrid nie chciała usiąść, tylko podeszła do okna i z założonymi za plecy rękami patrzyła na swój dom. Veronice trudno było dostrzec kształty jej ciała pod za dużą koszulą, która wisiała luźno na biodrach. Podobnie jak koszula w kratkę, w której była na ich wspólnym spacerze; tamta sięgała do połowy ud, a podwinięte rękawy odsłaniały zadziwiająco szczupłe nadgarstki. Poprzez kosmyki siwych włosów prześwitywała skóra na czubku jej głowy. Astrid zdjęła buty za drzwiami, a jej ciemne skarpetki też były trochę za duże i nie przylegały do palców. Nogawki ciemnych spodni wyglądały na

zamoczone od spaceru przez zroszoną trawę.

Veronika zaproponowała kieliszek wina, co Astrid przyjęła z lekkim zdziwieniem. Trzymała kieliszek oburącz i piła wolno, z zamkniętymi oczami. Żadna nic nie mówiła i w tym milczeniu pokój wypełniała muzyka.

Usiadły przy stole naprzeciwko siebie. Gorąca para znad salaterki z ziemniakami kłębiła się w lekkim powiewie od okna. Pstrąg na półmisku był jasnoróżowy, obłożony cząstkami cytryny, z majonezem w oddzielnej miseczce. W koszyczku był knackebrod, duże krążki miejscowego chrupkiego chleba z żytniej mąki, oprócz tego masło i ser tak dojrzały, że kruszył się na kawałki. Zaczęły jeść. Veronika opowiadała trochę o Nowej Zelandii, o swojej książce.

- Myślałam, że tym razem piszę historię o miłości. Teraz nie jestem taka pewna - powiedziała. - Zupełnie, jakby wymknęła mi się z rąk. Albo z ekranu laptopa. Zaczynam myśleć, że może tu się wdziera jakaś inna historia.

Stara kobieta słuchała, nie odzywając się i patrząc w swój talerz.

Za każdym razem, gdy zapadało krzepiące milczenie, potężniała wypełniająca przestrzeń muzyka. Nagle Astrid podniosła wzrok.

- Ludzie o mnie mówią, wiem. W wiosce. - Uśmiechnęła się dziwnym, oszczędnym grymasem z zaciśniętymi wargami. - Nie rozumiem, skąd oni wciąż wynajdują jakieś rzeczy. Ale zawsze mają co mówić. Tylko że nie wiedzą niczego, o czym warto by wiedzieć.

- Obróciła w dłoni kieliszek. - Na pewno słyszałaś, że nazywają mnie

„wiedźmą”. Co mi tam. Może coś w tym jest - powiedziała, znów z dziwnym uśmiechem, wpatrzona w kieliszek. - Ostatnio czuję, że to byłaby ulga powiedzieć prawdę. Albo moją wersję pewnej prawdy.

- Astrid podniosła oczy i jej wzrok zderzył się ze spojrzeniem Veroniki. - Ale niby komu miałabym powiedzieć?

Veronika milczała, obracając w dłoni kieliszek. Jadły dalej, nic nie mówiąc, robiąc od czasu do czasu przerwę, ze sztuccami na talerzach i łokciami opartymi o stół. Veronika otworzyła drugą butelkę wina.

Weszła na górę, żeby zmienić muzykę, i włączyła płytę z piosenkami do wierszy Erika Axela Karlfeldta. Zatrzymała się na chwilę, żeby posłuchać słów:

Hon kommer utfor angarna vid Sjugareby.

Hon ar en liten kulla med mandelblommans hy, ja, som mandelblom och nyponblom.

Bieży przez łąki w Sjugareby.

Dziewczę to młode jaśniutkiego lica niby dzikiej róży kwiecie, niby leśna skalnica...

Wróciła do stołu i usiadła. Naprzeciw niej twarz Astrid jaśniała nowym ciepłem. Nagle Veronika pomyślała, że może sobie wyobrazić młodą kobietę, która wyglądała z taką tęsknotą przez okno, ciekawa światów za górami i za lasami. Wypatrywała na starej twarzy śladów dawno utraconej urody i nadziei. Pomyślała o tym, jak współczesna nauka potrafi stworzyć symulację twarzy dorosłego na podstawie

twarzy dziecka. Próbowwała zrobić na odwrót, konstruując młodą twarz z tej starej, którą miała przed oczami.

Przypomniała sobie, jak któregoś dnia, jednego z pierwszych dni po przyjeździe, poszła do sklepu i kobieta przy kasie mówiła o"wiadźmie", upierając się, że pokaże Veronice starą czarno-białą kartkę pocztową. Na wyświechtanym zdjęciu była ładna, młoda blondynka w tradycyjnym stroju ludowym, pozująca przy drewnianym płocie z nieśmiałym uśmiechem na twarzy.

- To ona. Naprawdę. Nie do wiary, prawda? - powiedziała z satysfakcją kobieta.

Teraz Veronika wcale nie uważała tego za niewiarygodne: to tylko wymagało odpowiedniej perspektywy. Oczy Astrid wciąż były piękne, jasnoniebieskie, ale patrzyły na świat ostrożnie i podejrzliwie. Słaby wzrok, a może sprawiło to samo życie, były stale zmrużone. Skórę na czole miała napiętą i z jej cienkimi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu głowa była niepokojąco obnażona. Jej kształt przywoływał delikatną bezbronność niemowlęcia, a jednocześnie trupa czaszkę. Veronika pomyślała o grubych warkoczach tamtej dziewczyny opadających spod kapelusza na jej pierś. O prostym nosie, białych zębach.

O uśmiechu. Tu, w migoczącym blasku świec, nos był długi i wąski, a cienie przy kącikach ust zmieniały się w głębokie bruzdy. Dziaśła schowane za cienką kreską warg wyglądały na prawie całkiem bezzębne. Nie sposób było skojarzyć tej twarzy z pełnym nadziei uśmiechem młodej dziewczyny. A może nigdy nie było za wiele

nadziei.

Kiedy zamilkła muzyka, Astrid siedziała z obiema rękami na stole i do połowy napełnionym kieliszkiem między nimi. Patrzyła w okno.

Bardzo delikatnie zaczęła śpiewać. Hon kommer ut/or dngarna vid Sjugareby... Zamknęła oczy i jej głos stał się pewniejszy, nabrał mocy. Veronika popatrzyła na starą kobietę, potem sama zamknęła oczy i słuchała. Mówiąc, Astrid wypowiadała każde zdanie wolno i z wahaniem, tymczasem słowa piosenki płynęły w sposób wyrazisty i piękny. Dokończyła ostatni wers i przez moment obie milczały.

- Kiedyś kochałam śpiewać - powiedziała Astrid. - Moja mama mi śpiewała - piosenki ze słowami, których nie rozumiałam. Chłonełam je po prostu, jak to robią dzieci. Słuchałam jej głosu i zapamiętywałam dźwięki. Później, w szkole, uczyłam się miejscowych piosenek. Takich jak ta. - I znów zaczęła śpiewać.

Limu, limu lima, Gud lat solen skina over bergen de bls, over kullorna smś, som i skogen ga, om sommaren.

Limu, limu lima

Niech słońcem Bóg opromienia góry niebieściutkie, panny młodziuchne, co po lasach wędrują w czas letni.

Później Veronika zrobiła kawę i kiedy ustawiała na stole filiżanki.

Astrid wstała po butelkę i dwa małe kieliszki, które przyniosła ze sobą.

- Przez lata w ogóle się nimi nie zajmowałam - powiedziała

nagle, wskazując butelkę kiwnięciem brody. - Poziomki. - Usiadła z powrotem przy stole i podniosła korkociąg. - Posadziłam je za domem ponad sześćdziesiąt lat temu. Przyniosłam je z lasu i ludzie mówili, że nic z tego nie będzie. Że leśnych poziomek nie da się przesadzić. Ale dbałam o zagonek i moje poziomki kwitły jak szalone. Co roku, jak tylko na wiosnę rozmarzała ziemia, wychodziłam je pieląć. A potem odrywałam nowe pędy i hodowałam w doniczkach, aż były wystarczająco silne, żeby wrócić do ogrodu. Doglądałam ich przez całe lato. Zbierałam dojrzałe owoce. Były słodkusiśkie - małe, jaskrawoczerwone, o zapachu, który jeszcze długo, długo zostawał na rękach. Robiłam dżem i konfiturę, Syrop. I czasami ten likier.

Zdjęła z korka lak, wkręciła korkociąg i otworzyła butelkę. Przystawiła nos do szyjki i powąchała zawartość, zanim napełniła oba kieliszki intensywnie czerwonym płynem.

- Nie wiedziałam, że została mi jeszcze jedna butelka. To taki szmat czasu. Tak samo jak nie wiedziałam, że zostało coś za domem.

Ale kiedy sprawdziłam któregoś dnia, znalazłam je - moje poziomki - zarośnięte i schowane pod chwastami, ale wciąż tam były.

Uniosła kieliszek i spojrzała prosto na Veronikę.

- Zupełnie jak z sekretami. Ze wspomnieniami. Możesz sobie wmówić, że zostały wymazane, ale one wciąż tam są, jeśli spojrzysz z bliska. Jeśli chcesz je odsłonić.

Veronika podniosła kieliszek do światła. Zawartość była w kolorze burgunda, tajemnicza i działająca na wyobraźnię, jak mikstura wiedzy. Kiedy przystawiła kieliszek do nosa, poczuła aromat

dojrzałych owoców. Zamknęła oczy, wzięła łyżeczek i poczekała, aż słodycz wypełni jej usta.

Siedziały przy stole z kieliszkami przed sobą, pijąc wolno przy akompaniamencie muzyki. Astrid patrzyła na swój dom po drugiej stronie pola, gdzie ruchliwe połacie mgły bieleły się nad trawą.

- Leśne poziomki - powiedziała, obracając w dłoni cienką nóżkę kieliszka.

Jag gar pa sol) jag star pa sol.

Jag vet av ingenting annat an sol.

Chodzę w słońcu) stoję w słońcu.

Nie znam niczego prócz słońca.

Astrid

Miałam takie miejsce w lesie na wzgórzach, wysoko nad wsią. Trzeba było je znać, żeby trafić; nie było żadnych ścieżek. Mała polana w środku gęstego lasu, z miękką srebrzystą trawą i poziomkami.

Znalazłam je przypadkiem, kiedy byłam jesienią na grzybach, i odtąd stało się moją sekretną kryjówką. Wydawało się, jakby ciemne jodły dokoła trzymały straż - nad samym tym miejscem i nade mną. Czasami przychodziłam tam na cały dzień, rozkładałam koc i leżałam. Byłam sama na świecie, bezpieczna.

W roku, kiedy skończyłam szesnaście lat, lato zaczęło się późno.

Ale tydzień po letnim przesileniu nadeszło raptownie, z dniami nieustającego, zastygłego upału. Nie miałam żadnych dążeń, po

skończeniu szkoły nikt ze mną nie rozmawiał o tym, co robić dalej. Błąkałam się bez celu, zwykle z samego rana wyruszałam do swojej kryjówki, a wracałam dopiero, gdy słońce chowało się za jodły i cała przestrzeń powoli tonęła w cieniu. Nikomu mnie nie brakowało.

To był szok, kiedy pewnego dnia odkryłam, że ktoś tam jest. Zbierał na klęczkach poziomki i nawlekał na źdźbła tymotki. Zatrzymałam się, schowana głęboko w cieniu drzew. Mimo że stałam bezszelestnie, musiał wyczuć moją obecność, bo podniósł się, trzymając w jednej ręce nanizane poziomki, jak sznur jasnoczerwonych pereł. Uśmiechnął się i otworzył przepaszająco obie dłonie. Jakby przyznawał, że jest intruzem, i poddawał się prawowitemu właścicielowi.

Wydał mi się znajomy. Nie wiedziałam, jak się nazywa, ale wiedziałam, że jest z sąsiedniej wioski. Był wysoki i wyglądał na silnego, jak ktoś przyzwyczajony do ciężkiej pracy na ziemi. Miał twarz piegowatą od słońca i wyblakłe prawie do białości włosy. I takie przejrzyste szare oczy z bursztynowymi cętkami. Ale to odkryłam później. Uśmiechał się, i w końcu wyszłam, ostrożnie, z bezpiecznego cienia na pełne słońce. Odwróciłam się do niego plecami, rozłożyłam koc i usiadłam, obciągając spódnice i obejmując podkurczone nogi. On stał przez chwilę, potem usiadł na trawie tuż przy moim kocu. Wyciągnął do mnie rękę ze słomką. Wahałam się, ale on kiwnął głową, uśmiechnął się i przysuwał rękę coraz bliżej, aż trudno było mi nie przyjąć jego podarunku. Żadne z nas się nie odezwało, kiedy powoli, jedną po drugiej, ściągałam nawleczone poziomki. I dawałam

mu po jednej za każdą, którą sama brałam do ust.

Po tamtym pierwszym dniu tęsknota za bezpieczeństwem mojego sekretnego miejsca powoli przerodziła się w tęsknotę do spotkania z nim. Albo w moim umyśle tamto miejsce i chłopak zlały się w jedno.

Miał na imię Lars. Był rok starszy ode mnie, miał siedemnaście lat. Ze swojej wsi miał dłuższą drogę i do końca żniw mało wolnego czasu. Nigdy nie mogłam być pewna, czy go zastanę. W drodze przez las mijałam wielki granitowy blok, przy którym zatrzymywałam się, brałam oddech i zaciskałam w pięściach kciuki, a potem zamykając oczy, szeptałam:”Proszę, proszę, proszę, niech on tam dzisiaj będzie”, zanim poszłam dalej. Jeśli go nie było, czułam, że to z powodu czegoś, co zrobiłam źle. Że powinnam w jakiś sposób zasłużyć na prawo do takiej przyjemności. I samo to miejsce przestało mi wystarczać.

Któregoś dnia zastałam go siedzącego na trawie, z rękami wokół czegoś, co nie bardzo mogłam dojrzeć. Kiedy podeszłam bliżej, usłyszałam cichutki dźwięk ze środka jego stulonych dłoni. Rozchylił je trochę, gdy usiadłam obok, i pozwolił mi zajrzeć. Jedyne, co widziałam, to kłębek miękkiego szarego puchu.

- To pisklę sowy - powiedział. - Znalazłem je tu, na trawie. Musiało wypaść z gniazda. - Podniósł głowę i przebiegł wzrokiem gęstą ścianę drzew. - Nie powinno być na widoku w pełnym świetle dnia.

- Zajrzał do swoich dłoni. - Mógłby je znaleźć lis. Albo sokół.

Siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na maleńkiego ptaszka w jego rękach, nasze głowy były tak blisko, że jego włosy dotykały moich.

- Chyba nie jest zraniony. - Delikatnie pogładził palcem puszysty łebek. - Tylko wystraszony. - Dmuchnął leciutko w swoje ręce. - Może jeśli położę go w cieniu pod którymś drzewem, przeżyje do wieczora i znajdzie go jego matka.

- Zabij go.

Siedziałam z ramionami zaciśniętymi wokół nóg, z czołem na kolanach i zamkniętymi oczami.

- Zabij go teraz - powiedziałam.

Wiedziałam, że na mnie patrzy, ale nie otwierałam oczu.

- Matka go nigdy nie znajdzie. Zabij go! - Czułam łzy pod powiekami i walczyłam, żeby nie było ich słychać w moim głosie. - Zabij go dla mnie.

Po dłuższej chwili usłyszałam, jak wstaje, potem jego kroki na trawie. Dopiero kiedy zaszeleściły gałęzie, gdy on przedzierał się przez ścianę drzew, uwolniłam swoje łzy. Siedziałam skulona, ściskając nogi, i słońce piekło mnie w plecy. Łzy moczyły moją sukienkę z drukowanej bawełny. Miałam poczucie, jakby nie było go bardzo długo, i cały czas starałam się powstrzymać płacz. Gdy w końcu wrócił, miał puste ręce. Wciąż szlochałam, kiedy usiadł obok i mnie objął. Nic nie powiedział. Powietrze stało w miejscu, słońce było wysoko na niebie, a my byliśmy jedynymi ludźmi na świecie. Jego ramię przy mojej szyi było takie ciepłe, ręką ścisnął mój bark. Patrzyłam na nasze stopy na trawie, jego silne i opalone, moje

szczupłe i białe.

Naturą rzeczy jest zmienność. Nic nie trwa ponad przeznaczony czas. I myślę, że instynktownie wiemy, czym jest ten czas. Co sprawia, że wiemy, kiedy zbliża się koniec lata? Odrobinę inne światło? Delikatny zwiastun chłodu w rannym powietrzu? Sposób, w jaki zaszeleściły liście brzozy? Tak to już jest - nagle, w środku letniego upału, czujemy ścisk serca, który zapiera nam dech. Zdajemy sobie sprawę, że to wszystko dobiega końca. A wtedy każda rzecz nabiera nowej intensywności: barwy, zapachy, ciepło słońca na ramieniu.

Kiedy tamtego dnia siedzieliśmy obok siebie, w gorącym słońcu, które grzało nam w plecy, wszystko dookoła było jeszcze latem. A jednak właśnie wtedy wszystko się zmieniło.

Położyliśmy się, trzymając za ręce, i patrzyliśmy w błękitne niebo.

On zebrał dla mnie przedtem ostatnie poziomki - te najśłodsze, przejrzyste - i wciąż miałam w ustach ich smak. Odwrócił się do mnie i położył głowę na moim ramieniu. Wyszeptał moje imię i dźwięk jednego słowa wypełnił cały świat. Położył rękę na moim policzku i czułam zapach poziomek na jego palcach. Przyciągnęłam go do siebie i patrząc mu w oczy, wzięłam w dłonie jego twarz, a potem pocałowałam go w usta. Czułam się, jakby wszystkie moje zmysły były wyostrzone, jakby wypłakane łzy mnie oczyściły i teraz mogłam dojrzeć wszystko, co było dobre dla pierwszego razu. Nieskończone niebo nad nami, posłanie z lśniącej trawy, strzegące nas ciemne

drzewa. Każdy sekretny szczegół jego młodego ciała. Mlecznobiały tors i opalone ramiona.

Meszek na jego karku. Kiedy rozchylił moją bluzkę i poczułam na piersiach jego wargi, wiedziałam, że jestem częścią dobroci. Że jestem piękna. Że żyję.

Wiedziałam też z absolutną pewnością, że to nie będzie trwało.

Przez następne tygodnie przychodziłam prawie codziennie, za każdym razem zatrzymując się przy granitowym bloku, zaciskając pięści.

Ale jego nigdy nie było. Wciąż jednak przychodziłam, jeszcze w pełni jesieni. Któregoś dnia we wrześniu siedziałam na suchej trawie, jak zwykle z rękami wokół nóg, zapatrzona w drzewa po drugiej stronie polany. Nagle, kątem oka, zauważyłam miękkie, bezgłośnie poruszenie. Odwróciłam głowę i wydało mi się, że widzę szary kształt przemykający w powietrzu, znikający między ciemnymi drzewami. Pomyślałam o puszystym pisklęciu otulonym jego wielkimi, silnymi dłońmi rolnika i wiedziałam z pewnością, że wtedy znalazł dla niego bezpieczne miejsce.

Później usłyszałam o wypadku. Spadł z sasiaka w stodole podczas żniw. Śmierć była natychmiastowa.

Wiosną wróciłam na polanę po sadzonki. Wiedziałam, że będą żyć, cokolwiek mówiliby ludzie.

To było ponad sześćdziesiąt lat temu, a moje sadzonki wciąż żyją.

Nie wiem, czy leśna polana jeszcze tam jest ani czy rosną tam

dalej poziomki. Równie dobrze mogła zarosnąć, las mógł ją odzyskać. Mój zagonek może być jedynym miejscem, gdzie wciąż rosną tamte leśne poziomki.

Żałuję teraz, że nie byłam wierna wspomnieniom tamtego lata.

Może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym się ich trzymała, zamiast pozwolić, by to, co było wcześniej, i to, co przyszło potem, usunęło je w cień. Powinnam była o nie dbać, tak jak dbałam o swoje poziomki.

Pozwolić, żeby wypuściły nowe pędy, rodziły nowe owoce. Ale być może one są jednym i tym samym: poziomki i moje wspomnienia tamtego lata. Wreszcie odzyskane.

Hjartat ska gro av drommar; annars dr hjdrtat armt.

Serce musi czerpać z marzeń albo jest sercem nieszczęsnym.

Zamilkła muzyka i kiedy Astrid przestała mówić, w pokoju nastąpiła cisza. Veronika zdmuchnęła świecę i trwały spowite mglistym światłem, które nie należało ani do nocy, ani dnia.

- Czas. Nie rozumiem tego - powiedziała Veronika. - Nie udaje mi się uchwycić istoty czasu. Wspomnienia zdają się wynurzać bez żadnej specjalnej kolejności, niepowiązane z czasem. Wczoraj może się wydawać równie odległe jak zeszły rok.

Astrid nie odpowiedziała, lecz sięgnęła po swój kieliszek z likierem. Upiła łyček i spojrzała na Veronikę.

- Niektóre z moich najwyraźniej szych wspomnień dotyczą najkrótszych chwii- ciągnęła Veronika. - Mam całe lata życia, które nie zostawiły po sobie śladu, i minuty, które tak we mnie wrosły, że

przeżywam je na nowo każdego dnia.

- Tak - powiedziała wolno stara kobieta. - Chyba mówiłam to samo, kiedy byliśmy nad rzeką. Pamiętam, jak patrzyłam na tamte nowe domy. Dla mnie one były grzybami, wyrosłymi niespodziewanie przez jedną noc. Pola lnu sprzed sześćdziesięciu lat wydawały mi się bardziej rzeczywiste. - Upiła likieru, przetrzymując łyk przed połknięciem między zaciśniętymi wargami. - Opowiadając ci o tamtym lecie, odzyskałam swoje wspomnienie. - Pochyliła się nieco do przodu, z rękami na stole. - Nigdy go nie straciłam, rozumiesz; po prostu nie chciałam słuchać. A teraz... - Zamarł jej głos.

Veronika poprawiwszy się na krześle, odstawiła kieliszek, oparła łokcie na stole, a brodę na złożonych dłoniach.

- Moje życie składa się teraz z fragmentów - powiedziała - i niektóre są tak oślepiające w swojej intensywności, że wszystko inne staje się nie do odróżnienia. Co ja mam zrobić z tymi świetlistymi odłamkami? Nie ma wzoru; nie umiem ich dopasować. Do siebie nawzajem ani do całości, którą powinno być moje życie. To tak, jakby moje istnienie rozprysło się w jednej chwili, a potem mój wszechświat stał się niezrozumiały. Same odłamki i drobiny, które noszę ze sobą, dokądkolwiek idę. Są ostre i przy dotknięciu wciąż ranią. I są takie ciężkie.

Wiem, że jest coś więcej - są mniej intensywne fragmenty, które muszę poskładać w całość. Chcę pamiętać wszystko. Ale może potrzebuję więcej czasu. Może powinnam sobie pozwolić na trochę wytchnienia. Zdystansować się, żeby sprawdzić, czy mam szansę

znaleźć wzór.

I zmierzyć się z prawdą o tym, o tym, co naprawdę tam jest.

Twarz Astrid była białą maską, a jej włosy aureolą, twarz Veroniki - szerokim trójkątem, w którym oczy były ciemnymi wgłębieniami nieodbijającymi światła. Za oknem pierwszy zryw porannego wiatru szeleścił drzewami.

- Kiedy poznałam Jamesa, było tak, jakby rozpoczął się nowy czas.

Jakby wszystko, co było dotąd moim życiem, raptownie dobiegło końca - powiedziała Veronika, patrząc w noc. - I wszystko, co przedtem wiedziałam, odeszło w zapomnienie. W okamgnieniu znalazłam się w świecie o jaskrawszych barwach, ostrzejszych dźwiękach, intensywniejszych smakach i zapachach. I przez jakiś czas myślałam, że jest moim światem.

Nej inte du och inte jag, nu dr det blott en enda

I denna natt och ndsta dag och efter tusen ar.

Nie, nie ty, nie ja, teraz tylko my - jedno

Dziś, jutro i za tysiąc lat.

Veronika

Z perspektywy czasu wydaje się, że tak właśnie było od samego początku. Oczywiście, to nie może być prawda. Moja pamięć znów płata figle. Ale uśmiechnął się do mnie zza baru, podsunął piwo i świat się trochę zmienił. Wcześniej moje życie było bezpieczne. Żyłam w niespiesznym, przyjaźnie obojętnym świecie, który dawał mi czas na postępowanie z rozwagą. I był to taki świat, po którym się

poruszałam z gotową mapą. W świecie Jamesa byłam wiecznie zagubiona.

Poznaliśmy się w Londynie, w pubie w Hampstead, w którym on pracował. Byłam z Susanną, Dunką prowadzącą galerię, w której ja pracowałam, i z trójką jej znajomych. Nie znałam tych ludzi, ale wydawali się sympatyczni. Młoda kobieta, recenzentka sztuki pisząca jako wolny strzelec; jej partner, konsultant techniczny; i trzeci, Brent, jeden z artystów, których wystawiała Susanna. Wszyscy czworo dobrze się znali i możliwe, że czułam się trochę nieswojo, jak outsiderka. Kiedy przyszło mi postawić następną kolejkę, byłam zadowolona, że mam powód, by odejść od stolika. Podeszłam do baru i zamówiłam nasze drinki. Stojący obok dosyć pijany mężczyzna w prążkowanym służbowym garniturze zaczął się przysuwać. Nim sobie uświadomiłam, że mnie zaczepia, barman pochylił się i położył rękę na jego ramieniu.

- Hej, ona jest moją dziewczyną. Odsuń się, z łaski swojej, i zostaw ją w spokoju.

Co, ku mojemu zdziwieniu, zrobił. I właśnie tak poznałam Jamesa.

U siadłam na stołku i wzięłam łyk swojego piwa. Podziękowałam mu, a on zapytał, skąd jestem. Kiedy powiedziałam, że ze Szwecji, uśmiechnął się.

- To tak daleko od mojego rodzinnego kraju, że dalej być nie może. Jestem z Nowej Zelandii. Z Auckland. - Jego miękkie samogłoski zdawały się pieścić każde słowo. Miał kręcone rudoblond

włosy i szare oczy, a jego uśmiech mnie uwiódł i porwał do miejsc, w których nigdy wcześniej nie byłam.

- Jestem na to za stary - powiedział.

- Na co?

- Na to moje zagraniczne doświadczenie. Mam trzydzieści jeden lat. Powinienem był wyjechać w świat dziesięć lat temu.

Roześmiał się, lekko odrzucając do tyłu głowę, potem pochylił się nad barem i wziął moje dłonie w swoje. I tak zaczął opowiadać o sobie. A raczej o pewnych faktach składających się na jego życie. Nie o człowieku, który był nim. To miałam odkryć sama.

Przypomniałam sobie nagle o swoim towarzystwie i wstałam, żeby zabrać pełne szklanki. Ale zanim się odwróciłam, położył mi na ramieniu rękę i spytał, czy mogłabym poczekać do zamknięcia.

- Zwykle po pracy idę na spacer do Heath. - Jeszcze raz się uśmiechnął. - To najbliższe natury miejsce, jakie mam w pobliżu.

Zgodziłam się. Wróciłam do stolika i minęła jeszcze dobra godzina, zanim wyszli moi znajomi. Susanna odwróciła się przy drzwiach i pomachała mi z dyskretnym uśmiechem. Pub stopniowo pustoszał i tuż po północy on wynurzył się zza baru i mogliśmy wyjść. Po upalnym i lepkiem dniu, z przyprawiającym o mdłości zastygłym powietrzem wielkiego miasta nieprzystosowanego do upałów, noc była ciepła, jak aksamitna letnia woda, i powędrowaliśmy na Heath.

Powiedział mi, że jest w Londynie od kilku miesięcy, po długiej podróży z Auckland przez południowo-wschodnią Azję, Bliski

Wschód, Grecję i Włochy. Że teraz pracuje, żeby odłożyć na

podróż do domu. Jest biologiem oceanicznym, bez widoków na pracę w swojej specjalności. Rzucił źle płatną pracę na farmie rybnej w Tasmanii, żeby przyjechać do Europy. I że przyszłość jest niepewna, ale on wybiera się wkrótce do domu. Do Nowej Zelandii. Miałam tylko blade pojęcie o jego ojczyźnie. Najodleglejszym kraju na kuli ziemskiej. Podróżowałam prawie przez całe życie, ale nigdy nie byłam w Nowej Zelandii. Gdy o niej mówił, słyszałam żarliwość w jego głosie, jakieś ciepło.

Nazywał się James McFarland.

Nocne spacery na Heath po jego pracy stały się naszym rytuałem.

Przyjeżdżałam do Hampstead z galerii w Knightsbridge i spędzałam wieczór, sącząc piwo i patrząc na Jamesa pracującego za barem. Śmiałam się z czystej radości widzenia go, słyszenia jego głosu. Miałam wrażenie, jakbym nie śmiała się nigdy przedtem. Nigdy przedtem nie była szczęśliwa. Teraz mi się wydaje, że to był śmiech mojego życia.

Mój przydział.

Powiedział, że obiecał swojej matce wrócić przed Bożym Narodzeniem, miałam więc świadomość, że to się wkrótce skończy. Moje własne plany były mało konkretne. Byłam w Londynie prawie rok i raczej nie zastanawiałam się nad przyszłością. Wiedziałam, że mój wydawca liczy na drugą książkę, i trochę pisałam. Tymczasem praca w galerii zapewniała jakiś dochód. Susanna była hojna i nie naciskała mnie do zobowiązania, że potraktuję tę posadę

długoterminowo. Podobnie jak ja wydawała się szczęśliwa, żyjąc z dnia na dzień. Wyprowadziłam się z mieszkania Johana w Sztokholmie, ale zostawiłam swoje książki i kota. Przypuszczam, że chętnie rozważałam możliwość, że kiedyś wrócę. Kiedyś tam.

James opiekował się mieszkaniem na ostatnim piętrze czteropiętrowego budynku na samym Heath. Właściciele byli za granicą.

Pierwszy raz zabrał mnie tam w mokre niedzielne popołudnie w październiku. To był jego dzień wolny i poszliśmy do żydowskiej piekarni w Golders Green kupić bajgle. Kiedy wracaliśmy, lunęło z nieba. Wstąpiliśmy do Spaniards Inn na piwo, mając nadzieję, że deszcz osłabnie.

Nie powiem, żebym miała dobrą pamięć, tak w ogóle. Moja matka na pewno mi kiedyś mówiła, że na mojej pamięci nie można polegać, że niczego nie jestem w stanie zapamiętać porządnie. Ale każdy dzień z tamtych pierwszych tygodni i miesięcy ma swoje własne miejsce zarezerwowane w moim mózgu. Mogę je wyjmować i patrzeć na nie, i kolory są tak żywe, a obraz tak ostry jak zawsze. Dokładny wygląd jego twarzy za stołem. Jego dłonie na szklance z piwem. Moje stopy zafarbowane na niebieskawoczarny kolor od mokrych butów, kiedy wróciliśmy do mieszkania. Jego ręce ocierające się o moją twarz, kiedy suszył mi ręcznikiem włosy. Kochaliśmy się na wąskim łóżku w małej sypialni. To było delikatne, żaden namiętny dramat, jakiego można by się spodziewać po takiej miłości. Słodko. Z otwartymi oczami. Jakby to była przeszłość, teraźniejszość i

przyszłość, wszystko w jednym czasie, i nie mogliśmy sobie pozwolić na utratę choćby najdrobniejszego szczegółu.

Potem on dał mi swój obszarpany szlafrok, wziął mnie za rękę i poprowadził do kuchni. Wtedy po raz pierwszy widziałam, jak gotuje. Jego ręce, gdy z wprawą rozbijał jajka, siekał szczypiorek, kroił pomidory. Długo mogłabym mówić o jego rękach - poświęcić czas każdemu palcowi. Takie dobre ręce. Ręce, które dawały mojemu ciału tyle przyjemności. Ręce, które obchodziły się z jedzeniem z taką miłością, taką instynktowną miłością. Później widziałam, jak dotykają innych ludzi, o których się troszczył, i zwierząt. Na kierownicy jego samochodu. Ale przede wszystkim pamiętam jego ręce na swoim ciele. Dotykające mnie.

Wiedziałałam, że wyjedzie. Powiedział mi na samym początku, choć potem, gdy ten moment się zbliżał, unikaliśmy tematu. Nie rozmawialiśmy o niczym spoza świata, który składał się z nas dwojga, tu i teraz. Cały wolny czas spędzaliśmy razem, chodząc do kin, galerii, muzeów. Spacerowaliśmy w parkach, gdzie drzewa i trawniki gubiły życie, szykując się do zimy. Jadaliśmy w małych knajpkach, ale częściej w jego mieszkaniu. Kochaliśmy się. Świat biegł swym torem bez nas.

W końcu, nieuchronnie, nadszedł czas.

- Zarezerwowałam bilet - powiedział któregoś dnia, gdy wybraliśmy się na swój spacer na Heath. Już nie było ciepło, ale trzymaliśmy się rytuału. Obejmował mnie ramieniem, patrząc prosto przed siebie, nie na mnie. Próbowałam równać z nim krok, zdając

swoje ciało na jego energię, na wpół niesiona.

- Odlatuję za trzy tygodnie - powiedział.

Trzy tygodnie. To tak, jakby się dowiedzieć, ile dokładnie zostało ci życia. Raptem najmniejszy szczegół stał się wyraźny i niezwykle znaczący. James przystanął gwałtownie i odwrócił się do mnie twarzą, zaciskając dłonie na moich ramionach.

- Kocham cię, Veroniko. - Pochylił się i pocałował mnie, nie przyciągając do siebie.

Zamknęłam oczy, a kiedy je otworzyłam, mój wzrok spoczął na twarzach dwóch dziewczynek stojących w pewnej odległości za Jamesem, chichoczących w podnieceniu. W jakiś sposób ich spojrzenia potwierdzały jego słowa.

Tamtego wieczoru siedzieliśmy na podłodze w ciemnym pokoju, przed kominkiem na gaz. Ramię przy ramieniu, z nogami skrzyżowanymi przed sobą. Odwrócił się do mnie, uklęknął i podniósł mnie, aż znaleźliśmy się twarzą w twarz, zetknięci kolanami.

- Poleć ze mną - powiedział, trzymając mnie za obie ręce. - Zapomniałem, jak się żyje bez ciebie. Zupełnie nie pamiętam, jak sobie kiedyś radziłem. Veroniko, poleć ze mną, proszę.

Patrzyłam na jego twarz, notowałam każdy najdrobniejszy szczegół i zapisywałam w pamięci obrazy. Jasne napięte czoło, rudoblond włosy stroszące się nad misternym wzorem splotów. Mała blizna na górnej wardze. Wyszczerbiony przedni ząb. Czy to były pamiątki po tym samym zdarzeniu, wargę i ząb? Tak mało wiedziałam. A to, co wiedziałam, już traktowałam jak historię,

Obserwując, utrwalając, zapisując w pamięci, Próbowałam sobie wyobrazić, jak zmieni się z wiekiem.

Jak będzie wyglądał jako stary człowiek.

Odwrócił się i położył na plecach, z rękami pod głową. Przyglądałam się jego profilowi, zapamiętując każdą linię.

- Zawsze, kiedy się Kochamy, ja potem leżę, nie śpiąc, i patrzę na Ciebie - powiedział. - Boję się, że jeśli zamknę oczy, wymkniesz się cicho z łóżka i znikniesz. Że odejdiesz niepostrzeżenie jak jelen w noc.

Wyciągnął rękę i przyciągnął mnie do siebie. Leżeliśmy bez ruchu.

Miałam zamknięte oczy i chłonełam jego zapach. Słyszałam przejeżdżające ulicą samochody; ich reflektory malowały na suficie płynne wzory. Syczał gazowy płomień.

Wyjechał w sobotę rano. Zgodziliśmy się co do tego, że nie powinnam odprowadzać go na lotnisko. Siedzieliśmy przy stole, pijąc kawę.

Na zewnątrz było jeszcze ciemno.

- Mam coś dla Ciebie, Veroniko - powiedział i przesunął po stole małą paczuszkę. - Chciałbym, żebyś to otworzyła po moim wyjeździe i żebyś tego często używała.

Trzymałam prezent między dłońmi, starając się nie rozplakać.

- Ja nic dla Ciebie nie mam, James.

- Podaruj mi tylko uśmiech.

A to była do podarowania rzecz najtrudniejsza.

Var inte radd for morkret ty ljuset vilar dar.

Nie lękaj się ciemności wszak w niej spoczywa światło. w ciszy zaczął nieśmiało śpiewać szpak. Astrid wstała niezgrabnie, opierając się ciężko o stół, jak gdyby bolały ją stawy. Odsunęła krzesło powolnym ruchem, by zrobić to delikatnie i bezszelestnie, potem obeszła stół, pochyliła się i ujęła twarz Veroniki. Z dłońmi na policzkach młodej kobiety patrzyła na nią przez chwilę w skupieniu.

- Miłość - wyszeptała. - Zawsze pamiętaj swoją miłość.

Zwiesiła ręce i ruszyła przez kuchnię w stronę korytarza. Jej kroki były bezgłośnie. Veronika odwróciła głowę i podążyła wzrokiem za oddalającą się wolno postacią. Spojrzała na stopy w za dużych skarpetkach, zmiętą na plecach koszulę, na cienkie włosy z tyłu głowy. Rozłożyła splecione dłonie i opuściła na kolana, nabierając głęboko powietrza, jak gdyby przez długi czas wstrzymywała oddech. Usłyszała otwieranie i zamykanie drzwi wejściowych, i gdy spojrzała przez okno, zobaczyła, jak stara kobieta stąpa przez trawę, zlewając się stopniowo z wiszącą w powietrzu mgłą. Przyłożyła ręce do twarzy i zapłakała.

Lato przyszło nagle, na tydzień przed letnim przesileniem. Veronika założyła moskitiery w oknach, by móc ich nie zamykać i stworzyć w domu przewiew. Brzozy, zaledwie w kilka dni, od czystego bladego fioletu poprzez nie śmiałą zieleń przeszły w letnią bujność, a delikatne dzwoneczki zasnuły łąki drżącą powłoką fioletu. Zakwitły drzewa czeremchy, przez kilka intensywnych dni napełniały zapachem powietrze, a potem ich płatki opadły jak śnieg. Kiedy

Veronika spacerowała wzdłuż rzeki, mijały ją dzieci na rowerach jadące nad jezioro popływać, we frotowych płaszczach kąpielowych, które łopotały za nimi na wietrze, i z przewieszonymi przez ramię wielkimi oponami. Skończył się rok szkolny; przed sobą miały całe lato, czas otwarty. Od wieczoru z kolacją Veronika nie widziała Astrid. Kiedy przechodziła obok jej domu, okno było tylko lekko uchylone i nie dostrzegała żadnych oznak życia w środku.

W wiosce trwały przygotowania do obchodów Midsommar[”], niosąc ze sobą nastrój ciepłego oczekiwania. Rozległa łąka nad rzeką tuż za kościołem została skoszona i po jednej stronie ustawiono stragany. Mijając sklep, Veronika widziała, jak ludzie gromadzą się na zewnątrz i rozmawiają uśmiechnięci z twarzami wystawionymi do słońca.

Dwa dni przed wigilią Midsommar Veronika przeszła przez kawałek pola i zastukała do drzwi Astrid. Było późne popołudnie i choć słońce stało jeszcze wysoko na niebie, powietrze wypełniała leniwa senność; ptaki i owady zdawały się odpoczywać. Zapukała raz i poczekała. Potem znowu. Nie słyszała żadnego dźwięku. Nacisnęła klamkę i drzwi się otworzyły. Stała w progu, czekając.

- Astrid? - Jej głos wdarł się w głuchą ciemność i nie przyniósł odzewu.

Zostawiając otwarte drzwi, weszła do środka. Po chwili, gdy jej oczy przyzwyczały się do mroku, zobaczyła, że wszystkie drzwi w korytarzu są zamknięte. Stała nieruchomo, nadstawiając uszu, ale nic nie słyszała. Podeszła do zamkniętych drzwi kuchni i jeszcze przez

moment nasłuchiwała, zanim nacisnęła kławkę.

Stara kobieta siedziała przy stole, z dłońmi oplecionymi wokół kubka. Zasłonki były zsunięte i słońce przedzierało się przez wyblakłą drukowaną tkaninę, wypełniając pomieszczenie zmęczonym światłem w odcieniu ochry. Veronika miała wrażenie, jakby wkroczyła w jakiś sen, w jakąś surreálną, zainscenizowaną przestrzeń.

Astrid nie dała żadnego sygnału, że zauważyła gościa - oczy miała utkwione w oknie. Veronika podeszła do stołu i usiadła. Pogładziła całą dłońią popękaną ceratę i czekała.

- Przepraszam za takie najście - odezwała się w końcu - ale martwiłam się. Nie widziałam cię prawie przez dwa tygodnie. Tylko otwarte z rana okno.

Stara kobieta nie odpowiedziała.

- A w piątek jest wigilia Midsommar. Miałam nadzieję, że pójdziemy razem do wioski popatrzeć, jak ustawiają drzewko majowe.

Veronika patrzyła na swoją sąsiadkę, jej słowa wisiały w powietrzu, lecz Astrid nadal milczała z oczami wpatrzonymi w okno. Na parapecie bezsilnie bzycała mucha.

- On umiera. - Odwróciła wzrok od okna i spojrzała prosto w oczy Veroniki. - Mój mąż umiera.

Veronika pochwyciła jej spojrzenie, nie rozumiejąc.

- Dzwonili z domu opieki.

Astrid przeciągnęła palcami po krawędzi pustego kubka i z powrotem utkwiała wzrok w oknie.

- On umiera od tak dawna. Czekam już tak długo. Ale teraz

mówią, że koniec jest bliski.

Veronika wstała, nastawiła wodę w czajniku i przygotowała tacę z dwoma czystymi kubkami.

- Wyjdźmy na zewnątrz - powiedziała, łagodnie dotykając łokcia Astrid.

Astrid skinęła wolno głową, wyraźnie zajęta swoimi myślami.

Veronika zaniósła najpierw składane krzesło Astrid na tył domu i postawiła je blisko ściany, tam, gdzie jabłonie dawały lekki cień.

Wróciła po tacę i Astrid wyszła za nią.

Poziomki były w pełnym rozkwicie, maleńkie białe kwiaty wyglądały jak płatki śniegu na liściach trawy. Veronika poprowadziła Astrid do krzesła i usiadła obok na trawie. Ogromny trzmiel chybotął się nad kwiatami, jakby oszołomiony taką obfitością. Veronika oparła się plecami o ciepłą drewnianą ścianę. Astrid siedziała nieruchomo, z zamkniętymi oczami i kubkiem kawy w rękach.

- Tyle czekania - powiedziała. - Całe długie życie.

Tills man andas med bara hat...

Póki nienawiści, póty oddychasz...

Astrid

Wyczekiwałam tej śmierci od dnia, w którym wyszłam za mąż. Sześćdziesiąt lat. Teraz, kiedy już tu jest, rozumiem, że to nie ma znaczenia. Że wcale nie chodziło o niego. To, co myślałam, że zaczęło się w dniu mojego ślubu, tak naprawdę zaczęło się dużo wcześniej. Ślub był tylko decydującym momentem. Tamtego dnia wyrzekłam się swojego życia.

To był czerwiec. Modliłam się, żeby dalej było szaro i zimno, ale dzień okazał się letni, z wściekle niebieskim pustym niebem. Bicie dzwonów. Wielka uroczystość. Ksiądz przyjechał z Uppsali, kwiaty ze Sztokholmu. Konwalie, ogromne i woskowate o mdłym zapachu. Byłam w stroju ludowym, nie w białej sukni, jak żądał mój ojciec. Jedyna rzecz, o której zdecydowałam sama.

Poprzedniego wieczoru usiadłam w swojej sypialni z pudłem, w którym była schowana suknia ślubna mojej matki. Otworzyłam pokrywę, wyjęłam delikatnie suknię i przyłożyłam do swojego ciała. Wtuliłam w nią twarz, zamknęłam oczy i wciągnęłam nosem powietrze, ale nie poczułam żadnego zapachu. Suchy jedwab z szelestem ocierał się o moją skórę, ale nie miał nic do powiedzenia. Włożyłam na głowę welon i usiadłam naga przed lustrem w opadającej na ramiona koronce.

Patrzyłam na swoją twarz, blady owal z wpatrującymi się we mnie niebieskimi oczami. Przeciągnęłam palcem po rzęsach. Potem po grzbiecie nosa. Po wargach. Podniosłam ręce i przyjrzałam się im, pogładziłam mleczną skórę na wewnętrznej stronie ramion. Rozpuściłam warkocze, rozczesałam długie włosy palcami i rozsypałam na piersiach i ramionach. Moje oczy postrzegały każdy szczegół ciała. Dokładny kolor skóry. Różowe sutki. Jasne włosy łonowe. Ujęłam w dłonie swoje piersi, pogładziłam płaski brzuch, uda. Chciałam zapamiętać własne ciało, żeby potem pozwolić mu umrzeć.

Rano ubrałam się w strój ludowy: grubą wełnianą spódnicę,

serdak, lnianą bluzkę, zapaskę i chustę. Buty z mosiężnymi klamerkami i czerwone wełniane pończochy. Był ciepły letni dzień, a ja schodziłam po schodach w tym ciężkim ubraniu, drżąc z zimna jak jeszcze nigdy w życiu. Później ludzie mówili, że miałam na sobie wersję żałobną - ciemną zapaskę, bez biżuterii. To nieprawda. Ale włożyłam strój ludowy zamiast białej sukni mojej matki, a i tak było mi zimno.

Mój mąż poślubił majątek. Poślubił ziemię i dom. Pola żyta, kartofli i lnu. Sady i łąki. Lasy i drewno. Poślubił też nazwisko. Mój ojciec myślał, że udało mu się wynegocjować przyszłość dla siebie i dla majątku.

Ja poślubiłam śmierć.

Kościół był taki pełny, że część ludzi musiała stać z tyłu. Mój ojciec wydał potem wielkie przyjęcie, a niektórzy goście przyjechali aż ze

Sztokholmu. Dużo osób przyszło z czystej ciekawości. Szłam do ołtarza ze swoim ojcem i moja dłoń na jego rękawie była zdrętwiała. Nawet teraz, po tylu latach, widzę twarz księdza, jego brązowe oczy wpatrzone w moje. Był starym mężczyzną, otyłym, i widziałam, jak dyszy.

Na brwiach miał kropelki potu. Ale jego oczy były przyjazne. Utkwiłam wzrok w tych oczach i siłą woli tak trwałam. Niczego więcej nie pamiętam.

Później patrzyłam na plecy mojego ojca i mojego męża, kiedy składali podpisy w księdze. Wyglądali jak partnerzy w interesach

sygnujący dobitną transakcję.

Miałam osiemnaście lat.

Wyszłam na schody kościoła pod rękę ze swoim mężem. Goście sypali ryżem i widziałam ich uśmiechnięte twarze, poruszające się wargi, ale nic nie słyszałam.

Wszyscy wróciliśmy do domu na przyjęcie weselne, które mój ojciec urządził w uprzątniętej stodole. Szerokie drzwi po obu stronach były otwarte, framugi ozdobione gałęziami brzozy. W środku ustawiono długie stoły nakryte białymi obrusami i udekorowane polnymi kwiatami. Ojciec wynajął grupę miejscowych skrzypków i kiedy podjechał nasz powóz, zabrzmiała muzyka. Goście stali kołem, podawano napoje, grały skrzypce, a dla mnie to wszystko kłębiło się w cichym wirze. Śmiertelnie cichym.

Kiedy poproszono, żebyśmy weszli do środka i usiedli do stołu, ojciec ujął moją rękę, podniósł ją i lekko mnie od siebie odwrócił. Prześliznął się wzrokiem po moim ciele, a potem, gdy się pochylił, jego wargi musnęły moje ucho. Nic nie powiedział, ale zapach brandy owiał mi głowę. Raptownie opuścił moją rękę i weszliśmy do środka.

Cały wieczór siedziałam przy weselnym stole, ale nie słyszałam żadnych toastów, nie czułam smaku jedzenia. Czas przestał istnieć. Kiedy po obiedzie mój mąż wstał, wyciągnął rękę i wskazał deski do tańca, wydało mi się to tak niezwykle, że parsknęłam śmiechem. Wziął w ramiona moje martwe ciało i ruszył w niezdarne płąsy, podczas gdy ściana spoconych twarzy przyglądała się z boku. Gdy tylko goście przyłączyli się do tańca, zwolnił uścisk na mojej talii,

odwrócił się i odszedł. Stałam przez moment pośród wirującego tłumy, a kiedy wychodziłam ze stodoły, skłębiona masa jakby rozstępowała się przede mną, robiąc przejście.

Na zewnątrz biały dzień ustępował białej nocy. Na wyblakłym niebie nie było gwiazd. Usłyszałam śmiech zza krzaków bzu - gardłowe wybuchy mężczyzny zmieszane z donośnym chichotem kobiety. Obeszłam dom i usiadłam na trawie przy poziomkach. Podniosłam do twarzy zapaskę, ale nie miałam łez.

Później położyłam się do łóżka w sypialni małżeńskiej na górze.

Mój ojciec przeniósł się do mniejszej sypialni po drugiej stronie podestu i kazał pracującej u nas dziewczynie posłać nam duże łóżko. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy w tym łóżku kładła się moja matka.

Jakbym czuła zarys jej ciała, w którym mieściło się moje ciało. Leżałam na plecach z rękami złożonymi na piersiach na białej lnianej pościeli. Obracałam na palcu gładką złotą obrączkę i patrzyłam przez okno. Czeremcha była cała w kwiatach i płatki na lekkim wietrze spadały jak śnieg. Z ogrodu dobiegał śmiech gości.

Słońce było nad horyzontem, gdy usłyszałam jego kroki na schodach. Otworzył niezdarnie drzwi, potem słyszałam, jak się rozbiera, jego spadające na podłogę buty. Leżałam nieruchomo z zamkniętymi oczami. Pokój wypełniły jego wyziewy, jego zapach, i z trudem łapałam oddech. Zwalił się na łóżko, swoim gorącym ciałem obok mojego.

Wbiłam się głębiej we wklęsłość materaca.

Był tak nieznaczącym człowiekiem. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, stał koło mojego ojca, mizerna kopia. Mniejszy, młodszy, a jednak w czymś podobny. Był niski i już łysiejący w wieku dwudziestu pięciu lat. Jego oczy wyglądały na świat przez grube okulary, bez żadnego wyrazu.

Kiedy położył się przy mnie, w obcej ziemi niczyjej tamtej czerwcowej nocy, miał zamknięte oczy. Obrócił się i położył na mnie, wciskając moje lodowate ciało jeszcze głębiej w materac. Miałam na sobie jego ręce, w uchu jego oddech, ale patrzyłam w sufit, śledząc długie pęknięcie od rogu przez całą białą przestrzeń. Moje ciało spoczywało w ciele mojej matki.

Gdy słońce dosięgło drzewa za oknem, wstałam z łóżka. Musiałam przestąpić jego śpiące ciało. Leżał na plecach. Miał pustą twarz, zamknięte oczy i na wpół otwarte usta ze strużką śliny ściekającą po brodzie. Stałam przyoknie, wyglądając na zewnątrz, ale nic nie widziałam. Nagle za plecami usłyszałam jego schrypnięty szept.

- Wiesz, że teraz to wszystko jest moje. Wszystko, co widzisz przez to okno. Wszystko moje. - Odchrząknął głośno, plując flegmą.

Odwróciłam się do niego.

- Nie ma tu niczego twojego - powiedziałam. - Niczego.

I tak się zaczęło moje długie czekanie.

Den skali komma, denna stund.

Denna insande minut...

Ona nadejdzie, ta chwila.

Ta minuta mrożąca krew w żyłach...

- Teraz, kiedy ten czas wreszcie nadszedł, jestem przerażona.

- Astrid pochyliła się, z rękami skrzyżowanymi na piersi, z oczami wbitymi w trawę u swoich stóp. - Tak się boję.

Veronika obserwowała trzmiela, nadal pochłoniętego swoim samotnym przeglądem kwiatów poziomek.

- Chcesz, żebym cię tam zawiozła? - spytała, na co Astrid podniosła wzrok, nie odpowiadając. - Pojadę z tobą. Zadzwońię do tego domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Veronika siedziała oparta o ścianę, z wyciągniętymi nogami i łokciami na trawie.

- Nie boję się spojrzeć mu w oczy - powiedziała Astrid. - Boję się spojrzeć w siebie.

Siedziały w milczeniu. Astrid odchyliła się na krześle, z twarzą ku niebu, z zamkniętymi oczami. Kiedy zaczęła mówić dalej, wypowiadała słowa powoli, jakby szukała ich głęboko wewnątrz.

- Tyle czekania. Pozwoliłam, by życie uciekało, gdy ja pielęgnowałam swoją nienawiść zamknięta w tym domu. Teraz wiem, że zrobiłam z niego swoje więzienie. Mówiłam sobie, że jestem tu bezpieczna. Mówiłam sobie, że muszę czekać, aż dom się stanie moją własnością.

Przykułam się do tego domu. Teraz rozumiem, że przez wszystkie te lata czekałam, żeby odzyskać wolność, tymczasem jedynymi pętami były te, które nałożyłam sobie sama. - Spojrzała na Veronikę z taką rozpaczą w oczach, że ta bezwiednie odwróciła wzrok. - Ale teraz nadszedł ten czas. Muszę spojrzeć prawdzie w

oczy.

Veronika nie odpowiedziała, tylko usiadła prosto i położyła dłoń na ramieniu Astrid. Stara kobieta patrzyła na horyzont i kiedy znów się odezwała, zmrużyła oczy, jakby próbując się skupić na jakimś punkcie w głębokiej dali.

- Teraz wiem, że to się nie zaczęło od mojego męża. To już we mnie było, kiedy brałam z nim ślub. - Siedziała bez ruchu, z głową opartą o tył krzesła. - To się zaczęło tutaj. To się zaczęło w tym domu.

Kung Liljekonvalje av dungen, kung Liljekonvalje ar vit som sno, nu sorjer unga kungen prinsessan Liljekonvaljemo.

Młody Król Konwalia, król Konwalia biały jak śnieg, oplakuje królową swą; Księżniczkę Konwalię.

Astrid

Nie pamiętam, żeby mój ojciec mnie kiedykolwiek dotykał. Ani czule, ani w złości. Wyjeżdżał na długo i moim jedynym towarzystwem były kolejne młode gosposie. Kiedy był w domu, prawie nie wychodził z gabinetu. Rzadko się do mnie odzywał, a jeśli to robił, zwykle się ograniczał do krótkich zdań. To były praktyczne polecenia, nic osobistego.

Nigdy, ani razu nie wspomniał o mojej matce, a ja intuicyjnie wiedziałam, że też nie powinnam tego robić. Nie wydaje mi się, żebym go kiedykolwiek widziała we właściwy sposób - jako mężczyznę, jako człowieka. Przypuszczam, że dzieci nigdy nie widzą swoich rodziców jako ludzi. Dopiero później, kiedy oglądałam zdjęcia swojego ojca, mogłam powiedzieć, jak wyglądał. Bardzo jasny

blondyn z doskonale symetryczną owalną twarzą, delikatnymi ustami, prostym nosem. Uderzającą cechą były jego oczy - bardzo jasnoniebieskie, jak lód, i prawie przezroczyste, jakby podświetlone od tyłu. U kobiety to byłaby piękna twarz, ale u mężczyzny takie cechy są niepokojące. Zbyt piękne.

Mówiono mi, że mam urodę ojca, ale ja nigdy nie widziałam podobieństwa. Nigdy nie myślałam o sobie, że jestem piękna, nawet kiedy może i byłam.

Był nie najwyższy i dosyć drobnej budowy. Miał bardzo białe ręce o długich palcach. Ręce jakiegoś profesora, a nie rolnika. Został posłany na uniwersytet do Uppsali, ale chyba niczego nie skończył. W tamtych czasach to było niesłychane, żeby ktoś stąd poszedł na studia. To go wyróżniało, z pewnością. Ale kiedy mój dziadek zachorował, ojciec został wezwany z powrotem, żeby zająć się gospodarstwem.

Myślę, że poznał moją matkę na uniwersytecie. Próbowałam sobie wyobrazić, co ich do siebie zbliżyło: ten słaby, drobny mężczyzna i moja wysoka, uderzająco piękna matka. To dla mnie nie do pojęcia. Ale tak jak nie jesteśmy w stanie widzieć obiektywnie, jak wyglądają nasi rodzice, myślę, że nie potrafimy sobie wyobrazić ich życia razem. Wiem tylko, że wszystko, co było dobre w mojej matce, umarło tutaj. Nie potrafię sobie wyobrazić, jaka była reakcja ojca. Pamiętam tylko swoją samotność, własny żal. W mojej pamięci stoję samotna przyoknie, kiedy ona odjeżdża. Gdzie był wtedy mój ojciec?

Przez całe życie nosił ślubną obrączkę, na palcu serdecznym.

Na małym palcu drugiej ręki - złoty sygnet. Wieczorami

siadywał w fotelu w swoim gabinecie, z kieliszkiem brandy w ręce, i kiedy stukał palcem w kieliszek, sygnet wydawał dzwoniące dźwięki.

Myślę, że to mogłoby być łatwiejsze, gdyby zdarzało się regularnie.

Ale było, jak było. Po tamtym pierwszym razie żyłam w ciągłym lęku, mój słuch był wyczulony na najlżejszy dźwięk czy poruszenie w domu. Dopiero gdy wiedziałam, że on wyjechał, mogłam normalnie oddychać.

To stało się tuż po zakończeniu roku szkolnego. Wczesnym latem, miałam wtedy trzynaście lat. Byłam na górze w swoim pokoju. Nazrywałam konwalii i układałam je w dwóch wazonikach: jednym na biurko, drugim na nocny stolik. I nagle jakbym przeczuła dźwięk, nim go usłyszałam. Jak gdyby poprzedzający go zimny podmuch wiatru mnie ostrzegł. Potem ten dźwięk. Zawołał mnie. Pojedyncze słowo przeszło cichy dom jak błysk kulistego pioruna. Ojciec rzadko się do mnie odzywał i nigdy nie używał mojego imienia. A wtedy, ni stąd, ni zowąd: „Astrid!”. Nie zawołał głośno, a jednak był to ogłuszający dźwięk, wdzierający się po schodach i do mojego pokoju. Kwiaty wypadły mi z rąk i rozsypały się na biurku. W jednej sekundzie świat, w którym małe dziewczynki zrywają konwalie, zniknął. Znalazłam się w nowej przestrzeni, gdzie byliśmy tylko my dwoje.

Kiedy zeszłam na dół, ojciec był w swoim gabinecie. Miał zaciągnięte zasłony. Siedział w fotelu, z kieliszkiem w dłoni. Zatrzymałam się w progu, zeszywniała, z rękami przyklejonymi do

boków, z zaciśniętymi pięściami. Skinął głową, żebym weszła do środka. Stałam przed nim, a on przez jakiś czas wpatrywał się we mnie bez słowa. Jego blade oczy lśniły; w przyćmionym świetle wyglądały jak żywe płomienie. Były wbite nieruchomo i bez wyrazu w moje ciało, kiedy otworzył usta i kazał mi się rozebrać.

Moje sztywne palce walczyły z guzikami i zapięciami, podczas gdy jego oczy były ciągle wlepione we mnie, bez mrugania. Kiedy stałam przed nim naga, prześliznęły się wolno po moim ciele. Nie było żadnego dźwięku: wszystko w tym nowym świecie działało się w ciszy. Gdy upłynęła wieczność, gestem ręki kazał mi się odwrócić. Stałam plecami do niego, patrząc na niedopaloną szczapę w kominku. Jedynym dźwiękiem był rytmiczny szelest wełny pocieranej o wełnę, jego rękawo jego spodnie. Mijał czas. Mijała cała moja młodość.

Odwróciłam się dopiero wtedy, gdy usłyszałam jego kroki na podłodze i dźwięk zamykanych drzwi. Kiedy schyliłam się po ubranie, czułam, że moje ciało już nigdy nie będzie zdolne poruszać się sprawnie.

Miałam zdrętwiałe stopy, sztywne nogi i z trudem stapałam po schodach. Przeszłam wolno przez podest na piętrze, niosąc w ramionach tobołek ubrań jak martwe ciało. Zamknęłam się w łazience, nalałam zimnej wody do umywalki i szorowałam myjką całe ciało, aż zaczęła palić mnie skóra. I wreszcie się rozplakałam. Siedziałam na podłodze, z myjką na twarzy, płacząc dotąd, aż zabrakło mi łez.

Później, kiedy leżałam w łóżku, pokój wciąż pachniał konwaliami.

Leżałam zupełnie bez ruchu, na plecach, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Przez moment widziałam siebie z dużej odległości, jakbym obserwowała się z góry. Widziałam każdy najdrobniejszy szczegół: jak wciąż starannie były zaplecione moje włosy, deseń narzuty, białe biurko, na którym leżały rozsypane kwiaty. I chciałam to naprawić. Chciałam przenieść dziewczynkę w łóżku do poprzedniego świata. Ale nie mogłam. Jedyne, co mogłam zrobić, to zostawić ją tam, gdzie była.

Dar finns bara franvaron, sittande av en manniska som for lange sedan gatt, en aning lutad mot armstodet omgiuen av natt.

Jedyna tu obecność, siedząca, osoby odeszłej dawno temu w fotelu lekko rozparte w nocy otuleniu.

Veronika trzymała rękę w powietrzu, gotowa zapukać, gdy Astrid otworzyła drzwi. Musiała czekać w korytarzu. Stara kobieta nie zrobiła nic, żeby się dobrze prezentować: była w swoich codziennych workowatych sztruksowych spodniach i flanelowej koszuli w kratę z podwiniętymi rękami.

Kiedy wreszcie spotkały się wzrokiem ponad dachem samochodu, oczy Astrid były nagie i szeroko otwarte, patrzące w oczy Veroniki z jawnym przerażeniem. Jak oczy dziecka, niczego nieskrywające. Wyruszyły tuż po dziewiątej rano, wzbijając za sobą tumany kurzu na nieubitej drodze. Astrid siedziała z rękami wciśniętymi między kolana, zgarbiona i patrząca prosto przed siebie.

Jechały w milczeniu. Ruch był większy niż zwykle z powodu zbliżających się długich świąt letniego przesilenia. Veronika włączyła

radio i nastawiła lokalną stację, która nadawała lekką wakacyjną muzykę.

Przy odsuniętej trochę szybie od strony kierowcy muzyka i świst powietrza nakładały się na siebie. Przez całą drogę nie zamieniły słowa i Veronika zaczęła się zastanawiać, czy Astrid nie śpi.

Skręciły z głównej drogi i dojechały do domu opieki tuż przed dziesiątą, w samą porę na umówione spotkanie z przełożoną pielęgniarek.

Budynek był ponurą konstrukcją z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku: trzy niskie pawilony pomalowane na ciemnozielono i połączone przeszklonymi korytarzami. Pośrodku klombu, z wiechciowatymi krzakami róż walczącymi o przeżycie w spękanej ziemi, stała mała betonowa fontanna, z której nie tryskała woda.

Pokonały metalowe schodki do drzwi frontowych i weszły do środka. W holu recepcyjnym było pusto, zastygłe powietrze miało zapach detergentów i umierających ciał, mdłego jedzenia i wymuszonej pogody ducha. Na małym kontuarze po prawej stronie stał wazon ze zwiędłymi chabrami, ale krzesło za nim było puste. Gdy

Veronika nacisnęła dzwonek, przez drzwi z tyłu wyłoniła się jakaś kobieta. Gumowe podeszwy jej butów skrzypiały na błyszczącym linoleum. Była w średnim wieku, miała pospolitą twarz i masywne ciało, które zdawało się wlane w jej opięty na piersiach i brzuchu uniform. Z profesjonalnie pocieszającym uśmiechem wyciągnęła rękę na powitanie.

- Jestem siostra Britta - powiedziała.

Veronika spojrzała na Astrid, która stała, nie reagując, z opuszczonymi bezwładnie rękami. Przez krótki moment ręka pielęgniarki trwała daremnie w przestrzeni dzielącej trzy kobiety, zanim chwyciła ją Veronika.

- A pani na pewno jest córką.

Veronika rzuciła Astrid szybkie spojrzenie, ale stara kobieta nadal stała bez ruchu, z nieobecny wzrokiem.

- Nie, nie - powiedziała Veronika. - Tylko przyjaciółką. - Pomyślała, że pielęgniarka przyjęła bardzo prawdopodobne założenie, i ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że sama nie ma nic przeciwko temu.

Zostały poprowadzone do małego pokoju z biurkiem i stojącymi naprzeciwko dwoma plastikowymi krzesłami. Pielęgniarka zajęła miejsce za biurkiem i gestem ręki poprosiła Veronikę i Astrid, żeby usiadły. Słońce wlewało się przez listwy żaluzji zasłaniających okno za plecami pielęgniarki, pozostawiając jej twarz ocienioną, w obramowaniu z kędzierzawych włosów, jakby zaplątaną w pajęczyny.

- Pan Mattson umiera - powiedziała. - Jak wyjaśniłam pani Mattson przez telefon, nic więcej nie możemy dla niego zrobić. To był bardzo długi proces, ale teraz to już sprawa dni, być może godzin. - Splotła ręce na biurku. - Cóż, pani Mattson nie była częstym gościem...

- Tu zawiesiła głos. - Ale skoro mówimy dziś o bardzo krótkim czasie, bardzo krótkim czasie, pomyślałam, że doceni możliwość

właściwego pożegnania.

Nastało milczenie i słychać było odgłos spuszczonej w toalecie wody oraz brzęk metalu o metal.

Pielęgniarka pokiwała głową samej sobie, z aprobatą. Jej splecione ręce na błyszczącym blacie leżały nieruchomo. Świergotały ptaki i przez okno dolatywał zapach świeżo skoszonej trawy. Na zewnątrz toczyło się życie; wewnątrz małego pokoju obecność śmierci wsysała powietrze.

- Proszę pozwolić mi go zobaczyć.

Te słowa, choć wypowiedziane cicho, zdały się tłumić wszystkie inne dźwięki. Nawet śpiewanie ptaków jakby nagle ustało. Astrid wstała, podpierając się ciężko o tył krzesła.

- Chcę go teraz zobaczyć.

Znajdował się w dwułożkowym pokoju, ale drugie łóżko było wolne. Okno wychodziło na północ i mimo ciepłej pogody powietrze zdawało się przejmująco chłodne, nieruchome i stęchłe. Nic w tym pokoju nie dawało wrażenia prywatności. Ciało w łóżku było równie pozbawione życia jak obite plastikiem krzesło w rogu przyoknie i szare pasiaste zasłonki wiszące apatycznie po obu stronach okna.

Stały w nogach łóżka i spojrzały na nieruchomy kształt, który je zajmował. Veronika nie dostrzegła żadnych oznak życia. Twarz była papierowo białą maską, pozbawioną osobowości. Oczy zamknięte.

Ciało wydawało się tak lekkie, że prawie nie robiło wgłębienia w materacu ani na poduszce; nie widać też było zagnieceń na sztywno

naciągniętym na łóżko i równo poutykanym pod materacem białym bawełnianym kocu. Ta istota ludzka została sprowadzona do obojętnej formy fizycznej: z kończynami i narządami, lecz bez tożsamości. Nie sposób było wyobrazić sobie człowieka, który niegdyś to ciało zamieszkiwał.

- Przyjechałam zobaczyć, jak umierasz, Anders - powiedziała Astrid do bezwładnego ciała. - I zostanę tu do samego końca.

Czy to miały być słowa pocieszenia? Czy groźby? Veronika zerknęła na starą kobietę, ale nie znalazła podpowiedzi w jej bladej twarzy.

Oczy Astrid niewzruszenie spoczywały na pacjencie. Stała w nogach łóżka, nie dotykając go, z rękami założonymi za plecy.

Veronika wyszła z pokoju i wróciła do recepcji. Pielęgniarka siedziała za kontuarem. Podniosła wzrok i uraczyła Veronikę jednym ze swoich wyważonych, profesjonalnych uśmiechów.

- To zawsze jest trudne - powiedziała - ale tutaj dobrze sobie z tym radzimy.

Veronika usiadła na jednym z krzeseł dla czekających. Radzimy sobie z czym?, pomyślała. Czy któraś z nich ma blade pojęcie o tym, co się dzieje w zamkniętym pokoju? Co się dzieje między tych dwojgiem ludzi? Umierającym mężczyzną i jego żoną - czy kobietą i życiem dobiegającym kresu?

W końcu Veronika wyszła na zewnątrz i usiadła na trawie pod brzozaami. Minęło sporo ponad godzinę, zanim Astrid pojawiła się na schodach przed wejściem. Stała, mrużąc oczy w jaskrawym słońcu, z

dłonią na poręcz. Veronika podeszła, zrobiła gest, jakby chciała objąć starą kobietę, ale opuściła ramiona i tylko lekko położyła rękę na jej ramieniu. Zeszły po schodach i skierowały się do jednej z ławek na wprost suchej fontanny i klombu.

- To może potrwać tygodnie - powiedziała Astrid, gdy obie usiadły.

- Albo skończyć się dzisiaj. Nikt nie wie. O trzeciej będzie lekarka.

Pojechały do najbliższego miasteczka, żeby coś zjeść. Wybór był między małym barem a budką z hot dogami. W pustym barze zalatywało kawą, która przez parę godzin stała na płytce do podgrzewania.

Usiadły przy małym stoliku z ceratą w biało-niebieską kratkę.

Przy braku oznak ludzkiej obecności Veronika naląła dwie filiżanki parującej gorzkiej kawy z dzbanka na ladzie. Kiedy usiadła, z zaplecza wynurzyła się młoda dziewczyna i zamówiły po kanapce z szynką. Jedzenie dostały szybko, w hojnych porcjach i świeże. Mimo to Astrid nie tknęła swojej kanapki, sącząc nadal kawę.

Trzymając oburącz filiżankę, spojrzała na Veronikę.

- Nie musisz ze mną czekać. Poradzę sobie.

- Oczywiście, że poczekam. Zobaczymy, co powie lekarka.

Wróciły do domu opieki i usiadły w cieniu na ławce. Veronika miała kupioną gazetę i zaczęła czytać, Astrid siedziała w milczeniu, z zamkniętymi oczami. Lekarka przyjechała zakurczonym starym volvo kombi kwadrans po trzeciej. Wyrażnie się ich spodziewając,

zamachała i poprosiła, by weszły z nią do środka.

Astrid i Veronika jeszcze raz zostały zaproszone do małego gabinetu. Lekarka była młoda i opalona, ubrana w wytarte dżinsy i bluzkę bez rękawów, jakby to był krótki przerywnik zawodowy podczas letnich wakacji. Przy tym miała uprzejmą minę i zdołała nie okazać najmniejszego zniecierpliwienia.

Nie umiem powiedzieć dokładnie, ile czasu zostało. - Nie miała miejscowego akcentu, dlatego Veronika pomyślała, że może być na letnim zastępstwie. Lekarka daremnie próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Astrid, w końcu skierowała oczy pa Veronikę. - Pani ojciec ma słabe serce. - Zerknęła na leżące przed nią historie chorób.

Nie zna pacjenta; być może po raz pierwszy spojrzała na te papiery, pomyślała Veronika. I tym razem nie sprostowała błędnego przypuszczenia.

- Jak zapewne powiedziała już paniom siostra, to może być kwestia godzin. Albo dni. W każdym razie niedługo. - Zwróciła oczy na Astrid. - Możemy się postarać, żeby przyszedł ktoś z kościoła i z panią posiedział - powiedziała, na co stara kobieta bez słowa pokręciła głową. - Może pani przychodzić i wychodzić, kiedy pani zechce, ale w nocy mamy tylko jedną dyżurującą osobę, więc byłoby najlepiej, gdyby została pani na całą noc albo wyszła o dziesiątej i wróciła z samego rana.

- Zostanę na noc. Zostanę tak długo, jak trzeba, do końca. - Astrid mówiła ze wzrokiem utkwionym w okno za plecami lekarki.

Pielęgniarka zaprowadziła je znów do pokoju, po czym wyszła

po drugie krzesło. Ustawwszy oba krzesła przyoknie, usiadły. Przez zamknięte drzwi słycać było dźwięk miękkich kroków, otwieranie i zamykanie drzwi, od czasu do czasu jakiś przyciszony głos. Na zewnątrz były ptaki, z rzadka przejeżdżał w oddali samochód. W samym zaś pokoju panowała absolutna cisza. Veronika nie była pewna, czy

Astrid nie śpi: siedziała odchylona do tyłu, z zamkniętymi oczami.

Na najlżejszy jednak szmer dobiegający z łóżka siadała wyprostowana, przytomna i czujna. Czekwały. Na zewnątrz zapadł zmierzch, lecz biała letnia noc wciąż dawała im tyle światła, ile potrzebowały.

Przed dziesiątą, pod koniec swojej zmiany, pielęgniarka zapukała lekko do drzwi. Podeszła do łóżka, sprawdziła stan pacjenta, wygładziła nieskazitelny koc, skinęła głową obu kobietom i wyszła. Nieco później pielęgniarka z nocnego dyżuru zrobiła to samo. Przedstawiła się, obejrzała pacjenta i powiedziała, by w razie potrzeby dzwoniły.

W ciszy, która potem zaległa, Veronika przysnęła.

Obudziła się gwałtownie, nie mając pojęcia, jak długo mogła spać.

Astrid stała w nogach łóżka, cicho mówiąc. Veronika nie słyszała słów i została na swoim miejscu, nieporuszona. Gdy obudziła się następnym razem, Astrid stała przyoknie. Była czarną sylwetką na tle białego świtu na zewnątrz i otulała się ramionami, jakby z zimna.

Gdy Veronika poprawiła się na krzesło, zaszeleścił plastik.

- Możemy jechać - powiedziała Astrid, nie odwracając głowy.
- Skończyło się.

Potem wolno wracały do domu wyludnionymi drogami. Było widno jak w pochmurny dzień, ale tak absolutna cichość mogła należeć tylko do nocy. Było tuż po pierwszej. Podróżowały w świetle, który zdawał się nie mieć żadnych innych mieszkańców. Veronika zerknęła w bok, żeby sprawdzić, czy kobieta nie śpi, i dopiero wtedy zauważyła, że Astrid płacze. Bezgłośnie. Łzy ciekły jej po twarzy i spadały na ręce, które trzymała na kolanach, dłońmi do góry. Veronika odwróciła wzrok i przez resztę podróży patrzyła na drogę.

Kiedy się w końcu zatrzymała przed domem Astrid, słońce wisiało tuż nad horyzontem. Była wigilia Midsommar, najdłuższy dzień roku.

Veronika obeszła samochód i otworzyła drzwi pasażera. Astrid siedziała jak przedtem, łzy wciąż kapały jej z oczu i Veronika musiała delikatnie pomóc jej wysiąść. Podtrzymywała starą kobietę, dopóki nie doszły do drzwi frontowych.

- Mogę na chwilę wejść? - spytała, gdy Astrid szukała kluczy w kieszeniach spodni.

Nie doczekała się odpowiedzi, lecz Astrid, wchodząc do środka, zostawiła otwarte drzwi. Veronika zamknęła je za sobą.

Astrid stanęła przy kuchennym oknie. Przez szybę wpadały pierwsze promienie słońca, smużkami złota snuły się w powietrzu i osiadały na drewnianej podłodze.

- To nie dla niego - powiedziała. - Moje łyzy. One nie są dla niego. Są dla mnie.

Veronika podeszła do Astrid. Otuliwszy ją ramionami, trzymała w objęciach i stały tak przez chwilę w milczeniu.

- Pomogę ci się położyć, dobrze? - powiedziała Veronika.

- Na górze. Myślę, że będę spała dzisiaj na górze.

Powolutku wspięły się na piętro. Przemierzyły przestronny podest, gdzie poranne światło igrało z kurzem, który wzbijały ich kroki, i zatrzymały się przed sypialnią małżeńską. Astrid otworzyła drzwi i weszły do środka. Wciąż opierając się na ramieniu Veroniki, stara kobieta podeszła do podwójnego łóżka i usiadła przy odsłoniętych poduszkach.

Zdjęła buty i przez moment siedziała bez ruchu. Biała roleta w oknie była zaciągnięta, ale wschodzące światło nowego dnia przenikało do wnętrza wraz z głosami budzących się ptaków. Astrid podciągnęła nogi, położyła się i odwróciła do ściany w pozycji embrionalnej.

Veronika patrzyła na plecy starej kobiety, na przetarte na piętach za duże skarpetki. Jej wąskie plecy pod zmiętą koszulą. Schyliła się, zdjęła własne buty i położyła się obok. Dopasowała się do Astrid i kiedy noc stała się dniem, leżały przytulone, dalekie od zaśnięcia.

- W Sztokholmie jest pewien mężczyzna - powiedziała cicho Veronika. - Ma na imię Johan. Chciałabym ci o nim opowiedzieć.

Vem spelar i natten om dig och mig pa en floit, en liten flojt av silver?

Var kartek dr dod: Ndr talte jag til! dig.

- En fløjt, en liten floit av silver.

Kto gra nocą; o tobie i o mnie

Na flecie, małym srebrnym flecie?

Nasza miłość umarła. Kiedyż ja do ciebie mówiłem.

- Flet, mały srebrny flet.

Veronika

Znam Johana od tak dawna, że czasem w ogóle zapominam, że był czas, kiedy go nie znałam.

Zadzwonił do mnie do Londynu i poprosił, żebym przyjechała na Boże Narodzenie do domu. Jego głos brzmiał tak blisko, jakby dzwonił z sąsiedniego pokoju. Spojrzałam na okna, po których ściekał deszcz jak czarne łzy. Podarunkiem od Jamesa okazał się nowy telefon komórkowy, taki z kamerą. Na bileciku napisał, że chce, żebym go widziała, kiedy dzwoni. I kiedy dzwonił z Auckland, słyszałam jego głos mówiący o morzu, o surfingu i o kwiatach na drzewie cytrynowym w ogrodzie jego matki, podczas gdy jego uśmiechnięta twarz patrzyła na mnie z małego ekranu. Ale jego słowa docierały do mnie zza jakiejś przepaści, niewyraźne i odległe. Przyciskałam telefon do ucha, ale miałam wrażenie, jakby padający między nami deszcz rozmywał dźwięk i obrazy.

Wyleciałam z Heathrow trzy dni przed świętami. Johan chciał po mnie wyjechać na lotnisko Arlanda, ale się nie zgodziłam. Nie byłam pewna, czy jednak nie postawi na swoim, i czułam ulgę, kiedy się okazało, że go tam nie ma. W Sztokholmie było równie ponuro i

mokro jak w Londynie, ale zimniej; ulice pokrywała szara breja. Dojechałam autobusem do miasta, potem wsiadłam w metro. Nastąpiło późne popołudnie, świat dookoła był zbitą ciemnością ze świątecznymi dekoracjami i światłami miasta, które dostarczały surrealistycznej ulgi. Zatłoczony wagon okropnie śmierdzał moką wełną i potem.

Wysiadłam na Karlaplan i ciągnęłam za sobą przez śnieg walizkę, cackając się po dziecinnemu z każdym żalonym chlupoczącym krokiem, gdy do butów przesiąkała mi lodowata woda. Przeszłam przez ulicę i dotarłam do przeszklonych frontowych drzwi kamienicy. Wbiłam kod w domofonie i w sposób odruchowy oparłam się barkiem o drzwi, żeby je pchnięciem otworzyć. Kiedy zdałam sobie sprawę, że nie ustępują, że kod musiał zostać zmieniony, poczułam nagłą złość

I rozczarowanie.

Żyrandol po drugiej stronie szyby roztaczał ciepłe żółte światło, a ja stałam na zewnątrz, z mokrymi i zdrętwiałymi stopami. Z nieba nad moją głową padały wielkie pojedyncze płatki śniegu, momentalnie topniejąc, gdy osiadały mi na włosach i ramionach. Wcisnęłam domofon i Johan odebrał natychmiast, jakby wyczekiwał tego dzwonka.

Wjechałam windą na czwarte piętro. Stał w drzwiach, oświetlony od tyłu, i czułam zapach gotowania. Wydawał się wyższy, jakby urósł pod moją nieobecność. Uścisnął mnie lekko, muskając policzkiem o policzek, a potem się schylił po moją walizkę. Zmienił

płyn po goleniu - i zdziwiło mnie, że to zauważyłam.

Weszłam za nim do środka, dostrzegając małe nowości i zmiany: oprawiona grafika na ścianie przy drzwiach kuchennych, stołek tuż za tymi drzwiami, doniczka z bluszczem na kuchennym parapecie.

Mieszkanie wyglądało tak samo, a jednak zupełnie inaczej. Nie było mnie prawie rok, ale miałam wrażenie, jakby o wiele dłużej. Jakbym

98 mieszkała tam w dawnym, innym życiu. Oboje poświęciliśmy wiele czasu na remont, skrupulatnie robiąc wszystko sami, pomiędzy studiami a pracą. To było małe mieszkanie - tylko jeden duży pokój, kuchnia, łazienka i przedpokój. Uwielbiałam kuchnię. Była w niej wielka gazowa kuchenka i kupiliśmy używane szafki - niektóre bardzo stare, wszystkie wolno stojące. Nie było żadnych wbudowanych mebli ani sprzętów.

Teraz, kiedy stałam w progu, patrząc, jak Johan smaży bałtyckie śledzie, moje ulubione danie, wiedziałam, że ta przestrzeń nie należy już do mnie. Miał małą stertę oczyszczonych ryb na talerzu, posiekany koper na drugim, dalej miskę z roztrzepanymi jajkami i talerz z razową żytnią mąką. Metodycznie kładł obok siebie dwa małe płaskie śledzie, rozcinał, posypywał od środka koperkiem, solą i pieprzem, potem układał jednego na drugim, ściskał je razem i zanurzał w jajku, a na koniec obtaczał w żytniej mące. Jego ręce wykonywały przemyślane ruchy, jakby przećwiczył wcześniej cały proces dla pewności, że dobrze wypadnie. Później brał rybę na łopatkę i zsuwał na patelnię z gorącym masłem.

Wydawał się pochłonięty pracą, lecz nagle spojrzał na mnie z uśmiechem, wzruszając ramionami, jakby z zakłopotania. Ja też się uśmiechnęłam i weszłam do pokoju. Gotujące się ziemniaki zaparowały okno. Johan nakrył długi stół dla dwojga: talerze bezpośrednio na stole, bez podkładek, z boku koszyk z białymi hiacyntami w białym mchu i bożonarodzeniowy świecznik z zapalonymi wszystkimi czterema świecami. W starym kaflowym piecu płonął ogień. Bolało mnie gardło, kiedy boso obchodziłam pokój; czując, jak powoli rozgrzewają mi się stopy. Grała muzyka Johana. Nie zwróciłam na to uwagi z kuchni, ale teraz natychmiast ją poznałam. Był bardzo szczęśliwy, kiedy to pisał, świeżo przyjęty do Akademii Muzycznej. To był Dzień

Wszystkich Świętych i wybraliśmy się na długi spacer do Parku Haga i z powrotem, przez Cmentarz Północny, gdzie w zamglony wczesny wieczór migotały tysiące świec. Obejmując mnie ramieniem, powiedział, że jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy. A kiedy wróciliśmy do domu, puścił taśmę. Jego muzyka była jak tamten dzień: pełna radości i głęboko kojąca.

Poszłam do łazienki, odkręciłam kran i stałam oparta o umywalkę.

Na identycznych haczykach wisiały dwa ręczniki: jeden używany, drugi świeżo rozłożony, z wyraźnymi zagięciami. Ochlapałam twarz zimną wodą i potarłam policzki czystym ręcznikiem.

Usiedliśmy do stołu, na swoich zwykłych miejscach: Johan przy

ścianie, ja plecami do pokoju. Nagle do mnie dotarło, że nie widziałam kotki.

- Gdzie jest Loa? - spytałam. Johan zajął się nakładaniem ryby i nie odpowiedział od razu. - Chyba nie oddałeś jej do uśpienia?

Podniósł wzrok i utkwiał swoje szare oczy w mojej twarzy.

- Oczywiście, że nie. - Postawił rybę na stole i podniósł salaterkę z tłuczonymi ziemniakami, zanim powiedział coś więcej. - Chodzi o to, że oboje byliśmy tak bardzo nieszczęśliwi. Ona co wieczór błąkała się po mieszkaniu, szukając, nim pogodziła się z faktem, że ciebie tu nie ma. A ja złapałem się na tym, że robię to samo. Błąkając się nerwowo, na wpół się łudząc, że po powrocie do domu znajdę cię w łóżku. I kiedy wreszcie udawało mi się na moment wybić sobie z głowy tę myśl, znów pojawiała się Loa, wpatrując się we mnie smutnym, oskarżycielskim wzrokiem. Jeśli leżałem, nie mogąc zasnąć, budziłem ją. Jeśli spałem, ona budziła mnie swoim rozpaczliwym włóčeniem się po domu. Bez przerwy przypominaliśmy sobie nawzajem o naszej niedoli. - Nalał wina. - Więc zawiozłem ją do mamy na wyspę. Dwie starsze panie, obie zawiedzione - wygląda na to, że dobrze im ze sobą. - Podniósł oczy i uśmiechnął się. ~. Jeśli zostaniesz, odzyskamy ją.

Zamiast odpowiedzieć, podniosłam kieliszek. On podniósł swój i wyciągnął drugą rękę, żeby dotknąć mojego ramienia.

- Tak czy inaczej, spotkacie się wszystkie podczas świąt. Mama zaprosiła nas na tradycyjny wegetariański świąteczny obiad. Nie będzie żadnej szynki, za to mnóstwo szlachetnego wina. Będziemy

musieli zostać na noc, oczywiście. Będzie ciasno, dziewiątka nas w jej małym domu. Ale znów będziemy razem. Przyjechali już z Umei Maria z Tobiaszem, mama zaprosiła swoją starą przyjaciółkę Birgittę i jej syna Fredrika, a ja Simona i Petrę. Simon i ja próbujemy utrzymać zespół, ale przez kilka ostatnich miesięcy nie mieliśmy za dużo czasu.

- Opierał się o ścianę, patrząc prosto na mnie. - Chyba że masz inne plany, rzecz jasna - powiedział, co wypadło niemal przepraszająco.

Jakby żałował, że dał się ponieść i mówił za dużo.

- Nie, nie mam żadnych planów. To brzmi cudownie. Dziękuję.

- Wzięłam łyk wina, słuchając muzyki.

Skończyliśmy jeść i sprzątnęliśmy ze stołu, zmywając naczynia tak, jak robiliśmy to zawsze: Johan mył, ja wycierałam. Potem on zrobił kawę i wróciliśmy do stołu. Siedzieliśmy w milczeniu w świetle migoczących świec, za ciemnym oknem padał śnieg. Johan pochylił się i ujął przez stół moje dłonie.

- Jestem taki szczęśliwy, Veroniko. Teraz, w tym momencie, to jest absolut. Nieważne, co będzie jutro; w tej chwili jestem tutaj. Z tobą. I jestem szczęśliwy.

Później, kiedy wyszłam z łazienki, on otworzył okno. Płatki śniegu wpadały do środka i topniały na podłodze, zamieniając się w kropelki wody. Odkryłam pościel i weszłam do łóżka. Pokój był ciemny, oświetlony tylko latarnią uliczną i gasnącym żarem w piecu. Johan zniknął w łazience, a ja leżałam bez ruchu, obserwując śnieg.

Kiedy wrócił, zamknął okno i szybę pieca. Wśliznął się do łóżka

jak kot, prawie nie poruszając pościeli. Przekręciłam się na bok, twarzą do ściany. On się położył i wyczułam delikatny zapach pasty do zębów. Leżałam nieruchomo, tak jak on. Po chwili poczułam na plecach jego dłoń. Nie natarczywą. Tylko przesuwaną się wolno w dół kręgosłupa. Potem się odwrócił, plecami do mnie, podeszwą stopy dotykając mojej.

Rano, kiedy się obudziłam, miejsce koło mnie było puste, ale gdy wyciągnęłam rękę, poczułam, że pościel jest jeszcze ciepła. Usłyszałam, jak Johan krząta się w kuchni, i poczułam zapach tostów. Wstałam, owinęłam się w koc i podreptałam do kuchni. Przez chwilę stałam w progu, przyglądając mu się bez słowa. Odwrócony do mnie plecami ustawiał na tacy kubki, talerze, koszyk z chlebem, dżem i ser. Świece na stole znów były zapalone. Przez filtr ekspresu sączyła się kawa. Johan był w swoim starym zielonym szlafroku, wypłowiałe spodnie od pidżamy sięgały mu do połowy łydek. Miał bose stopy. Podeszłam do niego, objęłam go w pasie i przylgnęłam swoim okutym ciałem do jego pleców. Nie odezwał się, tylko znieruchomiał na moment z koszykiem chleba w ręce.

- Będę musiał niedługo wyjść - powiedział, kiedy usiedliśmy do śniadania. Spojrzałam w stronę okna, ale nic nie wskazywało, która może być godzina. Choć padał śnieg, było całkiem ciemno. - Dogram tylko sprawy - to mój ostatni dzień pracy przed Bożym Narodzeniem. Moglibyśmy złapać pierwszy prom jutro rano.

Trzymałam oburącz kubek, dmuchając na parującą kawę.

- Dobrze. Wybiorę się w takim razie na małe świąteczne zakupy

- powiedziałam. I na króciutką chwilę poczułam radość oczekiwania.

Kiedy wyszłam na ulicę, świat był stonowanym półmrokiem, w którym ludzie chodzili w głębokim po kostki śniegu, unosząc stopy ruchem brodzących ptaków. Latarnie wciąż się paliły, choć dochodziła dziesiąta.

Ruszyłam ulicą Sturegatan do Stureplan i dalej Biblioteksgatan.

Sklepy już się otwierały i miały rozświetlone witryny. Przeszłam przez

Norrnalmstorg, gdzie jarmark gwiazdkowy szykował się pospiesznie do handlowego szczytu roku.

W chwili, kiedy wchodziłam do domu towarowego NK, zadzwoniła komórka. Zanim udało mi się rozplątać paski plecaka i wygrzebać ją z przedniej kieszeni, dzwonienie ustało. Zdenerwowana przyłożyłam telefon do ucha.

- Veronika - powiedziałam, zasłaniając ręką drugie ucho.

- To ja, James. - Potem była długa pauza i zastanawiałam się, czy nas nie rozłączyło, ale w końcu się odezwał. - Tęsknię za tobą.

Ponieważ stałam w samym wejściu, gorąca dmuchawa ogrzewała mi plecy, a w twarz wiało zimne powietrze.

- James. - Patrzyłam na ulicę i poruszające się wolno samochody, jak olbrzymie ryby w akwarium. Światła reflektorów tworzyły tunele w kłębiącym się śniegu.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- W Sztokholmie. Jest Boże Narodzenie - powiedziałam, słysząc, jak głupio to brzmi. - Postanowiłam przyjechać na święta do domu.

Zaśmiał się, i nagle sobie przypomniałam poczucie szczęścia.

- Przyjedź do Nowej Zelandii, Veroniko. Przyjedź tu i bądź ze mną. Tu też jest Boże Narodzenie. Raz do roku. Reszta też nie jest zła. Przyjedź i żyj ze mną w nowym świecie.

Odsunęłam komórkę od ucha i spojrzałam na jego twarz na wyświetlaczu. Urosły mu włosy, pomyślałam. Uniosłam głowę i wystawiłam twarz na opadające płatki śniegu.

Nim zaczął mówić dalej, podjęłam decyzję.

Przeszłam przez park Kungstradgarden, gdzie obrysowane na biało rzędy wiązów wyglądały jak pokryte lukrem. Łyżwiarze zapełniali niewielkie lodowisko, obracając się z wdziękiem w takt muzyki z głośników, w powietrzu było gęsto od wolno wirujących płatków śniegu.

Minęłam Dom Opery i przekroczyłam most w kierunku Starego Miasta, Gamla Stan. Woda parowała i kaczki oraz łabędzie gromadziły się na skorupie lodu wzdłuż brzegów, przestępując z nogi na nogę i spoglądając na przechodniów głodnymi oczami.

Przedryfowałam przez tłumy na targu na Stortorget. Powietrze pachniało grzany winem, piernikami, świecami i wędzonym mięsem.

Na środku placu grupka przytulonych do siebie ludzi śpiewała a capella kolędy, wydechając z każdą nutą białą mgiełkę.

Miałam poczucie, jakby nagle obudziły się moje zmysły. Jakbym wszystko notowała, zbierała obrazy na przyszłość. Wyjeżdżałam. Ni z tego, ni z owego postanowiłam wybrać się w

podróż na koniec świata, żeby zostać z mężczyzną, którego ledwie znałam. Po to, żebym znów mogła się śmiać.

Wieczorem poszliśmy do Bill. Porten. Johan zrobił rezerwację.

Na wszystkich stolikach paliły się świece i menu było wciąż takie samo. Miał wilgotne włosy i mnóstwo toreb z zakupami, które upchnął pod krzesło. Zamówiliśmy butelkę czerwonego wina. Usiadł naprzeciwko mnie, pocierając dłonie, i wtedy sobie przypomniałam, jak marzyły mu zawsze palce.

- Z zimna drętwieją mi ręce - powiedział z zakłopotanym uśmiechem, dmuchając w swoje stulone dłonie.

Spojrzałam na jego twarz, zapisując i to. Szare oczy, białka bielsze niż we wszystkich innych oczach, które kiedykolwiek znałam, prawie bladoniebieskie. Jasne wywinięte rzęsy. Długi orli nos. Cienkie jasne włosy, które wkrótce mogły się zacząć przerzedzać. Uderzyła mnie myśl, że musimy wyglądać jak szczęśliwa para na romantycznej przedświątecznej kolacji. Kochankowie. Szczęśliwi razem.

Jedliśmy i rozmawialiśmy. W ciepłym świetle świec można było odeprzeć na chwilę świat zewnętrzny. Zamówiliśmy kawę z bitą śmietaną i nieuchronny moment się zbliżał.

Kiedy mu powiedziałam, byłam pewna, że nigdy więcej nie chciałabym nikomu sprawić takiego bólu. Może to była iluzja, gra światła, ale miałam wrażenie, jakbym oglądała czyjąś śmierć. Jakby nagle całe życie uszło z jego twarzy i ciała. Siedział absolutnie nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami. Tylko jego ręce się poruszały, splatając i rozplatając. Potem łzy popłynęły mu z oczu i

spadały na dłonie. Nie zrobił żadnego gestu, żeby je otrzeć. Nie było niczego, co mogłabym powiedzieć, więc siedzieliśmy w milczeniu, podczas gdy ludzie przy innych stolikach dalej jedli, śmiejąc się i rozmawiając. Jak gdyby zupełnie nic się nie zmieniło. W końcu przeprosił i wyszedł do toalety. Zapłaciłam rachunek i czekałam na Johana przy wyjściu z naszymi torbami.

Wróciliśmy taksówką. W domu posiedzieliśmy przy stole, pijąc whisky i niewiele mówiąc. Zasugerowałam, że może nie powinnam z nim jechać do jego matki. Spojrzał na mnie bez słowa, a po jakiejś chwili wstał i odszedł w stronę kuchni.

- Zdecydujemy jutro - powiedział odwrócony do mnie plecami.

Rano wiedzieliśmy bez słów, że nie pojedę - jakbyśmy oboje podjęli tę samą decyzję. Johan zajął się pakowaniem.

- Odprowadzę cię na prom - powiedziałam. - Jeśli się zgodzisz.

Nie odwrócił głowy, żeby na mnie spojrzeć, tylko poprosił, żebym zamówiła taksówkę. W nocy przestał padać śnieg, ale nie zniknął jeszcze z ulic. Całe miasto było wyścielone na biało, wszystkie dźwięki przygaszone. Staliśmy na kei przed Grand Hotelem, z butami w śniegu, czekając na otwarcie wejścia na prom. Wstające słońce oblewało światłem kilka starych budynków za wodą przy Skeppsbron. Johan trzymał w obu rękach torby z prezentami - po prostu nie było ich gdzie postawić. Kiedy otworzyli wejście, odwrócił się i owinał mnie ramionami; pamiętam, jak te torby obijały się lekko o moje łydki.

- Gad Jul, Veroniko. Wesołych świąt, Veroniko - szepnął mi do

ucha. Zrobił krok w tył i utkwiał oczy w jakimś punkcie na ziemi między naszymi stopami. - Myliłem się, Veroniko. Myliłem się - powiedział, podnosząc wzrok. - Chwila nigdy nie wystarczała. Chciałem też przyszłości. - Po czym odwrócił się i wszedł na prom, nie spoglądając za siebie.

Till sorg blefminnet givet; begar du frid, sa glom I

Dla boleści pamięć nam dana; pragniesz spokoju, zapomnij!

Astrid leżała bez ruchu i oddychała lekko. Poza bzyczeniem kilku sennych much na parapecie w pokoju panowała cisza. Veronika zamknęła oczy i opowiadała dalej.

- Zostawiłam tam Johana i dla mnie on jest zatrzymany w czasie.

Jedyne, co widzę, to jego plecy. Nigdy nie widzę twarzy.

Urwała.

- To takie smutne stracić twarz kogoś ukochanego - powiedziała cicho Astrid. - Takie smutne. Można by pomyśleć, że tak jest łatwiej, nie widzieć twarzy.

Veronika miała przed oczami tył głowy Astrid. Jej włosy były odgarnięte z twarzy, siwe kosmyki rozsypane na poduszce. Veronika miała ochotę pogłaskać ją po głowie, jednak nie wysunęła rąk spod policzka, żeby to zrobić.

- Ale to nieprawda. Przez to ból jest jeszcze gorszy. - Astrid obróciła się na plecy i bezwiednie dotknęła palcami guzików swojej koszuli. Potem spojrzała na Veronikę. - Straciłam twarz mojej córki. Mogłabym opisać każdy cudowny jej szczegół. Ale przestałam ją widzieć.

Zamknęła oczy i kiedy zaczęła mówić, jej twarz odprężyła się, złagodniała, i nawet iskierka uśmiechu zatliła się na jej wargach.

- Miała miękkie miedziane włosy. Musnięte słońcem - lśniły jak włosy mojej matki. Jej oczy były duże i czarne, ale myślę, że stałyby się zielone, jak oczy mojej matki. Były takie przejrzyste i patrzyły prosto w moje z absolutną ufnością. Przebiegałam palcem po jej czole, myśląc, że nigdy nie dotykałam czegoś tak delikatnego. Kiedy ją przewijałam, kładłam dłoń na jej piersi i brzuszku, i jej oczy tonęły w moich.

Nosiłam ją przy ciele i jej rączki opierały się na mojej piersi, przylegając do mojej skóry, jakby wciąż była częścią mnie. Kopała stopami w mój brzuch i te ruchy były takie same, jak gdy nosiłam ją w swoim łonie. - Astrid zawiesiła głos. - Nie było dnia, odkąd się urodziła, żebym o niej nie myślała. Ale nie widzę jej.

Veronika też leżała na plecach, z rękami na brzuchu.

- Opowiedz mi - szepnęła. - Pozwól mi zobaczyć swoją córkę.

Hogt med dig jag talade vad ingen i oarlden vet.

Pa andlasa vagar uar du min ensamhet.

Z tobą na głos mówiłam o czym nikt inny nie wie.

Na bezkresnych drogach ty mą samotnością byłaś.

Astrid

Dałam jej na imię Sara. Po mojej matce. Urodziła się tutaj, w tym pokoju. To był luty i w nocy przeciągnęła burza śniegowa, zasypując dom i odcinając drogi. Leżałam, nie śpiąc, słyszałam, jak wyje wiatr, jak śnieg bije w okna, a wiedziałam, że moje dziecko ma

się urodzić tuż, tuż. O świcie wiatr ustał i wyszło słońce. Stałam w oknie, wyjrzałam i wszystko wyglądało, jakby świat ledwie co się narodził. Jakby wiatr i śnieg stworzyły nowy świat dla mojego dziecka.

Koniec końców, stara akuszerka dojrzała jakoś na wzgórze przez głęboki śnieg i kiedy urodziło się dziecko, była przy mnie. Włożyła mi w ramiona owinięte ciało, uśmiechnęła się i powiedziała, że to dziewczynka. Odwinęłam pieluszki i przeciągnęłam dłonią po gładkiej skórze mojej córki. Wystawiłam palec i jej rączka go chwyciła. Jej paznokcie były jak małe błyszczące rybie łuski. Trzymała mocno mój palec, a ja patrzyłam w jej ciemne oczy. Przepęłniała mnie radość, w której czułam, że jesteśmy niezwyciężone, moja córka i ja. Moja córka Sara.

Przyłożyłam nos do jej szyi i wciągnęłam zapach córeczki. Dotknęłam jej włosów, pogładziłam policzki, przesunęłam wargami po jej czole.

Dopiero kiedy podniosłam głowę, zauważyłam, że do pokoju wszedł mój mąż. Stał w nogach łóżka ze skrzyżowanymi rękami. Stara kobieta powiedziała mu, że ma piękną córeczkę. Nie odezwał się.

Szczęka mu chodziła, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Jego oczy były wlepione w nasze dziecko.

- Rude włosy - powiedział w końcu. - Ona ma rude włosy. I nie mówiąc ani słowa więcej, wyszedł z pokoju.

Wszędzie nosiłam dziecko ze sobą. Czułam, że znam każde

życzenie córeczki, każde jej pragnienie, i ona nigdy nie płakała. Kiedy zrobiło się cieplej, nosiłam ją do tego miejsca w lesie. W drodze wszystko jej opowiadałam. I robiłam dla niej wszystko, co piękne. Opowiadałam jej piękne rzeczy, bo chciałam, żeby jej świat był dobry. Chciałam dać jej dobry świat. Chciałam, żeby miała miłość, i chciałam, żeby kochała.

Siadałyśmy w słońcu w tej zamkniętej przestrzeni i to znów było zaczarowane miejsce. Znów jodły strzegły kogoś, kogo kochałam. I przez jakiś czas świat był prawdziwie dobry.

Tamtego roku przez cały maj padał deszcz albo tak się zdawało.

Ale deszcz może być kojący jak słońce. Poranki były łagodne, z delikatnym bębnieniem wiosennego deszczu. Nie, nie bębnieniem. To było tak lekkie, że nie miało dźwięku. Wypełniało powietrze i żywiło wszystko, co rośnie. W sposób bezgłośny. Chodziłam na spacer z córeczką, nosząc ją pod peleryną. Mój mąż miał interes w Sztokholmie i prawie przez całą wiosnę nie było go w domu, ale kiedy wszystko się pozamykało na letnie wakacje, wrócił.

Dlaczego widzę to wszystko, jeśli nie widzę twarzy swojego dziecka?

Weszłam na górę i wiedziałam, że on tam jest. Drzwi nie były zamknięte na klamkę - musiałam tylko popchnąć je delikatnie i bezszelestnie otworzyć. Stał pochylony nad jej łóżeczkiem. To jest tak wyraźne teraz, jak było wtedy. Jasne słońce przeświecało przez lekkie zasłonki i zupełnie jakby wyszło po to, żebym mogła widzieć każdy szczegół.

Podeszłam do łóżeczka i wzięłam ją na ręce. Przycisnęłam dziecko do piersi i wyszłam do ogrodu.

Usiadłyśmy za domem przy grządce poziomek. Zapadał wieczór, ale słońce było jeszcze wysoko na niebie. Jaskółki śmigały nam nad głowami, polując na komary, które pojawiły się z ciepłą pogodą.

Siedziałyśmy na trawie i trzymałam ją przy piersi, dotykając wargami czubka jej głowy. Opowiedziałam jej o poziomkach. Obiecałam, że będę je dla niej nawlekać na źdźbła tymotki. Mówiłam, jakie będą słodkie. Że będę zbierać dla niej jedno źdźbło na każdy dzień lata. Ale kiedy rozejrzałam się po grządce, gdzie kwiaty były jeszcze małymi zwiniętymi pączkami, wiedziałam. Wiedziałam, że nie będzie czasu.

I natt dr du bjuden av dimman till dans...

Dziś wieczór jesteś zaproszony na tańce Z mgłą...

W pokoju było ciemniej. Słońce się schowało i fale porywistego wiatru szarpały oknem - ostrzeżenie przed deszczem.

Veronika odwróciła twarz i spojrzała na Astrid. Łagodnie położyła rękę na jej głowie, gładząc siwe włosy, zakładając pojedyncze kosmyki za ucho. Zostawiła rękę na ramieniu starej kobiety i leżały nieruchoma, gdy wiatr szeleścił roletą.

- Jest dzień przed letnim przesileniem, wigilia Midsommar, ale chyba zanosi się na deszcz - powiedziała w końcu Veronika. - Myślałam, że może zejdziemy dziś po południu do wsi i popatrzemy, jak stawiają drzewko majowe. Pomyślałam, że może dobrze by nam to

zrobiło. Jeśli przestanie padać.

Astrid milczała, ale Veronika usłyszała jej głęboki oddech. Usiadła i spuściła nogi na podłogę. Spojrzała na zegarek - był środek dnia, prawie południe. Kiedy usłyszała, że Astrid poruszyła się za jej plecami, wstała, żeby stara kobieta mogła wygodnie usiąść. Ale ona leżała na plecach, nie zbierając się do wstania.

- Tak - powiedziała. - Myślę, że to najlepsze, co mogłybyśmy zrobić.

Została w łóżku, gdy Veronika wymknęła się cicho z pokoju.

Wróciwszy po południu, Veronika zastała Astrid na ganku. Siedziała na ławce, przebrana w białą koszulę, z granatowym rozpinanym swetrem na kolanach. Miała mokre, zaczesane do tyłu włosy. Veronika pomyślała, że stara kobieta jakoś inaczej się nosi. Zauważyła subtelną zmianę w nachyleniu podbródka, w jej postawie. Determinacja, pomyślała. Godność. I być może ulga.

Szły wolno w dół zbocza. Przestało padać, ale czuło się wilgoć w powietrzu i niebo było zachmurzone. Deszcz wydobył zapachy trawy i koniczyny. Veronika podała Astrid ramię i kiedy ich kroki znalazły wspólny rytm, stara kobieta opierała się na nim lekko i pewnie.

Błonie nad rzeką, tuż za kościołem, zalewał tłum ludzi; wielu było ubranych w tradycyjne kolorowe stroje ludowe. Wirowanie czerwonych spódnic, poczucie radosnego oczekiwania i odświętności, nawet podniecenie - wszystko mówiło, że zbliżają się łodzie, i słychać już było cichą muzykę. Cztery wielkie łodzie wiosłowe płynęły w

procesji, każda ze skrzypkiem, który akompaniował wiosłowaniu. Veronika i Astrid stały trochę na uboczu, patrząc w milczeniu, jak łódzie przybijają do brzegu i załogi przyłączają się do tłumy. Potem wszyscy ruszyli do miejsca, gdzie leżało drzewko majowe, przybrane gałązkami brzoź i polnymi kwiatami.

Skrzypkowie dołączyli do innych muzyków, którzy stali przygotowani, a kiedy grupa mężczyzn zaczęła podnosić drzewko, skrzypkowie stroili instrumenty. Dla Veroniki to wyglądało jak pradawny obrzęd - niemal pogański. Muzyka była ludowa, trochę melancholijna, ale żywa i nadająca się do tańca. I gdy tylko drzewko zostało wzniesione i zamocowane, dorośli i dzieci, trzymając się za ręce, otoczyli je kołem i rozpoczęła się zabawa.

Astrid stała z narzuconym na obu rękach swetrem, przyglądając się ludziom, którzy tańczyli wokół drzewka i śpiewali świąteczne ludowe piosenki. Zerknęła na Veronikę i skinęła głową z lekkim uśmiechem.

Z powrotem wsunęła rękę pod jej ramię i stały razem, patrząc.

- Chodźmy usiąść nad rzeką - powiedziała po kilku chwilach Veronika. - Tam też będziemy słyszeć muzykę i będziemy mogły patrzeć na wodę.

Czuła, że stara kobieta trochę ciężiej opiera się na jej ramieniu. Kiedy usiadły na trawie, pierwsze promienie przedwieczornego słońca przebiły się przez rzednące chmury. Astrid, siadając, trzymała się ręki Veroniki, ale jak tylko wyciągnęła przed siebie nogi na pochyły brzeg, wydawała się odprężona, Veronika zebrała spódnicę wokół nóg, by

zasłonić je przed natarczywymi komarami, a kiedy zaczęła wachlować powietrze, nieudolnie próbując zniechęcić owady, Astrid klepnęła ją w ramię.

- Masz, posmaruj się. - Podała jej buteleczkę z kulkowym dozownikiem. - Letnie przesilenie. O tej porze nigdy nie wychodź z domu bez środka na komary - powiedziała z lekkim uśmiechem.

Veronika z wdzięcznością posmarowała sobie nogi, ręce i szyję.

- W drodze powrotnej musimy zerwać po siedem kwiatów. Pamiętaj z piosenki jakich?

Astrid spojrzała na Veronikę z rozbawionym uśmiechem.

- Hm. Niezapominajki, i tymotka. I dzwonki. Może fiołki?

- Tak, i czerwona koniczyna. Wełnianka. I jeszcze jeden, ale nigdy nie mogę zapamiętać jego nazwy.

- Krwawnik - powiedziała Astrid. - Czytałam o krwawniku wiele lat temu. Że Chińczycy używali jego łodyg do przepowiadania przyszłości. Więc myślę, że będzie odpowiedni do twojego bukietu.

Veronika spojrzała na nią ze zdziwieniem, lecz Astrid była wpatrzona w rzekę, na której migotało późne słońce, wysyłając we wszystkie strony złote refleksy.

- A o kim będziesz marzyła, Veroniko? - spytała, nie odwracając oczu od wody. - Ze swoimi kwiatami pod poduszką? O kim?

Veronika milczała. Siedziała, obejmując podciągnięte nogi, z brodą opartą na kolanach.

- Przyjechałam tutaj, żeby uciec od marzeń - powiedziała w końcu.

... ty dagen ar du, och ljuset ar du, solen ar du, och vdren ar du,
och hela det vackra, vackra, udntande livet ar duj

... bo dzień jest tobą. i światło jest tobą, słońce jest tobą, i wiosna
jest tobą, i piękne, tak piękne życie, co czeka, jest tobą!

Veronika

Ale wciąż marzę w snach o morzu. Swoim wrogu. Marzę o
swoim wrogu, nie o swojej miłości. Marzę o nieskończonej toni
mieniącej się wszystkimi odcieniami błękitu i zieleni, od
najczarniejszego granatu nad przepastnymi głębinami po jasny
szmaragd, gdzie dno zbliża się do powierzchni.

Ono leżało pode mną, kiedy samolot zaczął się zniżać nad N
ową

Zelandią i zdawało się, że to trwa w nieskończoność. Gdybym
mrugnęła, mogłabym nie zauważyć maleńkiego skrawka ziemi, który
nagle wynurzył się z głębin. Nowa Zelandia. Aotearoa. Ale nie
mrugnęłam; miałam oczy szeroko otwarte. Czułam się jak pusta
kartka papieru, nowo obudzona i oczyszczona. Jak targana wiatrem
ziemia pode mną.

Skoczyłam z urwiska, nie wiedząc, gdzie i jak wyląduję. Z
czołem przyklejonym do szyby patrzyłam, jak samolot obniża lot i
ziemia jest coraz wyraźniejsza.

Było wcześniej rano i formalności lotniskowe trwały krótko.
Przeszłam przez odprawę, pchając wózek z bagażem, przepatrując
ścianę twarzy w tłumie czekającym po drugiej stronie. Ale to on
znalazł mnie.

Poczułam na ramionach jego ręce, nim go zobaczyłam. Potem odwrócił mnie twarzą do siebie i objął, i tak staliśmy nieruchomo, wyspa w strumieniu podróżnych, którzy nas omijali, aż jakiś Azjata dyskretnie poprosił, żebyśmy odsunęli się na bok. Patrzyłam na Jamesa, chłonełam całą jego fizyczną obecność: wypłowiałą baseballówkę na włosach, które wydawały się teraz dłuższe i bardziej kręcone, znoszony biały T-shirt, zgrzebne szorty, jego opalone stopy w gumowych japonkach. Jego twarz, w której moje oczy szukały każdego szczegółu, dotykając skóry, śledząc linię brwi, kontury warg. Porównując z zachowanymi obrazami. I to wszystko do mnie wróciło. Najpierw jako leciutkie poruszenie gdzieś głęboko wewnątrz, ciepło, które się rozchodziło i docierało do moich kończyn, opuszek palców, potem do warg. Swój uśmiech odczuwałam jak śmiech.

Wyszliśmy na oślepiającą jasność. Cienkie białe chmury ciągnęły się po bezkresnym niebie i popychał nas rześki wiatr.

Jechaliśmy w kierunku Auckland. Oglądałam mijane krajobrazy, nie zauważając szczegółów. James mówił, a jego lewa ręka wskazywała coś za oknem i wracała na moje kolano pomiędzy kolejnymi szybkimi ruchami.. Patrzyłam na jego profil, jego rękę na kierownicy, jego bosą stopę na podłodze. Był w tym wszystkim tak bardzo na miejscu, w zgodzie ze swoim ubraniem, swoim samochodem, z krajobrazem.

Zdałam sobie sprawę, że po prostu jest u siebie. I nagle spadła na mnie dotkliwa świadomość, że jestem naznaczona starym światem.

Nie na miejscu ze swoją zimowo bladą cerą, w swoim ciężkim

ciemnym ubraniu. Moje ciało nawet pachniało niewłaściwie. Starością, zmęczeniem, niestosownie do tego rozświetlonego, nowo stworzonego świata, gdzie wiał świeży wiatr i powietrze nie miało zapachu.

Pojechaliśmy prosto do domu jego matki w St Mary's Bay. Kiedy

James się zatrzymał, przyjrzałam się domowi. Biała drewniana willa, jedna z wielu podobnych przy cichej ulicy, wyglądała jak z bajki, ale była większa, niż sobie wyobrażałam. "Moja mama mieszka w małym domu w środkowym Auckland", powiedział w Londynie. Ta willa nie wydała mi się małym domem, z tymi wielkimi wykuszowymi oknami po obu stronach drzwi frontowych i szeroką werandą biegnącą wzdłuż całej przedniej i prawej ściany. Dzikie róże przelewały się przez płot, i było wielkie drzewo z kiściami krwistoczerwonych wesołych kwiatów, które dyndały na wietrze jak pompony.

Jego matka wyszła na werandę, kiedy wyjmowaliśmy z bagażnika moje walizki. Stała ze splecionymi, opuszczonymi przed sobą rękami.

Była niska i szczupła, ubrana zwyczajnie, choć elegancko, w białe lniane spodnie i beżową bluzkę. Bez butów. Miała jasne, związane z tyłu włosy. Wchodząc po schodach, szukałam w jej twarzy podobieństwa do syna. Miała duże szare oczy, żadnego makijażu, dość długi nos, szerokie usta z pełnymi wargami. Nie widziałam podobieństwa. Odwzajemniła spojrzenie, równie skupione, ale w

kącikach jej ust błąkał się uśmiech, może nawet zapowiedź śmiechu.

- Veronika - powiedziała, jakby rozmyślnie sylabizując. - Ve-ro-ni-ka. Witaj w Nowej Zelandii. Jestem Erica. - Uścisnęła mnie łagodnym i szybkim gestem, jak muśnięcie oddechem wiatru. Kierując mnie do środka, zostawiła rękę na moich plecach, ale to było raczej wyobrażenie lekkiego popchnięcia niż rzeczywisty dotyk.

Przeszliśmy przez dom na tylny ganek. Pokoje były takie jak kobieta, która w nich mieszkała - jasne, pełne oddechu i atrakcyjne. Przyjemne, ale z piętnem prywatności. Nieszczerólnie zachęcające.

James miał swój pokój VI oddzielnym domku na tyłach ogrodu.

Szedł pierwszy przez trawnik, niosąc moje dwie walizki. Patrzyłam na jego plecy, wodziłam oczami po jego nogach, ramionach, przyglądałam się jego rękom. Wyglądał inaczej. A może był tylko bardziej u siebie - może tam był autentycznie sobą. Wydawało się, jakby każdy krok stawiał w najwłaściwszym miejscu. Szłam jego śladem, w skórzanych butach, które niemiłosiernie deptały trawę. W środku usiadłam na niskim podwójnym łóżku, nagle zmęczona, nawet trochę smutna. James postawił walizki, oparł ręce na biodrach i patrzył na mnie.

- Zmęczona?

Skinęłam głową.

- Dasz radę wejść pod prysznic czy potrzebujesz mojej pomocy?

- spytał z uśmiechem. - Hm, czuję, że przyda się tu pewne wsparcie - odpowiedział sobie sam, po czym rzucił się na łóżko koło mnie i zaczął rozpinać mi bluzkę.

Mieszkaliśmy u Eriki prawie miesiąc. James znalazł tymczasową pracę na lato w miejskim podwodnym akwarium, z możliwością, że dostanie później stałą posadę. Choć nie była to praca jego marzeń, wystarczała na życie. Ja zabrałam się do myślenia o książce; pisałam małe ustępy, gdy pojedyncza komórka ogólnego zamysłu powoli zaczęła się dzielić, przybierać formę i kształt.

Erice zdarzało się wyjeżdżać na parę dni, w odwiedziny do przyjaciół w ich letnich chatkach czy na wycieczkę, więc często mieliśmy cały dom dla siebie. Spędzałam spokojne godziny w cieniu na tylnym ganku ze starym rudym kotem Eriki, a późnym popołudniem wychodziłam do sklepów kupić coś do jedzenia. Często jedliśmy poza domem, zwykle w jednej z knajpek na Ponsonby Road. Przywykłam do wygody i przestrzeni, do nieśpiesznej, życzliwej atmosfery i ulic z małym ruchem. Nie mogłam się nadziwić, gdy miejscowi narzekali na korki. Auckland wydawało mi się embrionem miasta, potencjałem raczej niż rzeczywistością. Patrzyłam z góry na centrum, gdzie

Sky Tower stało jak maszt flagowy wyznaczający środek przyszłego wielkiego miasta.

Po kolacji wracaliśmy do spokojnego domu, siadaliśmy w wiklinowych fotelach twarzami do ogrodu i zachodzącego słońca, które malowało leżące w dole miasto jaskrawym różem, odcieniami złota i pomarańczy, potem purpurą i różowym fioletem, aż ciemny granat nocy brał górę. Kochaliśmy się na starym łóżku w pokoju Jamesa z harmonijkowymi drzwiami otwartymi na ogród. I było tak

samo jak przedtem.

- Urodziłem się w świecie, który był morzem; ono mnie otaczało przez całe życie - powiedział James. - Leżał nagi na łóżku, w ogrodzie grały hałaśliwie cykady. - Dla mnie morze jest samym życiem.

Kolory, zapach. Łaknę tego. - Uniósł się na łokciach. - Wyobraź sobie wysoką falę, jasną szmaragdowozieloną ścianę ze stadem kahawat' polujących na mniejsze ryby. Najpiękniejszy obraz świata.

- Przyciągnął mnie i położył na sobie. Objął rękami moją twarz i zajrzał mi w oczy. - Chcę, żebyście się nawzajem poznali. Nauczyli się wzajemnie kochać.

Następnego dnia zabrał mnie na plażę Piha, żebym popatrzyła, jak surfuje. Jest dużo zdjęć nowozelandzkich plaż zachodniego wybrzeża.

Występują w filmach i książkach. Można przeczytać o niebezpieczeństwach, nieprzewidywalnych prądach głębinowych, zdradliwych prądach odpływowych pod spokojną powierzchnią. O sile fal. Ale nic mnie nie przygotowało właściwie.

Szliśmy od samochodu, niosąc swoje maty, koszyk piknikowy i deskę surfingową Jamesa. Tamten bezmiar był ogłuszający. Nie było żadnych granic, żadnego widocznego końca. Plaża ciągnęła się po horyzont, urozmaicona tylko osobliwym kształtem wędrownego ptaka.

Po niebie krążyły mewy, ale nigdy się nie zbliżały. Wszystko było rozświetlone prażącym słońcem. Wszędzie było morze. Weszłam po kolana do wody, czując przerażającą siłę morza, które szarpało

mnie za kostki. Pchało, ciągnęło, tarmosiło. Chwytało w szpony. James śmiał się i widziałam, jak porusza ustami, ale wszechobecny, nieustający grzmot fal zagłuszał jego głos. Ciągnął mnie za ręce, chlapał, śmiał się i wygłupiał, gdy ja stałam sparaliżowana, czując, jak woda wyrywa piasek spod moich stóp.

Później siedziałam na swojej macie, z książką na kolanach. Ale patrzyłam na Jamesa. Nawet kiedy odrywałam oczy od oślepiającej bieli morskiej piany i pochylałam się nad książką, jego obraz zostawał. Był na wodzie, mały czarny kształt na białej desce, i ten obraz wrył mi się pod powieki. Zanurzał się między grzywami fal, znikał na minuty, z których każda była dla mnie małą wiecznością. Grupa pływaków nie przekraczała granicy flag, ale surfingowcy brali kurs na prawo i ginęli z oczu. Gdy w końcu wrócił, ociekający wodą i roześmiany, poczułam, że moje ręce zwalniają wreszcie uścisk na książce, sztywne i obolałe.

Styczeń był gorący i słoneczny i większość weekendów spędziliśmy na plaży. Ale to nigdy nie stało się ani trochę łatwiejsze. Morze zostało moim wrogiem. Walczyliśmy o tego samego mężczyznę.

W lutym przeprowadziliśmy się do wynajętego domu kilka ulic dalej. Erica nigdy nie krytykowała tej decyzji i nie dała po sobie poznać, czy jest rozczarowana, czy zadowolona. Mimo to miałam poczucie winy, zdawszy sobie sprawę, jaką ulgę poczułam, gdy tylko znaleźliśmy się we własnym domu. To był typowy stary domek na Ponsonby, w sercu kolonialnego Auckland: salon, jedna sypialnia i

gabinet. Mały zaniedbany ogród od tyłu z drzewem cytrynowym. Z tylnego ganku, na stojąco i wykręcając szyję, można było dostrzec kawałek morza.

Pierwszego wieczoru po przeprowadzce siedzieliśmy na podłodze ganku, paląc i pijąc piwo. Cały dzień ciężko pracowaliśmy, a było bardzo gorąco. Czułam się upojnie zmęczona - wyczerpana fizycznie, jednak psychicznie rześka. I taka szczęśliwa.

- Moglibyśmy tu mieszkać całe życie - powiedział James. - Z naszymi dziećmi, psami i kotami.

- Dziećmi? - spytałam i zdziwiło mnie, jak naprawdę dobrze poczułam się z myślą o dzieciach. Naszych dzieciach.

- Naszymi dziećmi. - Schylił się, żeby pocałować mój brzuch, potem przycisnął do niego ucho. - Tutaj, to jest to miejsce, w którym je zasiejemy. Nasze dzieci.

Zamknęłam oczy i oparłam głowę o ścianę, przeczesując palcami jego włosy.

- Chcę, żeby wszystko było właśnie tak, zawsze - powiedział, kładąc ręce na moich nogach, wodząc dłońmi po udach, po łydkach. - Kocham cię - szepnął, a moje ciało słuchało każdą żywą molekułą.

I kiedy słońce schowało się za wzgórzem, zapadająca noc odebrała miastu kolory. Dźwięk niezliczonych niewidocznych cykad nabrał mocy, powietrze było przesycone wonią równie niewidocznych kwiatów, i staliśmy się jednym, ze sobą nawzajem i z nocą. Później, gdy leżeliśmy na podłodze, wpatrywałam się w miękką ciemność nad nami, gdzie migotały nieznajome gwiazdy. Opierałam głowę na jego

ramieniu, z nosem wetkniętym pod jego ucho. Wdychałam zapach jego ciała i gładziłam ręką swój brzuch. I myślałam o dzieciach, które wiedziałam, że będziemy mieli.

... men allt i mitt liv, som lzkt solar blankt, och allt som i mdrker och kval blev sdnlet det darrar i natt i en flod av glitter.

... lecz wszystko w mym życiu, jak słońce promienne, i wszystko, co w bólu i nocy pogrążone, dziś wieczór drży na fali światła.

Niebo całkiem pojaśniało i łąkę, na której świętowanie letniego przesilenia osiągnęło teraz szczytowy punkt, oblewał złotawy brąz wieczornego słońca. Chmary komarów podążały za tańczącymi wokół drzewka majowego, wiodąc swój własny zawiły powietrzny taniec ponad głowami ludzi. Muzyka skrzypiec i akordeonu zlewała się z dźwiękiem niewidocznych świerszczy, czasem z płaczem małego dziecka. Najwięcej śmiechu dobiegało od niewyraźnych grupki młodych ludzi, którzy zdawali się zbierać grzyby na krańcach błoni omroczonej ciemnymi drzewami.

- Wracamy? - spytała Veronika.

Astrid kiwnęła głową i spolegliwie uniosła ręce, żeby Veronika pomogła jej wstać. Przez jakiś czas szły pod ramię wzdłuż rzeki, potem zboczyły w nieutwardzoną drogę ku kościołowi. Przejechał pojedynczy samochód i motorower.

- Mam trochę śledzi i marynowanego łososa - powiedziała Astrid.

- Zjesz ze mną, jak wrócimy, lekką kolację?

- Z przyjemnością. - Veronika ścisnęła trochę mocniej ramię starej kobiety.

Szły dalej, samotna para wędrująca pod prąd, z dala od zabawy.

Po obu stronach drogi ciągnęły się zielone i bujne pola okopanych ziemniaków, z białymi otwierającymi się kwiatami. Przed samym kościołem Astrid zwolniła kroku.

- Mam tu coś do zrobienia - powiedziała, wskazując drogę, i poszła dalej pierwsza. Idąc zwirową ścieżką, skręciła wzdłuż ściany kościoła na przyległy cmentarz. Podeszła do największego nagrobka.

Znajdował się w miejscu, które o tej porze, gdy nisko zachodzące słońce przesłaniał budynek kościoła, tonęło w półmroku.

Wysoki, ciemny nagrobek stał pośrodku trawiastego placu ogrodzonego ciężkim żelaznym łańcuchem przymocowanym w czterech rogach do słupów. Miniaturowa wierzba z ciemnofioletowym listowiem pochylała się ku nagrobkowi z jednej strony. Nie było kwiatów.

Sam nagrobek był z czarnego polerowanego granitu, a inskrypcja głosiła, że jest to grób rodziny Mattsonów.

- Karl i Britta byli moimi dziadkami - powiedziała Astrid, z oczami skierowanymi na pierwszy zestaw imion na płycie. - Jak widzisz, umarli w odstępie jednego roku od siebie. Mój dziadek kupił grób na wieczystość - z taką samą intencją budował dom. Jeden dom na życie, jeden na śmierć. Oba największe we wsi. Mój ojciec, Karl-Johan, jest jedyną oprócz dziadków pochowaną tu osobą.

Astrid zmieniła postawę i oparła się trochę ciężiej na ramieniu Veroniki.

- Moja matka została pochowana w Sztokholmie. Nigdy nie widziałam jej grobu. - Kiedy zamilkła na moment, słychać było unoszące się w powietrzu odgłosy świątecznej zabawy. - Teraz pochowam w tym grobie ostatnią osobę. Swojego męża. I wtedy zostanie zapieczętowany na zawsze.

Astrid odwróciła się i pociągnęła za sobą Veronikę, Przeszły wolno na drugą stronę cmentarza przy kamiennym murze. Tam nie było nagrobków, tylko małe płyty osadzone w trawie. Astrid przystanęła i uklękła niedołącznie, trzymając się ręki Veroniki. Przetarła tablicę przed sobą spodem dłoni.

- Tu pochowałam swoją córkę Sarę. I tu spoczne ja. - Pokazała puste miejsce po lewej stronie. - To jest nasz dom.

Kobiety siedziały w milczeniu. Veronika odpędziła ze swojej twarzy pojedynczego komara. W końcu Astrid poruszyła się, żeby wstać.

- Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć - powiedziała. - Chciałam, żebyś zobaczyła, gdzie jest moja córka. - Oparła się z powrotem na ramieniu Veroniki. - I chciałam, żebyś wiedziała, gdzie ja będę.

Wróciły do drogi. Światło było ciepłe, tak jak powietrze. Wciąż słyszały z oddali muzykę.

- Kwiaty. Musisz zerwać kwiaty do swojego bukietu - powiedziała Astrid, kiedy skręciły w drogę na wzgórze. - Zobaczmy, czy potrafimy je znaleźć.

Dając sobie czas, odeszły od drogi i zapuściły się w trawę po kolana, gdzie zaczęła osiadać mgła. Znalazły dzwonki, fiołki, czerwoną koniczynę, tymotkę, konwalie, skalnicę.

- Mam sześć - jeszcze tylko jeden - powiedziała Veronika. - I rzeczywiście powinnam mieć krwawnik. - Pochyliła się nad kępą niewielkich białych kwiatów, z ich lekkim aptecznym zapachem, i jeden zerwała. - No i jest. Mam już siedem.

Kiedy wyszły z powrotem na nie ubitą drogę, jedna i druga miała bukiet siedmiu kwiatów. Powoli wracały do domu, Astrid lekko dysząc.

Przed furtką Astrid Veronika przystanęła i położyła rękę na ramieniu starej kobiety.

- Pozwolisz, że pójde po wino. Przy okazji włożę pod poduszkę te kwiaty. Żeby nie zapomniała zrobić tego później.

Astrid skinęła głową i otworzyła furtkę.

Veronika wróciła z dwiema butelkami wina, jedną pod pachą, drugą w ręce, i małym przenośnym odtwarzaczem CD w drugiej. Astrid myślała w zlewie młode ziemniaki. Na stole, w szklance, stał jej bukiet.

- Mój nie jest pod poduszkę - powiedziała. - Marzenia już nie dla mnie.

Veronika postawiła na stole butelki, a potem włączyła odtwarzacz.

- Pomyślałam, że mogłabyś go zatrzymać. Ja zwykle puszczałam muzykę z laptopa - powiedziała, na co Astrid odwróciła się i spojrzała

na nią bez słowa, z ziemniakiem w jednej ręce i małą szczotką w drugiej. - Nie byłam pewna, jaką muzykę lubisz, więc przyniosłam kilka płyt. To jest Brahms.

Kiedy muzyka z małego pudełka wypełniła pokój, Astrid odeszła od zlewu i wolno usiadła na jednym z kuchennych krzeseł, wciąż trzymając w rękach ziemniak i szczotkę, nie zważając, że woda kapie jej na kolana.

- Co to jest? - spytała cicho. - Ta muzyka. Co to jest?

Veronika popatrzyła na starą kobietę, zdumiona jej reakcją - To jest sonata na skrzypce i fortepian, trzecia d-moll.

W chwili, gdy zabrzmiały pierwsze nuty drugiej części, Astrid położyła ziemniak i szczotkę na stole przed sobą i splotła ręce na kolanach.

- Kiedyś moja mama puszczała to tak często, że znałam każdy takt. Ale to było tak dawno temu. Taki długi czas ciszy. - Zamknęła oczy i wydawało się, że słucha w skupieniu.

Po ostatnim takcie podniosła wzrok.

- I jest ta hoja - powiedziała, kierując oczy na roślinę doniczkową na parapecie. Długie łodygi okalały całą jedną stronę okna, dźwigając grona różowych kwiatów. - Tamtego dnia właśnie się otworzyły pierwsze kwiaty. Widziałas ich pączki? Takie twarde, błyszczące jak perły.

Nigdy byś nie pomyślała, że mogą zawierać taką aksamitną miękkość.

Taki słodki zapach. - Spojrzała na Veronikę. - Przepraszam -

powiedziała. - To ta muzyka. Ostatnio ją słyszałam ponad siedemdziesiąt lat temu. A teraz wraca do mnie i zdaję sobie sprawę, że zawsze tu była.

W moim sercu. Przez wszystkie te lata miałam ją, tutaj w środku, nie wiedząc. - Przyłożyła dłoń do swojej piersi, zostawiając mokrą plamę na koszuli. - Moja mama puszczała to na swoim gramofonie. I najbardziej lubiła drugą część. Puszczała to raz po raz, mówiąc, żebym słuchała uważnie, bo, jak mówiła, w muzyce jest całe piękno świata. Sadzała mnie na kolanach, a ja przykładałam ucho do jej piersi i muzyka jakby wypływała z ciała mojej mamy. - Astrid sięgnęła po ziemniak.

- Czy mogłabyś to puścić jeszcze raz? - Wstała i wróciła do zlewu.

I tak z sonatą Brahmsa wypełniającą kuchnię zabrały się do szykowania świątecznej kolacji.

Potem siedziały przy stole, w kuchni z otwartym oknem na letnią noc. Astrid zapaliła na parapecie spiralę przeciw komarom i cienka smuzka dymu wznosiła się pod sufit. Dymny zapach mieszał się z miodowo słodką wonią hoi.

- Veroniko, możesz puścić jeszcze raz drugą część? Proszę, ostatni raz. - Dotknęła palcami siedmiu kwiatów, które stały w wazoniku na stole, i nie odrywała od nich oczu, gdy znów zabrzmiała muzyka.

Veronika, z zamkniętymi oczami, opierała się o tył krzesła, obracając w dłoniach kieliszek z winem. Obie kobiety siedziały

nieruchomo po tym, jak muzyka ucichła. Nagle Astrid cofnęła rękę od kwiatów i podniosła wzrok.

- Zabiłam muzykę - powiedziała. - I zabiłam swoje dziecko.

... ty intet gar ont som duo

... bo nic tak nie rani jak ty.

Astrid

Umarłam tamtej letniej nocy. Siedziałam na trawie za domem z moim dzieckiem w ramionach. Biała koniczyna pachniała miodem: to była ta popołudniowa pora, kiedy łatwo się zdrzemnąć i zapaść w jasne letnie śnienie. Karmiłam swoją córeczkę, dopóki nie zasnęła na mojej piersi.

Wypuściła z warg sutek i jej główka na moim ramieniu opadła trochę w tył. Miała lekko otwarte usta z cienką smużką mleka w kąciuku.

Otarłam ją palcem. Przesunęłam małym palcem po jej miękkich dziąsłach i wyczułam koniuszki dwóch nowych zębów, jak wrośnięte ziarnka ryżu. Miała zamknięte powieki, ałłasowe zasłonki na czarnych oczach. Mrugały od czasu do czasu i wargi jej drżały w króciutkich tajemniczych uśmiechach.

Kiedy usłyszałam kroki na ganku, wstałam i odeszłam przez łąkę zboczem w dół. Trzymałam córeczkę w ramionach i mówiłam do niej.

Pokazywałam jej kwiaty, pszczoły, jaskółki wysoko na niebie. Trzymałam ją blisko przy piersi i czułam na skórze jej wargi.

Kierowałam się ku rzece, ale raptem zmieniłam zdanie i zawróciłam na górę. Wysoka trawa szeleściła pod moimi nogami.

Szeptalam do dziecka, że właśnie otwierają się dzwoneczki. Szłam z nią w ramionach przez łąki do lasu. Światło było łagodne, pod gałęziami ciągle przewiewnie i pachniało żywicą. Miękki mech wyciszał moje kroki.

Minęłyśmy wielki granitowy blok, ale nie zatrzymałam się. Nie miałam się o co modlić tym razem. Kiedy dotarłam na polanę, usiadłam na jedwabistej trawie, tam gdzie poziomki dopiero co rozchyliły swoje białe kwiaty. Kołysałam ją łagodnie, śpiewając wszystkie moje kołysanki.

Ułożyłam ją wygodnie na swoich kolanach, z główką opartą na udach i stopami na brzuchu. Jej rączki zaciskały się mocno na moich palcach i patrzyłam w jej czarne oczy. Schyliłam się, przyłożyłam wargi do jej czoła i lekko dmuchnęłam, potem musnęłam czubek głowy, dotykając bicia jej serca przez meszkowate ciemiączko.

Kiedy słońce zaszło za ścianę drzew, położyłyśmy się na trawie. Powietrze chłodziło i słyszałam dźwięki zbliżającej się nocy. Cichutki szelest liści, gdy zaczęły się poruszać niewidoczne zwierzęta. Córeczka spała w moich ramionach, jej oddech był tak delikatny, że musiałam przyłożyć ucho do jej ust, aby go wyczuć.

Nagle położyłam rękę na jej twarzy i pochłonęła nas biała noc.

Później siedziałam z jej ciałem w moich ramionach, kołysząc się w tył i w przód. Wyłam do nocy, aż straciłam głos. Wtedy wszystko znieruchomiało.

Z pierwszym porannym słońcem wróciłam do domu z jej ciałem w ramionach. Poszłam na górę do łazienki i rozebrałam ją. Jej ciało

było leciutkie i skóra taka biała. Umyłam ją wodą z mojej dłoni. Kropelki skapywały do wody w umywalce jak łzy. Kiedy skończyłam, owinęłam ją w miękki ręcznik kąpielowy, weszłam do sypialni i wyjęłam jej sukienkę do chrztu. Ubrałam ją i przyczesalam mokre włosy. Przycisnęłam ją do siebie, dotykając ręką włosów. Kiedy położyłam usta na jej główce, czułam tylko delikatny zapach mydła, żadnego innego.

Włożyłam ją do łóżeczka i wygładziłam kocyk. Potem zesłam na dół do kuchni, gdzie mój mąż siedział przy stole.

- Twoje dziecko nie żyje - powiedziałam.

A później była tylko cisza.

Sorgen, dess skugga i rummet jlyttar sig inte med solen blir ej till skymning nar skymningen faller.

Rozpacz, jej cień w pokoju nie odchodzi ze słońcem nie staje się zmierzchem gdy zapada zmierzch.

Twarz Astrid była ziemistoblada. Choć oczy miała suche, biła z nich taka rozpacz, że Veronika musiała odwrócić wzrok. Wstała, obeszła stół i delikatnie podciągnęła Astrid na nogi. Objęła starą kobietę i trzymając mocno w ramionach, szeptała jej do ucha.

- Och, Astrid - westchnęła. - Moja kochana, najdroższa Astrid.

- Gładziła ją po włosach, potem odsunęła się trochę i spojrzała jej w oczy.

Z gwałtownym oddechem Astrid odwróciła się do okna i zasłaniając rękami usta, próbowała zdusić dźwięk, który wydobył się z jej gardła. Płacz wyrażał tak ogromny ból, że wydawał się on nie do

zniesienia. Ponad siły nieszczęsnej kobiety, i ponad siły tej, która go słyszała.

Veronika mimowolnie zakryła uszy, ale po chwili przeniosła dłonie do ust, żeby stłumić swój własny płacz. Przysunęła się do Astrid i objęła ją od tyłu. Stały przyoknie, blisko razem, podczas gdy wschodzące słońce rzucało pierwsze promienie przez stół, na którym stał wazonik z siedmioma polnymi kwiatami.

Niekontrolowany szloch Astrid powoli przechodził w delikatne kołysanie obu ich ciał. W końcu Astrid wyciągnęła rękę, szukając po omacku oparcia krzesła. Veronika wypuściła ją z objęć i obie usiadły przy stole.

- Od tamtej nocy ani razu sobie nie pozwoliłam na oplakiwanie swojej córki - wyszeptała Astrid. - Nawet kiedy była chowana. Ani na jej pierwsze urodziny. Nigdy. - Położyła ręce na ustach, jakby próbując zatrzymać potok słów, ale opuściwszy je z powrotem, mówiła dalej. - Siebie też nigdy nie oplakiwałam. Tamtej małej dziewczynki, która była mną. Ani młodej kobiety, która z niej wyrosła. - Astrid urwała. - Jeśli nie ma możliwości pocieszenia, łyzy są bezcelowe.

Wstała, podeszła do kuchni, wzięła ścierkę do naczyń i wytarła oczy. Potem stała przy kuchni, patrząc w okno i skręcając w rękach ścierkę.

- Nigdy dotąd nie pozwoliłam sobie na dotykanie tego, nawet w myślach. Wszystkie myśli pogrzebałam razem z moją córką. To tak boli... - Przycisnęła ścierkę do ust. - Widzisz, to chodziło o mnie.

Zawsze chodziło o mnie. Bo moja miłość nie była dość silna. - Wróciła wolno do stołu i znów usiadła. - Nie mogłam być pewna. Nie mogłam być pewna, czy będę dostatecznie silna. A jeśli nie mogłam być pewna, to wszystko mogło wydarzyć się jeszcze raz. Myślę, że tak to było.

Ale być może prawda jest inna. Może nie chodziło o to, że moja miłość nie była dość silna. Może moja nienawiść była zbyt silna.

Patrzyła prosto przed siebie. Jej profil był sylwetką na tle światła za oknem.

- A to jest myśl nie do zniesienia - powiedziała cicho i odwróciła twarz do Veroniki. - Przepraszam, że musiałaś to oglądać. Słuchać tego.

Veronika wyciągnęła rękę i dotknęła policzka starej kobiety.

- Pomogę ci się położyć.

Weszły wolno po schodach, Astrid opierała się jedną ręką na ramieniu Veroniki, a drugą o poręcz. Położyła się w ubraniu i Veronika przykryła ją kocem. Jeszcze raz pogładziła ją po policzku, potem podeszła do okna zaciągnąć roletę. Kiedy wróciła, Astrid miała zamknięte oczy. Jej twarz była bardzo blada. Veronika usiadła w fotelu przyoknie. W pokoju panował ranny półmrok i jedynym dźwiękiem, który wychwyciła, był pojedynczy miękki, zdławiony szloch, jak u małego dziecka, które zasnęło zmęczone płaczem.

Lecz Astrid nie spała. Przekręciła się na bok i leżała z rękami wetkniętymi pod poduszkę, patrząc na Veronikę.

- Nigdy nie rozmawiałam o tamtej nocy. Z nikim - powiedziała.

- A teraz, kiedy słucham własnych słów, widzę, że one opowiadają inną historię niż ta, którą nosiłam w sobie przez tyle lat. - Zamknęła oczy. - Myślę, że jeśli człowiek znajdzie słowa i jeśli znajdzie kogoś, komu opowie swoją historię, to może wtedy zobaczy wszystko inaczej.

Ale ja nie miałam słów i nie miałam nikogo.

- Tak. Może ja też powinnam spróbować znaleźć słowa. Jestem pisarką, a jednak słowa nigdy nie przychodzą mi łatwo. Zawsze z wielką trudnością. I tylko te pisane. Przyjechałam tutaj z nienapisaną książką w głowie. Teraz myślę, że może będzie jakaś książka, ale nie ta, którą myślałam, że napiszę.

Nie wiedziała, czy Astrid słucha, czy śpi. Miała zamknięte oczy, a jej blada twarz nie wyrażała żadnych emocji. Veronika mówiła jednak dalej.

- Widzisz, pojechałam do Nowej Zelandii, myśląc, że zacznę mniej więcej tam, gdzie skończyła się moja ostatnia książka. Myśląc, że napiszę książkę o stałym miejscu, o domu. O miłości i o tym, jak miłość może dać poczucie przynależności. Ale to nie było takie łatwe.

Po pierwsze, musiałam dać sobie - dać nam - trochę czasu na to, żeby osiąść. Musiałam stworzyć własny sposób patrzenia na jego świat.

I myślałam, że mam nieskończenie dużo czasu.

Przerwała, wpatrując się w przestrzeń pomiędzy sobą a starą kobietą. Aż Astrid otworzywszy oczy, spojrzała prosto na nią.

- Opowiem ci, kiedy mój czas się skończył - dodała.

I whisper” Yes” and”Always”, as I lie
Waitingfor thunder from a stany sky.
Szepczę” Tak” i”Zawsze”, gdy leżę
I czekam na grom z kamiennego nieba.
Veronika

To był pierwszy weekend listopada i lato, które nigdy na dobre się nie skończyło, zaczęło się od nowa. Dni były gorące, ale noce wciąż chłodne.

Wczesnie rano, w sobotę, leżałam cicho, czekając, aż James się obudzi, i przycisnęłam nogę do jego nogi, chłonąc przez skórę jego ciepło. Leżał na brzuchu z rozłożonymi rękami, jedną wystającą poza łóżko, drugą przełożoną przez moją pierś. Jego oddech był lekki, prawie bezgłośny. Usłyszałam szmer porannej gazety wkładanej do naszej skrzynki na listy, tuż za oknem, które było podciągnięte na kilka centymetrów. Widziałam, że jest widno, ale nie nauczyłam się jeszcze interpretować odcieni światła dziennego. Listopadowego światła półkuli południowej. Późną wiosną, czy wczesnym latem, listopad był tak niepodobny do wszystkich, które dotąd znałam. Tam lato i zima jakby się przeplatały: w środku zimy było lato, w środku lata zima. I nie było jesieni ani wiosny, nie było czasu na oczekiwanie ani czasu na wspomnienia. Tylko teraźniejszość. A może nie nabyłam wrażliwości koniecznej do spostrzegania subtelnych zmian pór roku.

Miałam jeszcze przed sobą trzy niepoznane miesiące, z którymi mój rok w Nowej Zelandii byłby dopełniony.

Prawie niedostrzegalnie zmienił się rytm oddechu Jamesa i

wiedziała, że już nie śpi. Jego ręka na mnie się poruszyła i objęła moją pierś. Kiedy odwróciłam się twarzą do niego, otworzył oczy.

Zawsze miał oczy szeroko otwarte, gdy się kochaliśmy, patrzące prosto w moje. Jak oczy małego dziecka zdradzały wszelkie uczucia: pasję, rozkosz, podniecenie, czułość. I radość, zawsze radość.

Zostaliśmy w łóżku, dopóki nie wyciągnął nas z niego głód. W kuchni otworzyliśmy drzwi na werandę i zjedliśmy na zewnątrz tosty z kawą. Niebo było czyste, tylko od czasu do czasu wylaniała się lekka chmurka i rozplywała w wysokim wietrze. Było jeszcze chłodno, ale czuło się, że dzień będzie gorący.

- Ach, co za dzień. Pojedźmy na plażę - powiedział James, stojąc na schodach prowadzących do ogrodu, zapatrzony w niebo.

Potem słowo, które miało zmienić wszystko. Moje słowo.

- Dobrze.

Tylko to jedno. Jest tyle innych słów, które mogłam wybrać. Mogłam powiedzieć: "Nie, wsiądźmy na prom do Waiheke i zrobmy sobie wycieczkę rowerową". Albo: "Przejdźmy się do Cox's Bay". Albo:

„Pójdźmy do miasta, wpadnijmy do galerii sztuki, zjedzmy lunch”. Albo po prostu: "Nie, nie bardzo mam ochotę na plażę". Mogłam powiedzieć: "Jestem w ciąży".

Zamiast tego powiedziałam tylko jedno słowo: "Dobrze".

Kiedy brałam prysznic, James zaczął przygotowywać lunch.

Chleb, jajka, oliwki, pomidory. Omułki, ser. Piwo i wodę. Stałam w drzwiach, patrząc, jak układa wszystko razem. Patrzyłam na

jego ręce i nagle zapragnęłam położyć je na sobie. Uśmiechnął się i włożył do ust oliwkę.

Po drodze zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, żeby zatankować i kupić trochę lodu do turystycznej chłodziarki. Jechaliśmy na zachód w niewielkim ruchu. Zdecydowaliśmy się na Karekare i kiedy skręciliśmy z głównej drogi w wijący się, stromy zjazd na plażę, znów byłam oszołomiona widokiem. Bujny zielony busz, przypominający lasy tropikalne, ale wyraźnie inny. Wyglądał na nowy. Surowy, dopiero co powstały, a jednocześnie prehistoryczny i nie skażony ręką człowieka. Miałam wrażenie, jakbym widziała jeszcze strukturę, pełny kształt tej ziemi, zanim została zamieszкана.

U końca drogi stały małe domy z pysznięcymi się rabatami petunii i geranium. Nie widać było związku między tymi domostwami jak z obrazka a pierwotnym krajobrazem. Nawet w tak wesoły, pogodny wczesnoletni dzień Karekare było niesamowite, budzące lęk i podziw, i dla mnie tamte domki wydawały się nie na miejscu, jakby zostały wymyślone dla zupełnie innego, bezpiecznego, zwykłego otoczenia. Pomyślałam o tamtym miejscu, że nadaje się bardziej do podziwiania niż kochania. Ono budziło pewną reakcję duchową, przejmującą świadomość ludzkiej znikomości.

Zaparkowaliśmy, wyjęliśmy ekwipunek i objuczeni przeszliśmy przez strumień na czarny piasek, już ciepły pod stopami. Plaża była prawie pusta, ratownicy zebrani wokół czterokołowca i pontonowej łodzi ratowniczej. Flagi zostały wciągnięte.

Fale rozbijały się o brzeg i delikatna morska mgiełka łagodziła

widok na połyskujący przestwór w oddali. Rozłożyliśmy maty, James otworzył parasol plażowy i umocował go w piasku. Siedzieliśmy przez chwilę, patrząc w morze. Wysoko na niebie krzyczały mewy. I tu jest następny moment, w którym moje słowa mogły zmienić wszystko.

- Pokąpiesz się trochę? - spytał.

Mogłam powiedzieć:”Okej, tym razem chyba tak”. Albo:”Tak, ale wejdę tylko do kolan”. Mogłam też powiedzieć:”James, myślę, że jestem w ciąży”. Zamiast tego powiedziałam:”Wiesz, że nie bardzo lubię się tu kąpać. Ty idź; ja zostanę i poczytam”.

Wciągnął swój kombinezon piankowy i jeszcze na chwilę przy mnie usiadł. Leżałam na brzuchu, z otwartą książką przed oczami. Czytałam Wilkołaka Axela Sandemose. Myślałam od jakiegoś czasu o przeplataniu tej historii z wątkiem mojej własnej książki. Czytałam uważnie, skupiając się na strukturze, z ołówkiem w ręce.

- Doskonała woda - powiedział James, mrużąc oczy, a ja przekręciłam się na bok i podparłam na łokciu, żeby podążyć za jego wzrokiem. Ale potem się znów położyłam. - Zjemy, jak wrócę - powiedział, schylając się nade mną, i poczułam na karku jego usta.

Uśmiechnęłam się do siebie, ale nie odwróciłam się. Nie widziałam, jak bierze deskę i idzie przez piasek do wody. Nie widziałam, jak wchodzi do wody, dryfuje w morze, jak łapie pierwszą falę.

Mówiłaś mi, Astrid, że nie wiadomo, skąd wiemy, że lato przekroczyło swój punkt szczytowy. Tego jednego dnia, kiedy słońce

jest równie wysoko na niebie, jak było w dzień poprzedni, woda równie ciepła, trawa równie zielona, po prostu wiemy.

Leżałam na kocu i czytałam, potem oparłam głowę na rękach i przysnęłam. Ale raptownie, jakby ktoś mnie oblał lodowatą wodą, obudziłam sitt. Wiedziałam. Nie chodziło o upływ czasu. I nie było żadnego alarmu, żadnych krzyków. Niebo wciąż było niebieskie, mewy wciąż krążyły wysoko. Jakaś kobieta bawiła się z psem na płaskiej tafli mokrego piasku przy brzegu. Ale ja wiedziałam.

Stałam i osłaniając rękami oczy, przepatrywałam morze. Była grupka kąpiących się przed bojami, kilka osób pływało trochę dalej. Mali chłopcy łapali frisbee. Ale nikt nie pływał na desce.

Pośród ciszy coś wprawilo moje ciało w ruch. Moje stopy lądowały na czarnym piasku, nabierając prędkości, biegnąc do ratowników.

Pędziłam, ale świat wokół mnie poruszał się w zwolnionym tempie, powstrzymując mnie. Pierwszy ratownik odwracający się do mnie twarzą, potem krzyczący do innych, ich błyskawiczne ruchy przy spychaniu łodzi na wodę i wskakiwanie do środka. Dla mnie to wszystko odbywało się w absolutnej ciszy i nieznośnie wolno.

Biegłam w stronę wody wpatrzona w pomarańczową łódź, która płynęła zygzakiem przez rozbijające się fale. Otaczali mnie ludzie, ale oni byli w innym świecie, po drugiej stronie gigantycznej czeluści, która pochłaniała wszystkie dźwięki. Woda rozbryzgiwała się wokół moich stóp, kiedy biegłam wzdłuż plaży w tym samym kierunku, w którym płynęła łódź. Dziewczyna w żółtym T-shircie ratowniczym

biegła koło mnie, wyciągając rękę, żeby mnie złapać. Łódź była teraz dalej od brzegu i ginęła z widoku między falami. Czułam, jak szczękają mi zęby, kiedy się zatrzymałam i stanęłam w wodzie po kostki. Dziewczyna w żółtym T-shircie objęła mnie ramieniem i stałyśmy w milczeniu, z oczami na grzmiącym morzu, gdzie łódź była teraz pomarańczowym punkcikiem.

Miałam uczucie, jakby wszystko znieruchomiało, jakby zatrzymał się mój własny oddech. Potem zobaczyłam powracającą łódź, ciągle ginącą z oczu za grzbietem kolejnej fali, ale za każdym razem wynurzającą się trochę bliżej. I nagle wyczułam brak pośpiechu. To już nie była akcja ratownicza.

Zanieśli go do prowizorycznej bazy ratowniczej i położyli na kocu.

Nie było próby reanimacji, żadnego sztucznego oddychania. Ratownicy cofnęli się, a ja opadłam na kolana, wyciągając ręce, żeby go dotknąć.

Zlizalam słoną wodę z jego powiek. Przyłożyłam ucho do jego piersi.

Szeptalam do jego ucha słowa naszego całego życia. Przysunęłam ucho blisko jego ust i nasłuchiwałam odpowiedzi. Nad nami bezlitosne słońce, podczas gdy świat wirował niepojęty dokoła bezruchu, jakim byliśmy my dwoje. Potem gwałtowny huk zwycięskiego morza.

Miał małe skaleczenie nad lewą brwią i głębokie zadrapanie na całej długości lewej ręki. To wszystko. Głowa opadła mu na bok w

moją stronę. Położyłam ręce na jego twarzy, schylając się, żeby przycisnąć swój policzek do jego. Położyłam się przy nim i gładziłam jego włosy.

W końcu ktoś mnie łagodnie podniósł i dziewczyna w żółtym T-shirde owinęła mi kocem ramiona. Byli zgromadzeni wokół nas ludzie, z twarzami jak blade księżycy, niektórzy płakali. Ułożyli go na noszach i zabrali do klubu dla ratowników. Szłam wolno i dziwiło mnie, że inni biegną. Były głośne rozmowy, krzyki. Przyjmowałam ten tumult z obojętnym zdziwieniem.

Usiadłam na krześle w pustym klubie, przede mną stała szklanka z gorącą herbatą. Wokół mnie był świat, do którego przestałam należeć. Jak gdyby ciężkie drzwi zamknęły się z westchnieniem i zostawiły mnie na zewnątrz, samą. Mogłam pamiętać ranek, kochanie się, pakowanie, podróż na plażę, ale to wszystko było w innym czasie. Kiedy jeszcze żyłam.

Men sedan vill jag bli ensam, vaggad av ljusets flod fram till alltings vila, dar ingen ar and eller gad.

Ale potem chcę być sam, kołysany falą światła do błęgiego spoczynku, gdzie nie ma dobra ni zła.

Astrid leżała bez ruchu, łzy spływały jej po twarzy, ale nie próbowała ich otrzeć; ręce miała nadal wsunięte pod poduszkę. Veronika wstała i podciągnęła roletę. Na zewnątrz słońce łagodnie budziło wiatr. Gdy światło odbiło się w jej twarzy, zamknęła oczy.

- Najkrótsza noc w roku. Noc przesilenia letniego - powiedziała.

- I oto nowy dzień.

Odwróciła się, podeszła do łóżka i pochyliwszy się nad Astrid, dotknęła jej czoła krótkim pocałunkiem. Stara kobieta wyciągnęła rękę, pogładziła ją po policzku, ale nic nie powiedziała. Veronika przeszła przez pokój i otwierając drzwi, zerknęła szybko przez ramię, lecz Astrid podciągnęła już koc i odwróciła się do ściany. Veronika zamknęła za sobą cicho drzwi.

W poniedziałek po świątecznym weekendzie Veronika zawiozła Astrid do domu opieki, gdzie były umówione z przedsiębiorcą pogrzebowym. Początkowo mężczyzna zasugerował spotkanie w swoim biurze w mieście, dobrą godzinę drogi od wioski. Gotów był też przyjechać do domu Astrid, ale ona obstawała przy spotkaniu w domu opieki. Na neutralnym gruncie, może to się liczyło.

Kiedy Veronika podjechała pod jej furtkę, Astrid czekała na ganku. Zeszła na ścieżkę w swoim zwykłym ubraniu: spodniach i wielkiej koszuli, coś jednak sprawiało, że wyglądała pogodnie. Włosy miała zaczesane do tyłu, a jej oczy, kiedy spojrzała na Veronikę, były wyraziste i bardzo niebieskie.

- Dziękuję ci - powiedziała, nim się usadowiła na miejscu dla pasażera.

Miały mnóstwo czasu i Veronika zamiast głównej szosy wybrała nieco dłuższą starą drogę, która kluczyła przez małe wsie. Przydroża porastały polne kwiaty, a w górze kępy brzoź szumiały świeżo zielonymi koronami. Każda wioska miała swoje własne drzewko majowe, nadal stojące w centralnym miejscu.

Choć zajęchały przed dom z dziesięciominutowym

wyprzedzeniem, przedsiębiorca pogrzebowy czekał na frontowych schodach. Był w średnim wieku, całkiem łyсы, ale z gęstymi krzaczastymi brwiami oraz brodą dla równowagi. Ubrany w rozpiętą pod szyję białą koszulę z krótkimi rękawami i lekkie spodnie - strój niezobowiązujący, a jednak na swój sposób poprawny. Uścisk jego dłoni był mocny i profesjonalny.

Usiedli w kącie dla odwiedzających koło recepcji. Pielęgniarka zaproponowała kawę, ale wszyscy odmówili. Gdy tylko Astrid potwierdziła, że chce ceremonii kościelnej, data została ustalona na piątek.

Kiedy mężczyzna zaczął wypytywać o szczególne życzenia, Astrid podniosła rękę.

- Zostawiam to panu. Wszystko mi jedno, jaki będzie pogrzeb.

Byle się odbył w miejscowym kościele. Bez kremacji. Zwykły pochówek. W grobie rodziny Mattsonów.

Mężczyzna notował, nie komentując. Cała rozmowa trwała piętnaście minut.

Kiedy już zbierały się do wyjścia, podeszła pielęgniarka z plastikową torbą w ręce.

- Rzeczy pana Mattsona - powiedziała, podając torbę.

Astrid cofnęła się o krok, z rękami na piersi, i potrząsnęła głową.

- Proszę zrobić z tym, co pani uważa. Ja tego nie chcę.

Pielęgniarka wyraźnie zeszywniała, ale nie powiedziała ani słowa.

Z wymuszonym uśmiechem skinęła głową i umknęła za biurko recepcji. Veronika zerknęła na małą torbę, którą pielęgniarka opuściła na podłogę za swoim krzesłem. Leżała spłaszczona, z pewnością niewiele zawierając.

Wracały powoli, tym razem główną drogą, z opuszczonymi szybami. Było południe, słońce wysoko, i pusta szosa przed nimi połyskiwała w rozgrzanym powietrzu.

- Pojedźmy nad jezioro popływać, kiedy wrócimy - powiedziała Veronika z szybkim spojrzeniem na Astrid.

Stara kobieta pochwyciła jej wzrok, unosząc w zdziwieniu brwi.

- Popływać? - Odwróciła oczy na mijany krajobraz. Siedziała z łokciem wystawionym za okno i włosy powiewały jej wokół głowy.

- Tak - powiedziała po chwili, nie odwracając głowy. - Zróbmy to.

Pojedźmy nad jezioro.

Zatrzymały się przed jednym i drugim domem, żeby zabrać ręczniki. Przy okazji Veronika zrobiła kilka kanapek, Astrid zaś napełniła kawą swój niebieski termos.

Na końcu wąskiej drogi prowadzącej nad jezioro nie było żadnych innych zaparkowanych samochodów, tylko dwa rowery, jeden dziecięcy. Kiedy zeszły na mierzeję, zdawało się, że wokół nie ma żywej duszy, potem jednak zobaczyły kobietę z małym chłopcem nad wodą po drugiej stronie. Rozłożyły koc i usiadły, niewidoczne dla drugiej dwójki plażowiczów. Jak okiem sięgnąć, nie widziały śladów ludzkiego życia, żadnych domów. Jezioro było spokojne i ciemny las

na przeciwległym brzegu odbijał się w gładkiej toni. Woda miękko pluskała o rudy piasek. Veronika zdjęła szorty i T-shirt, zostając w jednoczęściowym zielonym kostiumie kąpielowym. Astrid siedziała ubrana, w spodniach i białej koszuli, ale bosą, z wyciągniętymi nogami. Wyjęła z torby spłóviały bawełniany kapelusz, nałożyła na głowę, po czym siedziała sobie z dłońmi na kolanach, spoglądając na cichą wodę.

- Wejdiesz ze mną? - spytała Veronika, wstając.

Astrid pokręciła tylko głową; oczy miała utkwione w jakimś odległym punkcie po drugiej stronie jeziora. Veronika weszła do wody, stąpając ostrożnie po kamykach przy brzegu, aż dotarła do piaszczystego dna. Zanurzona po kolana odwróciła się i pomachała do Astrid, która nie odwzajemniła jej gestu. Ciepła woda była złościście brązowa od bogatej w minerały gleby, ale przejrzysta; Veronika widziała na dnie swoje stopy, zniekształcone i żółtawe. Wchodziła coraz głębiej i kiedy zanurzyła się do pasa, zaczęła pływać. Przekręciła się na plecy i dała nieść się wodzie, która była jedwabista w dotyku. W górze sklepiało się niebo, bezkresne i jasnobłękitne. Obróciła się i zanurkowała, a gdy się wynurzyła, woda na jej wargach miała metaliczny smak.

Kiedy podeszła do koca, na którym nieruchomo siedziała Astrid, potrząsnęła głową, opryskując starą kobietę kropelkami wody.

- Powinnaś wejść - jest cudownie!

Astrid nie odpowiedziała, niezmiennie wpatrzona w wodę, ale kiedy Veronika usiadła, stara kobieta spojrzała na nią z błyskiem

uśmiechu w oczach.

- Nie mam kostiumu. I nie umiem pływać.

Veronika położyła się na kocu i zamknęła oczy przed słońcem.

- W przyszłym tygodniu są moje urodziny. Może byśmy się wybrały do miasta na małe zakupy. Mogłybyśmy kupić ci kostium. A potem wracając, zatrzymałybyśmy się na lunch, w takim małym miejscu, o którym słyszałam. Żeby trochę poświątować. - Podciągnęła się na łokciach. - Pojechałabyś ze mną i pomogła uczcić moje urodziny?

Astrid zajęła się nalewaniem kawy do dwóch plastikowych kubków. Nie odzywała się. Dopiero kiedy zamknęła termos i wręczyła Veronice kubek, podniosła wzrok.

- Bardzo bym chciała. Po pogrzebie. Pojedziemy po pogrzebie.

I kupię sobie kostium. - Podniosła swój kubek, włożyła do ust kostkę cukru i uśmiechnęła się, z zaciśniętymi wargami. - A potem będziemy świętować.

- Pogrzeb - powiedziała wolno Veronika. U siadła i spojrzała na Astrid. - Boisz się?

Stara kobieta siedziała jak przedtem, z wyciągniętymi nogami i wzrokiem w jakimś odległym punkcie jeziora. Powoli pokręciła głową.

- Nie. Nie boję się. I nie jestem smutna. Już nie. Jest po wszystkim. Pogrzeb będzie końcowym gestem. Zamknęciem. - Astrid postawiła kubek na piasku. - Teraz wiem, że to z sobą samą bałam się zmierzyć. Kiedy stałam przy łóżku swojego męża i widziałam jego

ostatnie tchnienia, to było tak proste jak zgaszenie świecy. - Urwała, z oczami wciąż na jeziorze. - Nie ma się już czego bać. - Nagle się odwróciła i spojrzała na Veronikę, - Bo to nigdy nie chodziło o niego.

Tylko o mnie.

Veronika leżała z zamkniętymi oczami, dłubiąc palcami w piasku.

- Ktoś mi powiedział, że pogrzeb daje pocieszenie. Że rytuał umożliwia oplakującym pogodzić się ze stratą. Ze mną tak nie było.

Usiadła, wyciągając nogi obok nóg Astrid, z nieobecny wzrokiem, choć skierowanym na te same błękitne wzgórza za jeziorem.

- Dla mnie nie było żadnego pocieszenia.

Me aha iho ka mauru ai.

Whiuwhiu kei te muri, kei te tonga?

Och! jak mogę! uspokoić swe serce!

Z północy na południe miotane?

Veronika

Szła wolno, jak ktoś idący po linie nad niezmierną przepaścią.

Wstałam, gdy ona zbliżała się długim szpitalnym korytarzem, i pamiętam, że linoleum pod moimi stopami było zimne i miękkie. Wciąż byłam bez butów, w kostiumie kąpielowym, z kocem na ramionach. Nogi miałam pokryte drobnym pyłem wyschniętej soli. Było mi zimno - tak zimno, że czułam się, jakby już nigdy więcej miało nie być mi ciepło. Kiedy podeszła bliżej, zorientowałam się, że mnie nie widzi. Jej twarz była bardzo blada, a oczy puste. Szła za nią

kobieta, którą nie bardzo poznawałam. Nie dotykała Eriki, ale trzymała się blisko z tyłu.

Wyszła do nich pielęgniarka i na sekundę oczy Eriki spotkały się z moimi, ale bez oznak, że wie, kim jestem, i nic nie powiedziała. Zaczęłam podnosić ręce, ale z powrotem je opuściłam, kiedy ona odwróciła się do pielęgniarki, która ujęła jej łokieć i wprowadziła do pokoju.

Usiadłam z powrotem na ławce.

Po południu, kiedy wróciłam do domu, włożyłam jego czerwony szlafrok i położyłam się na łóżku. Odwróciłam się i schowałam twarz w jego poduszkę, która pachniała jeszcze nim.

Został pochowany w środę. W poniedziałek zjawiła się przyjaciółka Eriki. Słyszałam pukanie do drzwi, ale zrozumienie, z czym to ma związek, zajęło mi kilka minut. Dźwięk wydawał się tak nieznaczący jak wszystko inne, co mogło dziać się w świecie poza strefą cienia, w której leżałam. Nieistotny i niewymagający reakcji. W końcu użyła klucza, który dostała od Eriki. Miała na imię Carolyn. Zrobiła herbatę, usiadła na łóżku i rozmawiała ze mną. Mówiła o przygotowaniach, które czyniła Erica, i' pytała, czy mam jakieś obiekcje.

Patrzyłam na jej miłą twarz, ale nie byłam w stanie powiązać z czymkolwiek jej słów. Owinęłam się ciasniej szlafrokiem, bo ciągle nie mogłam się rozgrzać.

Kiedy myślę o tym teraz, żałuję, że nie było więcej czasu. Czuję, że żałoba ma swój własny naturalny przebieg, którego nie da się

skrócić bez konsekwencji. Może gdy pozwalamy działać czasowi, ukojenie jest pełniejsze. Ale było tak, że cień nie ustępował. W moim domu czas miał inny wymiar, i nie było dni ani nocy, tylko ciągły półmrok.

W dzień pogrzebu szłam przez kościół za Eriką i ojcem Jamesa, który przyleciał z Londynu, ale byłam gdzieś indziej, gdzieś, dokąd nie docierało światło. Oni trzymali się za ręce, para połączona w swoim bólu. Widziałam ich, wszystko zauważałam, ale wydawało się, że to nie ma nic wspólnego ze mną.

Byli przyjaciele ze szkoły, przyjaciele z uniwersytetu, z pracy. Byli krewni. Oni wszyscy jakby należeli do jakiejś całości, jakby wszyscy mieli swoje miejsce w konstrukcji, która była życiem Jamesa. Ja szłam wzdłuż rzędów ławek wypełnionych ludźmi, z których prawie nikogo nie znałam. Był mężczyzna, mniej więcej w wieku Jamesa, który odwrócił do mnie twarz. Płakał i wycierał oczy wierzchem dłoni. Nigdy przedtem go nie widziałam i nie miałam pojęcia, co go łączyło z Jamesem. A on miał nigdy nie poznać Jamesa, który był mój. Jednak oboje opłakiwaliśmy tego samego człowieka. Czułam, jak moje kroki stają się coraz lżejsze i lżejsze, jakbym przestała dotykać podłogi. I wciąż było mi strasznie zimno.

Odmówiłam czytania, ale w mojej głowie ciągle powtarzały się słowa, które wcześniej rozważałam:

Alit, alit jag agde var ditt mer an mitt.

Alit jag vackrast ville var ditt, ditt, ditt.

Wszystko, wszystko, co miałam było bardziej twoje niż moje.

Wszystkie moje najlepsze chęci były twoje, twoje, twoje.

Zamierzałam przetłumaczyć wiersz Karin Boye, ale zmagając się ze słowami, nagle zdałam sobie sprawę, że one są dla Jamesa, i dla mnie, i że przekład jest zbyt dobry. One nie miały nic wspólnego z tym pogrzebem, z tymi ludźmi. Mogłam mu je przeczytać w myślach i język nie miał znaczenia.

Potem było spotkanie w domu Eriki. Przeszłam przez pokoje pełne ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkałam, i usiadłam na schodach tylnego ganku. Stary rudawy kot spał w swoim zwykłym miejscu. Wszędzie dookoła byli ludzie, ale kotu nic nie zakłócało snu, a ja siedziałam w samotnym milczeniu. Nagle usłyszałam za sobą kroki i kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam ojca Jamesa. Usiadł obok mnie. Zostaliśmy sobie przedstawieni w kościele, ale nic w nim nie zatrzymało mojej uwagi. Teraź spojrzałam w jego twarz i zobaczyłam cień podobieństwa. Zastanawiałam się, czy to, co widzę, jest przybliżeniem tego, jak wyglądałby kiedyś James. Położył rękę na mojej i wpatrywał się w moją twarz.

- Taka szkoda, że nie poznamy się bliżej - powiedział. Westchnął i na moment jego dłoń została na mojej.

Nie przychodziły mi do głowy żadne słowa. W końcu wstał nieporadnie i zdałam sobie sprawę, że jest starszy, niż to wynikało z ogólnego wrażenia. Przystojny, dobrze utrzymany mężczyzna, znacznie starszy od Eriki. Przypomniałam sobie, jak James mi mówił, że jego matka zaszła w ciążę, gdy była w Londynie na stypendium w Balcie Królewskim. Że jego ojciec był żonaty i że nigdy nie było

mowy o porzuceniu przez niego rodziny. Patrzyłam na starszego mężczyznę, zastanawiając się, czy nie żałuje raczej, że nie pozna swojego syna, nie mnie.

Wróciłam do naszego domu wczesnym wieczorem. Było jeszcze jasno i ciepło. Mijałam korty tenisowe i słyszałam odgłosy gry, uderzenia piłek o rakiety, krzyjących graczy, śmiech. Wzdłuż Ponsonby

Road drzwi restauracji były otwarte przed nadchodzącym wieczorem i ludzie popijali wino przy stolikach na zewnątrz. Gdziekolwiek spojrzełam, było życie. Ale w moim cichym domu panował kojący półmrok i z ulgą znów do niego weszłam.

Wiedziałam, zanim się obudziłam. Myślę, że przez sen musiałam zanotować pierwsze wzmożone napięcie najmniejszego mięśnia, na długo wcześniej, zanim się nasiliło i przeszło w regularne skurcze.

Ciepła, lepka ciecz między nogami była tylko potwierdzeniem zaakceptowanego już faktu. Krew była na moich udach, na pościeli, na szlafroku. Leżałam nieruchomo i zapraszałam ból. Każdy intensywny skurcz niósł z sobą świeży potok gęstej krwi. Myślałam, że jeśli dam im swobodę, nie będę stawiać oporu, to może nie ustaną i umrzemy razem.

Ale rano było po wszystkim. Stałam pod prysznicem, szcękając zębami, i patrzyłam, jak wirująca czerwona woda znika w otworze odpływowym. Uniosłam twarz i moje łzy mieszały się z wodą.

Opuściłam Nową Zelandię dwa tygodnie później. Erica zawiozła

mnie na lotnisko. Nie zadawała pytań, kiedy wkroczyłam w jej życie, i nie zadała żadnego teraz. Powiedziałam, że pobędę przez jakiś czas u swojego ojca w Tokio. Jej szczupłe ręce leżały na kierownicy i nie odwracała oczu od drogi. Patrzyłam na jej profil i zastanawiałam się, czy mój wyjazd sprawia jej ulgę. Zastanawiałam się, czy kojarzy mnie ze swoim bólem.

Poczekala, aż się odprawię, potem weszliśmy na górę i usiadliśmy na filiżankę kawy.

- Mam nadzieję, że wrócisz - powiedziała. - Będiesz zawsze mile widziana.

Zatrzymała oczy na mojej twarzy, ściągając brwi. Próbowałam odczytać jej wzrok i przyszło mi do głowy, że chyba zapamiętuje moją twarz. A może ją po raz pierwszy badała. Może nigdy wcześniej nie zadała sobie trudu, żeby spojrzeć mi w twarz jak należy. Być może, jak ja, myślała, że będzie jeszcze tyle czasu.

Kiedy uścisnęliśmy się na pożegnanie, czułam jej odstające łopatki. Wydawała mi się lekka jak powietrze. Potem cofnęła się na moment i w końcu wyjęła z torebki kopertę.

- Chcę, żebyś to wzięła - powiedziała, wyciągając rękę. - Otwórz to później. - Wyprostowała się, po raz ostatni utkwiała wzrok w mojej twarzy, a potem odwróciła się i odeszła. Patrzyłam na znikające w tłumie jej wąskie plecy.

Gapiałam się w okno, kiedy samolot wzbijał się w powietrze, ale tym razem niskie chmury zasłaniały widok. Wpatrywałam się w zbitą biel i miałam pustkę w głowie.

Trochę później otworzyłam kopertę. W środku było zdjęcie i kilka ręcznie pisanych zdań na kartce.

To jest moje ulubione zdjęcie Jamesa. Miał osiem lat i świeżo zszytą wargę. Mimo to, jak widzisz, był bardzo szczęśliwy. Jego drużyna rugby właśnie odniosła swoje pierwsze zwycięstwo. Często na nie patrzę i mówię sobie, że było tyle szczęścia. Tyle radości. I że to jest to, co muszę pamiętać. Mam nadzieję, Veroniko, że ty będziesz pamiętać to samo.

... ett ljus som varken ar hopp eller tra men karlek - ett segertecken.

... światło, które jest ni nadzieją, ni toiarą lecz miłością - znakiem tryumfu.

Niebo było białe, powietrze ciężkie i gorące, bezwietrzne. Właściwa pogoda na pogrzeb, pomyślała Veronika. Obudziła się wcześniej i po szybkim prysznicu zrobiła sobie kawę i usiadła na schodach ganku. Obok niej na kamiennej płycie leżał telefon komórkowy. Od przyjazdu na wieś do nikogo nie dzwoniła. Cztery miesiące. Ale zawsze był naładowany i od czasu do czasu kasowała wiadomości nagromadzone w skrzynce odbiorczej. Trzymając teraz komórkę w ręce, sprawdziła te zachowane. Były tylko trzy, ostatnia z datą pierwszego listopada ubiegłego roku, pierwsza - szóstego lipca. Jej urodziny. Popatrzyła na datę, przez chwilę ważyła telefon w dłoni, ale nie odsłuchiwała wiadomości.

Wyłączyła komórkę, schowała do kieszeni szlafroka i wróciła do środka szykować się do wyjścia.

Kiedy przyszła po Astrid, stara kobieta siedziała na ławce na swoim ganku. Była w białej koszuli i granatowych spodniach i trzymała na kolanach plastikową torbę na zakupy. Wcześniej postanowiły, że jeśli nie będzie padało, pójdą do kościoła na piechotę. Astrid wstała i ramię w ramię powędrowały spacerkiem w dół zbocza. Niebo wisiało ciężko nad ich głowami i bardzo nisko latały jaskółki. Minęły sklep, otwarty, ale wyludniony. Wystawione na zewnątrz łąbianki truskawek w promocji przyciągały słodkim zapachem owady. Przechodząc przez mostek nad rzeką, przystanąły na chwilę i Astrid popatrzyła w dół na wodę. Powierzchnia była zmętniała i gładka, jak tłusty kozuch na ciemnej, wolno poruszającej się masie.

- Jest prawie po wszystkim - powiedziała, patrząc w stronę kościoła.

Przedsiębiorca pogrzebowy przywitał je na schodach kościoła, razem z niską kobietą o jasnych włosach. Był ubrany w ciemny garnitur i białą koszulę z dyskretnym szarym krawatem, jego koleżanka w ciemny kostium. Przedstawił kobietę, potem odwrócił się w stronę otwartych drzwi kościoła.

- Zaprowadzę panią do zakrystii - powiedział i podał Astrid ramię.

Veronika i jasnowłosa kobieta ruszyły za nimi. Wewnątrz panował chłód, ale powietrze załatywało stęchlizną, jakby pomieszczenie było przez długi czas zamknięte. Ksiądz był młody; Veronice wydał się niewiele starszy od niej samej. Ręce miał złożone,

jakby w nieustannej modlitwie, ale wyglądało to na oznakę raczej zmieszania niż pobożności. Na moment uwolnił rękę, by przywitać się z Astrid. Jego oczy unikały wzroku Veroniki.

Kiedy weszli do kościoła, Veronika zauważyła trzy starsze kobiety w jednej z tylnych ławek, poza tym było pusto. Szli główną nawą, ksiądz pierwszy, za nim Astrid wsparta na ramieniu Veroniki, potem przedsiębiorca pogrzebowy i jego koleżanka. Trumna była prosta drewniana i oprócz małego wieńca ze srebrnej jodły nie było żadnych dekoracji. Po obu stronach stał ponadmetrowej wysokości świecznik z kutego żelaza z zapaloną świecą.

Astrid usiadła w pierwszej ławce z Veroniką u boku, a organizatorzy pogrzebu za nimi. Ksiądz odczytał określone liturgią teksty, ale nie podjął się wygłoszenia osobistej mowy. Dla Veroniki te słowa zdawały się rozwiewać, gdy tylko opuszczały jego usta; sylaby oddalały się od siebie i znaczenie ginęło w mrocznych, cichych zakamarkach ogromnej przestrzeni. Gdy skończył, rozbrzmiały organy, lecz Astrid została na swoim miejscu. Patrzyła nieruchomo na trumnę, poruszając bezgłośnie wargami. Wreszcie położyła rękę na ramieniu Veroniki, dając znak, żeby wstała i pozwoliła jej przejść. O własnych siłach podeszła do trumny i stanęła tuż przed nią, plecami do ławek. Wyglądała krucho i niepozornie, ale miała wyprostowane plecy, szerokie ramiona, z całej jej postawy biła pewność siebie. Jej głowa nie była pochylona w modlitwie, lecz lekko uniesiona w górę. Poruszała wargami, ale

Veronika nie słyszała żadnego dźwięku. Astrid trwała jak posąg,

nie licząc ciągłego milczącego ruchu warg. Potem przeszukała kieszeń swoich spodni i zdawało się, że coś wyjmuje. Veronika widziała zaciśniętą dłoń i patrzyła, jak stara kobieta pochyla się i kładzie przedmiot na wieku trumny. Trzymała tam rękę przez moment, po czym odwróciła się i podeszła do ławki, gdzie Veronika stała, czekając. Obie ruszyły główną nawą do wyjścia. Kiedy minęły trzy kobiety, Veronika poczuła na plecach ich wzrok.

Na schodach kościoła dołączył do nich ksiądz i dwójka przedsiębiorców pogrzebowych. Astrid stała trochę z boku i wydawało się, że bierze głębokie hausty wilgotnego powietrza. Zapytana, czy weźmie udział w pochówku, pokręciła głową. Oczy mężczyzny w garniturze zatrzymały się krótko na twarzy starej kobiety. Przechylił na bok głowę, ale nic nie powiedział. Wyciągnął tylko rękę ze słowami pożegnania i razem ze swoją koleżanką oraz księdzem wrócili do środka.

Astrid i Veronika zeszły po kościelnych schodach na żwirową ścieżkę.

Kierowały się w stronę bramy, gdy Astrid położyła rękę na ramieniu

Veroniki.

- Jeszcze chwileczkę - powiedziała i skręciła przy ścianie kościoła na cmentarz.

Veronika poszła za nią, wahając się, czy powinna, ze wzrokiem wbitym w plecy starej kobiety. Astrid dotarła na sam koniec, przy kamiennym murze, gdzie uklękła niedołącznie, rozchyliła plastikową

torbę i wyjęła bukiet polnych kwiatów. Położyła go na tablicy przed sobą.

Później pochyłona do przodu, pogładziła płaską tablicę i przysiadła nieruchomo z rękami na udach. Veronika podeszła wolno i podała jej rękę. Astrid spojrzała w górę, skinęła głową i przyjęła pomoc. Wstała, otrzepała spodnie i zmięła plastikową torbę.

- Oddałam obrączkę - powiedziała. - Nie powinnam była jej nigdy przyjąć. I nie powinnam była czekać całe życie z wypowiedzeniem słów. Ale teraz jest nareszcie po wszystkim.

... gatfullt djupa ar de stunder da vi helt far gladje vara.

... tajemniczo głębokie to chwile gdy dana jest nam czysta radość.

Trzydzieści jeden. Mam trzydzieści jeden lat, pomyślała Veronika.

Leżała w łóżku; była sobota. Dzień jej urodzin, szósty lipca. Patrzyła na światło oblewające sufit. Było jeszcze wczesnie, ale powietrze wpadające przez siatkę w oknie miało już taką samą temperaturę jak skóra jej ramienia. Skopała z siebie nakrycie i przekręciła się na bok, z dłońmi między nogami. Była naga. Próbowała sobie przypomnieć ten sam ranek rok wcześniej. W innym świecie, innym życiu.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Veroniko.

Poczuła pod kocem jego wargi na swoich udach. Naciągnęła koc na głowę i sięgnęła po jego twarz. Pocałował ją w usta, potem

delikatnie przyparł do poduszki i zaczął błądzić wargami po jej piersiach i brzuchu. Kiedy wygięła się, by go przyjąć, ogarnęło ją uczucie radości tak intensywne, że rozszczepiało się i wybuchowało wielobarwnymi odłamkami, które wypełniały cały wszechświat.

Później, kiedy leżała z głową na jego torsie, wilgotnymi włosami, które przyklepiały się do jego skóry, powiedziała:

- To moje urodziny. Moje narodziny. Tutaj zaczyna się moje życie.

- Zamknęła oczy i wachała jego skórę. I wiedziała, że takie są narodziny - gorące, drażniące węch, niebezpieczne, nawet zagrażające życiu.

Radosne.

Spędzili dzień, robiąc wszystkie rzeczy, które ona zdążyła pokochać. Godziny w galerii sztuki, zagłądanie do sklepików na High Street, wizyta w jej ulubionej księgarni, potem kawa, dwie fiat white” z mlekiem spienionym w kształt serca, o co poprosił kelnerkę James.

Śmiała się, ona też, kelnerka z kawiarni. James potrafił rozśmieszyć każdego. Wydawało się, że nawet pogoda dała z siebie wszystko, żeby umilić jej dzień. Niebo było głęboko niebieskie, powietrze rześkie, więc kiedy się zatrzymali na lunch, wybrali stolik na chodniku. Słońce przypiekało i James zdjął kurtkę. Odłożył okulary słoneczne i spojrzał na Veronikę skupionym wzrokiem.

- Tak będzie zawsze. Cokolwiek się stanie, dokądkolwiek pojedziemy, zrobimy wszystko, żeby to trwało. A:ż do dnia naszej

śmierci.

- Wyjął z kieszeni małą zieloną aksamitną sakiewkę i przesunął po stole. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Veroniko.

Nie podniosła prezentu, tylko pogładziła palcami miękką tkaninę.

- Pamiętasz, jak mi dałeś komórkę? A ja nic dla ciebie nie miałam?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Wyrachowanie. Czysty egoizm. Chciałem po prostu wiedzieć, że będziesz dla mnie osiągalna.

- W każdym razie nic ci nie dałam. - Patrzyła mu w oczy, nie przestając gładzić aksamitnej sakiewki. - Więc daję ci moją następną książkę. Jest cała dla ciebie. Dla Jamesa z całą moją miłością. I będzie to książka o miłości. To wszystko będzie w niej zawarte. - Zrobiła gest, który objął ich dwoje, restaurację, otoczenie na zewnątrz, niebo.

- U mnie będzie to takie piękne.

Wzięła sakiewkę i otworzyła. W środku był bardzo ciemny, prawie czarny zielony nefryt. Prostokątny, wielkości pudełka zapalek, ale z obu stron wklęsły, z prawie przezroczystym środkiem. James wyciągnął rękę do Veroniki, żeby położyła mu go na dłoni. Podniósł kamień wysoko i ustawił pod słońce.

- Spójrz tutaj - powiedział. - Jeśli będziesz patrzyła z otwartym sercem, zobaczysz ziemię. Zobaczysz morze. Góry i niebo. Ludzi.

- Rozpiął zameczek i pochylił się nad stolikiem, żeby zawiesić jej na szyi cieniutki rzemyk. - To twoje. To wszystko jest twoje.

Absolutnie wszystko.

Rok temu. Po drugiej stronie kuli ziemskiej. W innym życiu.

Otworzyła oczy i spojrzała na roletę, która kołysała się lekko w porannym wietrze. Było wcześniej, ale usiadła, wysunęła szufladę nocnego stolika i wyjęła małą aksamitną sakiewkę. Kiedy ją otwierała, nefryt wysliznął się i spadł na jej kolana. Uniosła go pod miękkie światło, a potem założyła wisiorek na szyję. Z kamieniem w jednej dłoni wyjęła telefon komórkowy, włączyła i położyła go na nocnym stoliku. Podeszła do okna, podciągnęła roletę i stała tam, patrząc, wciąż nie wypuszczając z ręki zielonego kamienia. Lato było w szczycie swojej bujności. Dojrzała trawa usiana dzwonkami i stokrotkami, liście brzoź w kolorze głębokiej, nasyconej zieleni. Słyszała jaskółki gniazdujące wyżej, tuż pod dachem, z opierzonymi pisklętami gotowymi lada moment wyfrunąć.

Umówiły się, że wyjadą, kiedy ranek będzie jeszcze świeży, przed południowym upałem, ale wciąż miała sporo czasu do tego, żeby się zacząć szykować. Włożyła czerwony szlafrok i zeszła na dół zaparzyć kawę. Z kubkiem w ręce otworzyła frontowe drzwi. Za progiem stał biały talerz z małymi jasnoczerwonymi poziomkami na źdźble tymotki. Veronika usiadła i wzięła trawę do ręki, Podniosła ją z uśmiechem, przyłożyła do nosa i powąchała, zanim powoli zdjęła jeden owoc i włożyła do ust. Zjadła wszystkie, po jednej poziomce na raz, zatrzymując słodycz na języku, podczas gdy jej białe stopy tonęły w zroszonej trawie. Dalekie postukiwanie dziecięcia przebiło się przez senny poranek, poza tym wszystko było pogrążone w spokoju.

Nauczyła się cenić te poranki na schodach. Każdy był nowym początkiem, czystą tablicą. Dzień po dniu zbliżała się do powierzchni, i było coraz więcej światła.

Ubrana i gotowa do wyjścia zatrzymała się na moment i weszła na górę. Wróciła z komórką, którą wepchnęła do kieszeni swojego małego plecaka.

Gdy stara kobieta wstała i ruszyła do furtki, Veronika zauważyła, że po raz pierwszy, odkąd się poznały, Astrid włożyła spódnicę - była ciemnoczerwona, z cienkiej delikatnej wełny, i sięgała jej do kostek. Strój uzupełniały płaskie czarne pantofle i biała bluzka z krótkimi rękawami. Veronika zauważyła też kolczyki: małe białe perły.

Astrid niosła staromodny wiklinowy koszyk, taki, jakiego się używa do zbierania jagód albo grzybów.

Veronika zamówiła lunch w małym pensjonacie w sąsiedniej wiosce, gdzie ponoć była dobra kuchnia. Miały przejechać przez tę wioskę w drodze do miasta, potem wrócić tą samą trasą i zatrzymać się, żeby zjeść.

- Lubię prowadzić - powiedziała Veronika. - Właściwie sama o tym nie wiedziałam aż do niedawna. Po raz pierwszy w życiu mam własny samochód. Choć oczywiście nie jest mój, tak naprawdę, tylko wypożyczony. Ale myślę o nim jak o własnym. Poza tym myślę o nim raczej jak o domowym zwierzaku. Kiedy biorę go na przejażdżkę, to jakbym wyprowadzała na spacer psa. - Uśmiechnęła się i poklepała kierownicę.

Droga była sucha i pusta; w radiu grała muzyka popularna. Jechały wolno i kilka razy ktoś je wyprzedził. Astrid wyjęła z koszyka torebkę z cukierkami i poczęstowała Veronikę.

- W jednym z miejsc, gdzie mieszkałam ze swoim ojcem, on miał kierowcę o imieniu Muhammad - powiedziała Veronika. - Był analfabetą, ale mój ojciec odkrył to dopiero wtedy, gdy chciał go zwolnić. Inni pracownicy, kiedy się dowiedzieli, wystąpili w jego obronie. Muhammad miał czworo adoptowanych dzieci i jedno z nich jeszcze studiowało. Niepiśmienny i stary Muhammad nigdy nie znalazłby nowej pracy. Kiedy mój ojciec o tym usłyszał, natychmiast ustąpił i Muhammad woził nas dalej, dopóki nie wyjechaliśmy z placówki.

Veronika miała oczy skupione na drodze. Lewą ręką odgarnęła z twarzy włosy.

- Mój ojciec jest łagodnym, życzliwym człowiekiem. - Zerknęła szybko na: Astrid. - Spędziłam z nim więcej czasu niż z kimkolwiek innym. Jednak gdy patrzę na niego teraz, jako dorosła, wcale nie jestem pewna, czy go znam. Wiem, że jest życzliwy. Wiem, że jest łagodny.

Wiem, co najchętniej czyta, jaką lubi muzykę, które dyscypliny sportowe. Ale nie wiem, co myśli. Nie znam go jako osoby. Tylko jako swojego ojca. - Poruszyła prawą ręką na kierownicy, zabębniła palcami, zacisnęła dłoń i rozluźniła.

Właśnie wtedy zadzwoniła komórka. Ale plecak był na tylnym siedzeniu, a kiedy Astrid próbowała się odwrócić, żeby po niego

sięgnąć, Veronika położyła rękę na jej ramieniu i pokręciła głową.

- Niech dzwoni - powiedziała. - Sprawdzę ją później.

Jechały przez senne wioski, gdzie rdzawoczerwone drewniane domy z białymi narożnikami otaczały rabaty i jasnozielone trawniki. Widziały niewielu ludzi; pora wciąż była wczesna. Na długich odcinkach droga biegła wzdłuż rzeki, która była szeroka i nieruchoma - spokojnie wijąca się metaliczna droga wodna, lustro dla błękitnego nieba.

Dotarły do miasta tuż przed dziesiątą i znalazły parking przed kopulastym centrum handlowym. Było jeszcze trochę czasu do otwarcia sklepów, postanowiły więc przejść się do parku po drugiej stronie ulicy. Kiedy zobaczyły, że drzwi się otwierają, wróciły i weszły do środka.

Jako pierwsze i najwyraźniej jedyne klientki miały bez pośpiechu sklepy, których witryny wyglądały równie sennie jak samo miasto. Letnie ubrania i artykuły wakacyjne wydawały się nieco spłowiałe, jakby pokryte lekkim kurzem, z rezygnacją czekające, żeby je usunąć i zrobić miejsce dla oferty nowego sezonu.

W jednym sklepie za ladą stała szczupła młoda dziewczyna o prostych tlenionych włosach. Trzymała małe lusterko i palcem nakładała na usta błyszczyk. Nie okazała najmniejszym gestem, że zauważyła dwie kobiety. Astrid podeszła do stojaka, na którym wisiały apatycznie jednoczęściowe kostiumy kąpielowe. Tak jak się spodziewały, wybór był ograniczony. Znalazły trzy we właściwym rozmiarze: jeden czarny, jeden biały z aplikacją z kryształków

górkich, jeden w jaskrawe kwiaty. Astrid patrzyła na wieszak z wyrazem twarzy, który Veronika nie bardzo umiała zinterpretować, gdy nagle zjawiła się dziewczyna.

- Szuka pani kostiumu dla swojej matki? - spytała Veronikę, ignorując Astrid.

- Właśnie - odparła Veronika.

Dziewczyna podała czarny kostium, praktyczny fason z nisko skrojonym dekoltem i szerokimi ramiączkami. Dyndał na jej palcu, podczas gdy jej oczy zdawały się utkwione w jakimś punkcie na drugim końcu sklepu.

- Mogę przymierzyć ten? - Astrid zdjęła z wieszaka kolorowy kostium w kwiaty.

- Pewnie - odpowiedziała dziewczyna, nadal nie patrząc na swoją klientkę. - Przymierzalnia jest tam. - Kiwnęła w stronę trzech kabin przy ścianie i nie dokończywszy zdania, odwróciła się na pięcie, by wrócić na swoje miejsce za ladą i zająć się przerwany makijażem.

Astrid zniknęła w jednej z kabin i Veronika słyszała, jak się rozbiera. Zasłona maleńkiej przymierzalni ciągle się wybrzuszała, aż w pewnej chwili raptownie odsunęła się na bok i Astrid wyłoniła się na ostre fluorescencyjne światło.

- I co ty na to? - spytała, pozując z wyciągniętymi rękami i jedną stopą przed drugą. Skóra jej nóg była sinobiała i obwisła na udach.

Głęboki dekolt odsłaniał szczyty białych zwiotczałych piersi. Włosy wyglądały jak naelektryzowane i tworzyły wokół jej twarzy

mizerną aureolę. Po chwili absolutnej ciszy Veronika powoli uniosła ręce do ust.

Oczy Astrid zaiskrzyły się i jak na komendę obie kobiety wybuchły nieopanowanym śmiechem. Zaczęło się od stłumionego chichotu, który rósł gwałtownie, aż Astrid pociekły łzy po twarzy, gdy roześmiała się na cały głos. Veronika musiała zgiąć się w pół, żeby złapać oddech, Astrid przysiadła na stołku obok przymierzalni.

- Cudowny - powiedziała Veronika, gdy w końcu opanowała się na tyle, żeby mówić. - Uważam, że jest absolutnie doskonały.

- Biorę go.

Astrid wróciła do przymierzalni i Veronika słyszała, jak chichocze za zasłoną. Dziewczyna za ladą stała nieruchomo, z na wpół otwartymi błyszczącymi ustami.

Z kostiumem kąpielowym w torbie wyszły na ulicę w letnio senne miasto. Było za wcześnie na lunch, a żadna z nich nie miała nic więcej do kupienia. Spacerowały bez celu i przechodząc obok budki z lodami, zatrzymały się i kupiły sobie po rożku. Usiadły na pierwszej parkowej ławce w lekkim cieniu pod drzewami.

- Wiesz, że nigdy tu wcześniej nie byłam - powiedziała Astrid.

- Jestem ci wdzięczna, że pozwoliłaś mi to wszystko zobaczyć. - Podniosła rękę z lodami i zatoczyła szeroki łuk w powietrzu. - Chłonę to wszystko, cieszy mnie to, ale teraz zdaję sobie sprawę, kiedy naprawdę to widzę, że jest bez znaczenia, że zajęło mi to całe życie. - Siedziała z twarzą zwróconą ku słońcu, od czasu do czasu liżąc lody. - Jestem pewna, że są wyjątkowe miejsca, których nigdy nie zobaczę.

Ale teraz mi nie żal. - Zamilkła na chwilę. - Ten dzień wystarczy. Teraz wiem, że to by niczego nie zmieniło. Że nigdy nie chodziło o miejsce.

Veronika sięgnęła pod bluzkę i wyjęła wisiorek z nefrytem. Zdjęła go z szyi i ustawiła kamień pod słońce.

- Spójrz, Astrid. - Stara kobieta pochyliła się i patrząc razem na ten sam kamień, dotykały się lekko głowami. - Kto ma otwarte serce, może zobaczyć wszystko, co kocha, tutaj. Jeziora, lasy, niebo. Cały wszechświat. - Podsunęła zielony kamień Astrid i stara kobieta musnęła palcami gładką powierzchnię. - Nie nosiłam go od dnia, w którym umarł James. Dlatego, że straciłam serce. I nie było dla mnie niczego, co mogłabym zobaczyć. - Zapięła wisiorek z powrotem na szyi. - Ale dzisiaj rano go założyłam. I myślę, że mogę to zobaczyć. Myślę, że znów mogę zobaczyć piękno.

- Tak. - Astrid spojrzała na nią. - Tak, piękno istnieje. Trzeba mieć tylko serce i wtedy widzi się je wszędzie.

Po krótkim spacerze przez ciche ulice wróciły do samochodu i odjechały.

Pensjonat był starym okazałym drewnianym domem, pomalowanym na jasnożółto, w wiosce, gdzie wszystkie inne budynki były typowo rdzawoczerwone. Wyglądał jak królowa pszczół, usadowiony w ogromnym bujnym ogrodzie będącym w szczycie swej letniej obfitości, otoczony wioską rdzawoczerwonych pszczół robotnic. Zaparkowały przed bramą i wolno podeszły ścieżką w górę do drzwi frontowych. Po prawej stronie był ogród zielny z rzędami

pietruszki, kopru, szczypioru i bazylii. Wzdłuż przedniej ściany głównego budynku rosły wysokie malwy, po obu stronach drzwi wejściowych.

Na schodach spał wielki szary kot, a niżej po trawie paradowała nieustraszenie pliszka. Kiedy weszły przez otwarte drzwi, w korytarzu panowała cisza i nie spotkały nikogo, ale za progiem jadalni szczupła kobieta podeszła do nich z gościnnym uśmiechem. Z bliska zobaczyły, że nie jest młoda, ale miała w sobie pociągającą żywotność. Mówiła ze śladem obcego akcentu i to, razem ze lśniącościami włosów po hennie, sprawiało, że w intrygujący sposób nie przystawała do tego starego, tradycyjnego otoczenia.

Zaproponowała lunch w środku, a potem kawę w ogrodzie, i Astrid z Veroniką usiadły przy stole w jadalni. Astrid podniosła wzrok na kelnerkę.

- Dzisiaj są Veroniki urodziny - powiedziała z lekkim skinieniem głowy.

Kelnerka złożyła ręce z szerokim i szczerym uśmiechem.

- Och, cudownie! Pozwolą panie, że podam urodzinowego drinka.

- Odwróciła się, dodając przez ramię: - Na koszt firmy, oczywiście.

Sala była przestronna, a prosty, ascetyczny wystrój jeszcze to podkreślał. Drewniane stoły i krzesła pomalowano na tradycyjny jasnoszary kolor, zdarta i porysowana podłoga też była stonowana, jasnoszara. Okna pozbawiono zasłon, ale każde z nich ozdabiała kilka

doniczek geranium na parapecie. Wnętrze sprawiało pogodne wrażenie, nie nosiło piętna wieku, ta łagodna sceneria dla ludzi i jedzenia mogłaby wyglądać tak samo przez setki lat. Na początku były jedynymi gośćmi.

Kiedy Veronika kładła swój plecak na podłodze obok krzesła, przypomniała sobie o nieodebranych telefonach. Wyjęła komórkę i połączyła się z pocztą głosową. Wysłuchiwała nagrania i bezwiednie złagodniała jej twarz.

- To był mój ojciec - powiedziała z uśmiechem, chowając telefon.

- Z życzeniami urodzinowymi.

Kelnerka wróciła z dwoma kieliszkami musującego wina na małej tacy.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziała, postawiwszy wino na stole.

Astrid uniosła w toastie swój kieliszek.

- Wszystkiego najlepszego, Veroniko. Mam nadzieję, że przyjdiesz dzisiaj do mnie na kolację. Nie wzięłam ze sobą prezentu dla ciebie.

Veronika uśmiechnęła się i skinęła głową.

Nie było karty dań, a przystawki brało się samodzielnie z małego okrągłego stołu na drugim końcu sali. Był domowej roboty żytni chleb, świeży i chrupki, oraz masło. Mała miska z drewna jałowca z brązowym miękkim serem serwatkowym, salaterka smażonych kurek, mieszana sałata z różnych liści i płatków

kwiatów. Połówki jajek i mała miseczka z czerwonym kawiozem. Dwa rodzaje marynowanych śledzi. Drobne młode ziemniaki posypane koperkiem. Obsłużyły się i zabrały do jedzenia.

Kiedy skończyły przystawki i siedziały, czekając na główne danie, weszli kobieta z mężczyzną i usiedli po drugiej stronie sali. Veronika usłyszała, że rozmawiają po angielsku: pomyślała, że mogą być Amerykanami.

- Mój ojciec... - zaczęła, obracając w dłoni kieliszek. - Kiedy byłam dzieckiem, myślałam, że on potrafi wszystko. Zabrać każdy ból, sprawić, żeby mój świat był bezpieczny i zrozumiały. Zawsze byliśmy tylko my dwoje, całkiem samotni na świecie. Ale nigdy nie pomyślałam, żeby mu się przyjrzeć. Zobaczyć w nim człowieka i mężczyznę.

Zawsze był tylko moim ojcem. A on pozwalał mi wierzyć, że głównym celem jego życia jest moje dobro.

- Prawdziwy ojciec - powiedziała Astrid. - Kochający ojciec. - Podniosła wzrok. Wino zaróżowiło jej policzki i nagle Veronika pomyślała, że znów potrafi dostrzec piękno w starej twarzy. - Rodzice mają taką cudowną moc. Potrafią cię chronić przed wszelkim bólem na świecie.

Albo zadać ból najcięższy do wyobrażenia. A jako dzieci godzimy się z tym, co dostajemy. Być może wierzymy, że wszystko jest lepsze niż to, czego każdy z nas boi się najbardziej. - Spojrzała za okno, gdzie upalne letnie powietrze trwało nieporuszone. - Samotność. Opuszczenie.

Ale jak tylko pogodzimy się z faktem, że zawsze byliśmy samotni, i zawsze będziemy, wtedy perspektywa może zacząć się zmieniać. Można stać się świadomym małych gestów dobroci, małych przyjemności.

Być za nie wdzięcznym. I z czasem zrozumiemy, że nie ma się czego bać. A na pewno jest za co być wdzięcznym. - Podniosła kieliszek i wypła ostatni łyk. - Mnie uświadomienie sobie tego zajęło całe życie. Nie pozwól, Veroniko, żeby zajęło tak długo tobie.

Danie główne zostało podane do stołu: klopsiki z mięsa łosia z żurawinami i musem ze smardzów. Było bardzo treściwe i jadły powoli, robiąc przerwy na rozmowę albo odpoczywając w milczeniu, tak jak to bywa w niezobowiązującym towarzystwie.

Później przeniosły się do ogrodu za głównym budynkiem, gdzie do jednego ze stołów przyniesiono tacę z kawą. Kelnerka nalegała, żeby spróbowały ciasta czekoladowego, specjalności domu, i mimo że obie się wzbraniały, przyniosła talerzyk z jedną porcją ciemnego puszystego ciasta i dwie łyżeczki. I gdy każda spróbowała po kęsie, jakoś znalazły miejsce na resztę. Było wczesne popołudnie i dzień dobiegł swojej pełni. Jaskółki nad ich głowami polowały na owady, powietrze było przesycone zapachem wielkiego jaśminu, który rósł tuż obok ich stołu.

- Nie jestem pewna, czy będziemy dzisiaj w stanie zjeść coś więcej - powiedziała Veronika. - Myślę, że przed kolacją będziemy musiały popływać. Wypróbować twój nowy kostium.

Astrid uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Zrobimy z tego późną kolacyjkę - powiedziała.

W tej samej sekundzie znów zadzwonił telefon i tym razem Veronika zdążyła go w porę wydobyć. Czuła na sobie wzrok Astrid, kiedy odebrała, ale potem stara kobieta zwróciła twarz do słońca i zamknęła oczy. Rozmowa była krótka, ale jeszcze długo po tym, jak Veronika schowała komórkę z powrotem do plecaka, uśmiech nie schodził z jej twarzy.

- To znowu mój ojciec - powiedziała. - Opowiem ci o naszym ostatnim spotkaniu.

Każe o itami

Iwa utsu nami no

Onore nomi

Kudakete mono o

Omou koro kana.

Jak wezbrana fala

Przez żywioł o skałę rozbita

Takiż jestem ja: samotny

I zmieciony na brzeg

Pamiętający, co było.

Veronika

Tydzień po pogrzebie zadzwoniłam do swojego ojca. Wciąż nie byłam w stanie znaleźć słów, ale on znał mój głos. Nie zadawał pytań. Powiedział: "Jestem tutaj". A potem milczeliśmy.

Odebrał mnie z lotniska. Stał, czekając, nieskazitelnym w swoim szarym służbowym garniturze, białej koszuli i gustownym krawacie.

Było wcześniej rano; musiał przyjechać prosto z domu.

Uścisnął mnie krótko i wziął mój wózek z bagażem. Nie zadawał żadnych pytań, nie rzucał badawczych spojrzeń. Milcząca, niespieszna skuteczność.”Przebrnijmy przez to tak szybko i gładko, jak to możliwe”, mówił wyraz jego twarzy i język ruchów. Przeszliśmy przez dziwnie spokojną halę przylotów, gdzie ludzie zdawali się poruszać bezdźwięcznie, nie zostawiając żadnych śmieci, żadnych zapachów.

Dotarliśmy w milczeniu na parking, włożyliśmy moją walizkę do bagażnika jego nowego japońskiego samochodu i odjechaliśmy.

Nie widziałam swojego ojca przez ponad rok. Patrzyłam na jego profil, kiedy wyprowadzał samochód przez bramki parkingu. Postarzał się, lekko przytył. Podbródek miał trochę; słabiej zarysowany, włosy trochę rzadsze na czubku głowy i trochę gęściej przyprószone siwizną wokół uszu. Już na autostradzie włączył odtwarzacz CD. Franka

Sinatrę. Mimo wszystko uśmiechnęłam się. Patrzyłam przez okno na mijany krajobraz. W zimowym porannym świetle wyglądał spokojnie. Pejzaż namalowany akwarelą. Uśpione pola i nagie drzewa. Brak ludzi, brak ruchu. Potem, kiedy zbliżaliśmy się do miasta, betonowe ściany zaczęły zasłaniać widok i wkrótce znaleźliśmy się pośród skomplikowanej sieci dróg, zawiłych poziomów szybkiego ruchu. Fly me to the moon, na płycie CD. Wieżowce były tak blisko samochodu, że miałam wrażenie, jakbyśmy jechali przez tunel wewnątrz nich, ludzie zajęci swoimi sprawami przemykali po obu stronach.

Ojciec mieszkał w przestronnym mieszkaniu na drugim piętrze trzypiętrowego domu. Zaparkowaliśmy w podziemnym garażu i wjechaliśmy windą na górę. W przedpokoju zauważyłam znajomy koreański kuferek, oprawioną zabytkową mapę Sztokholmu. Weszłam do salonu, w którym stały dwie zwrócone do siebie czerwone sofy i stolik szachowy między nimi - jak w tylu innych salonach. Znalazłam się w jakimś śnie, gdzie przedmioty były znajome i obce równocześnie.

Mały pokój gościnny został przygotowany, łóżko posłane i wyłożone ręczniki. Na małym biurku leżała ręcznie narysowana mapka okolicy z kopertą na wierzchu, bez wątpienia zawierającą pieniądze. Ojciec wybierał się do pracy.

Kiedy wyszedł, usiadłam na łóżku, wcisnęłam ręce między kolana.

Po co ja tam byłam? Przemierzyłam wolno labiryntowy przedpokój obstawiony książkami ojca, z zabezpieczeniami antywstrząsowymi między najwyższą półką a sufitem. Wszystko było schludne, ciche, nieruchome. W kuchni szumiała lodówka. Błaty były puste i czyste, kuchenka i zlewozmywak lśniły, jakby nigdy nieużywane. Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Na lewo, po drugiej stronie wąskiej uliczki, był mały park z dorodnymi drzewami wznoszącymi nagie czarne gałęzie ku białemu niebu. Tuż na wprost stał niski stary drewniany dom. Na jego blaszanym dachu siedziała przykucnięta stara kobieta, u jej boku wielki czarno-biały kot. Miała na sobie rdzawobrazową kurtkę, białą chustkę na głowie i

białe rękawiczki. Między jej kolanami leżał worek. Zrywała persymony” z gałęzi zwieszających się nad domem. Wolno i z gracją wyciągała dłoń obleczoną w rękawiczkę, obejmowała palcami jasnopomarańczową kulę, obracała delikatnie raz w jedną stronę, raz w drugą, dopóki ogonek nie puścił. Nie przerywając płynnego ruchu, wkładała owoc do worka i sięgała po następny.

Tymczasem kot siedział jak posąg, z wyciągniętym za sobą zdeformowanym ogonem.

Stałam dłuższy czas, obserwując, a kiedy odchodziłam od okna, kobieta nieprzerwanie wykonywała swoją pracę.

Weszłam do małej gościnnej łazienki i rozebrałam się. Na całej długości jednej ściany były lustra i stanęłam przed nimi naga. Patrzyłam na siebie, nie widząc większych zmian. Wciąż byłam opalona, tylko białe piersi i trójkąt na wzgórku łonowym kontrastowały z resztą ciała.

Przeciągnęłam dłonią po płaskim brzuchu i poczułam pustkę za nieskazitelną powłoką skóry. Odwróciłam się i spojrzałam w lustro przez ramię. Moje pośladki były białe i przez plecy tuż pod łopatkami przebiegała cienka biała linia. Urosły mi włosy i teraz opadały na ramiona.

Nie było jednak żadnej większej różnicy, żadnego widocznego śladu.

Odwróciłam się z powrotem do lustra, położyłam ręce na piersiach, potem objęłam swoje ramiona, zamykając oczy. Ale nie miałam łez.

Po kąpieli wyszłam na spacer. Mapka była szczegółowa, z dokładnymi objaśnieniami na marginesach i na odwrocie, napisanymi starannym charakterem mojego ojca. Zaznaczona była droga do stacji metra, pobliskich sklepów i restauracji, do parku Yoyogi i Świątyni Meiji. W przypisach z tyłu znalazłam wyjaśnienie systemu numeracji domów i kilka użytecznych zwrotów po japońsku. Kończyło się jego numerem telefonu i podpisem po szwedzku: "Pappa". Szłam w dół przed siebie, bez żadnego punktu docelowego w myśli. Pogoda była bezchmurna, ale światło wydawało się mgliste, jakby przefiltrowane przez gazę. Przeszłam przez park do świątyni. Ludzie, których tam widziałam, rodziny i pary, trochę turystów, ale głównie zwiedzający Japończycy, poruszali się bez pośpiechu, przystając przy zwirowej drodze, żeby zapozować do zdjęcia.

Wewnątrz sanktuarium procesja młodych mężczyzn ubranych na biało, w czarnych nakryciach głowy i czarnych sabotach, przemierzyła dziedziniec i zniknęła w jednym z budynków. Weszłam schodami do głównej świątyni, gdzie kilka osób modliło się i wrzucało monety do drewnianego pojemnika. Stałam w cieniu, oparta lekko o ścianę, obserwując. Tuż przede mną stała stara kobieta; ręce miała uniesione w modlitwie, a na zgięciu jej łokcia kołysała się torebka.

Trochę dalej młoda para, niemowlę w ramionach ojca. Przeszłam wzdłuż stoisk z akcesoriami religijnymi i zatrzymałam się przy drewnianych tabliczkach modlitewnych. Musiały być ich setki - wisały warstwowo na ogromnej czterobocznej konstrukcji. W większości nagryzmołone przesłania były modlitwami o pokój na

świecie, o zdrowie i szczęście, dobre wyniki egzaminu, o dzieci. Ale były też bardziej osobiste, niektóre naprawdę poruszające. Zdarzały się lżejsze, zabawne albo całkiem niepoważne, na przykład taka: Marzę) żeby w przyszłym roku zobaczyć wreszcie Naomi w stnngacb, Uśmiechnęłam się, ale nie przychodziło mi do głowy żadne życzenie.

Wieczorem ojciec zabrał mnie do małej restauracji w Shibuya. Postanowiliśmy się przejść, bo wieczór był rześki i bezchmurny. W ciemności miasto się przeobrażało. Podczas gdy w dzień widziałam pokraczne nowoczesne budynki oplątane kablami zwisającymi z betonowych słupów, teraz były tajemnicze, skromnie oświetlone uliczki z papierowymi lampionami, które kołysały się lekko przed na wpół otwartymi drzwiami knajpek. Powietrze pachniało jedzeniem; mijaliśmy śmiejące się młode pary. Na głównym skrzyżowaniu w Shibuya zatrzymaliśmy się, przepuszczając falę ludzi z naprzeciwka. Tłum ciał płynął nieprzerwanie, nikt na nikogo nie wpadał, nikt się o nas nawet nie otarł. Poszliśmy dalej, otoczeni ze wszystkich stron przez poruszających się ludzi.

Twarze, usta, które mówiły, śmiały się, wydychały papierosowy dym.

Ręce gestykulujące, poprawiające włosy, zamykające się nad płomieniem zapalki, trzymające inne ręce. Tak blisko, że powinniśmy czuć ciepło innych ciał, wychwytywać zapachy. Ale my byliśmy osobni. Oddzieleni od ludzkiej masy, a także jedno od drugiego. Zamknięci w połączonych kapsułach, dryfujący na fali tłumu, ale bez poczucia przynależności. Razem w obcym świecie, a jednak samotni.

Restauracja była skromną knajpką typu okonomiyaki, „smaż, co chcesz”, duszną i przesyconą intensywnymi zapachami. Każde z nas dostało miskę zawierającą warzywa i mięso kurczaka w cieście z jajek i mąki ryżowej. Ojciec mi pokazał, jak się smaży z tego okonomiyaki na gorącej płycie, która stała na stole między nami. Z imponującą wprawą wykladał zawartość miski na natłuszczoną płytę, spłaszczał powstałe kopczyki łydką, tworząc dwa idealnie okrągłe placki. Przyglądałam się, sącząc zimne piwo. Pracował w skupieniu. Przewracał placki szybkim ruchem łydki, potem posypywał je wiórkami rybnymi i wodorostami. Nagle sobie przypomniałam, jak uczył mnie łowić ryby. Jak podnosił wiosła, sadzał mnie między swoimi nogami i pozwalał mi trzymać wędkę, kiedy zarzucał przynętę, z ręką na mojej. Jego dłonie były delikatne i zawsze ciepłe. Patrzyłam na niego teraz i jak atak silnego fizycznego bólu przeszła mnie myśl, że mój ojciec nigdy nie pozna mężczyzny, którego kochałam. Nie pozna, i to zawsze będzie nas dzieliło.

Nagle spojrział na mnie, jakby go coś tknęło. Podniósł swoje piwo, poczekał, aż podniosę swoje, i stuknęliśmy się delikatnie szklankami.

Ból minął.

- Jedźmy - powiedział tylko tyle, ale jego szare oczy jeszcze przez moment badały moją twarz.

Zostałam w Tokio na prawie miesiąc. Wystarczająco długo dla nas, żeby się wdrożyć w codzienną rutynę. Co wieczór wychodziliśmy na kolację, zwykle do jednej z pobliskich knajpek. W niektóre dni

umawialiśmy się na lunch w mieście> często w Narodowym Muzeum Sztuki Współczesnej, gdzie nawet zimą, w słoneczny dzień, mogliśmy siedzieć na zewnątrz. Czasem jechałam metrem do miasta, zwykle tylko po to, żeby pochodzić po ulicach i popatrzeć na ludzi. Kilka razy byłam w dzielnicy Asakusa, zatrzymując się na lunch w tej samej restauracji, do której zabrał mnie ojciec w pierwszy weekend. Siadałam na podłodze w ciemnej sali, otoczona artefaktami kultury azjatyckiej, przeniesiona do świata, w którym nie miałam historii ani przyszłości.

Któregoś dnia po lunchu przeszłam się do Wieży Tokijskiej. Stałam u stóp imitacji dzieła Eiffla i przyglądałam się tłumom, ale nie weszłam do środka. Ruszyłam dalej i zajrzałam do wielkiej buddyjskiej świątyni. Z tyłu był tarasowo położony teren z setkami kamiennych posągów, wiele z nich ubranych w czerwone czapeczki i pelerynki, otoczonych kolorowymi wiatraczkami, misiami i lalkami. Europejka w średnim wieku ubrana w ciężką sportową kurtkę i turystyczne buty robiła zdjęcia długim obiektywem. Stałam nieruchomo, patrząc, i po chwili ona opuściła aparat i zwróciła się do mnie.

- Mizuko - powiedziała. - To znaczy dziecko wody. To są dzieci, które nie doczekały transcendencji z wody w życie ludzkie. - Zatoczyła w powietrzu szerokie półkole, wskazując rząd figurek w czerwonych czapczkach. - A to ich patron. - Skierowała palec na duży posąg mężczyzny trzymającego w jednej ręce laskę, na drugiej niemowlę.

- Jizo, buddyjskie bóstwo, które opiekuje się nienarodzonymi. - Spojrzała na mnie z nieśmiałym uśmiechem. - Przepraszam, jestem pewna, że pani to wszystko wie. Ale mnie to tak bardzo porusza. Te wszystkie dzieci. Ten smutek. I wie pani, że tak naprawdę nie ma dla nich pocieszenia, mimo opieki Jizo. Nigdy nie będzie. Dzieci wody bawią się na brzegu rzeki, która biegnie pomiędzy tym światem a drugą stroną. Budują wieżyczki z kamyków pod okiem demona, to ich pokuta. Na wieczność. I ta straszna podwójna wina. Wina dziecka, które przysporzyło rodzicom bólu przez to, że się nie narodziło. I rodziców, którzy skazali dziecko na wieczną otchłań, nie dając mu życia.

Podwójna wina. - Spuściła oczy, kopiąc czubkiem buta żwir. - Przepraszam - powiedziała i zaczęła chować aparat do futerału. Kiwnęła głową na pożegnanie i odeszła, z głośnym chrzęstem kroków na żwirowej ścieżce. Włożyłam ręce do kieszeni i przespacerowałam się wzdłuż rzędów Mizuko. Wiatraczki miękko świszczwały i gdzieś zakrakała pojedyncza wrona.

W ostatnią sobotę przed moim wyjazdem wsiedliśmy z ojcem w ranny pociąg do Nikko. Zarezerwowaliśmy nocleg w tradycyjnym japońskim zajezdzie. Wsiedliśmy z pociągu w samym miasteczku, zostawiliśmy torby na stacji w schowku na bagaże i powędrowaliśmy na wzgórze do głównej świątyni. Daliśmy się nieść tłumowi, bez wystarczających ambicji, żeby zwiedzić coś bliżej. Świeciło blade słońce, było dość ciepło i sucho i mogliśmy zdjąć kurtki. Szłam za ojcem po stromych kamiennych schodach, patrząc na jego plecy.

Wspinał się wolno, sapał, przystając co jakiś czas na krótki odpoczynek. Nagle zobaczyłam go takim, jakim mogli go widzieć inni ludzie: mężczyznę przed sześćdziesiątką, łysiejącego, z lekką nadwagą. Dobrze ubranego i zadbanego, uprzejmego i zamkniętego w sobie. Czy byłam taka jak on? Czy z wiekiem miałam go coraz bardziej przypominać? Jako dziecko chciałam wyglądać jak moja matka, moja piękna, efektowna matka. Ale mówiono mi, że jestem podobna do ojca. Teraz, nagle, to podobieństwo mnie cieszyło. Kojąca była świadomość, że mężczyzna przede mną jest moim ojcem.

Że jestem jego córką.

W zajeździe pojawiliśmy się późnym popołudniem. Na pierwszy rzut oka wydał się zupełnie nieatrakcyjny. Foldery były absolutnie poprawne, a jednocześnie absolutnie nieścisle. Zwiodło nas to, że stawialiśmy znak równości między tym, co "autentycznie japońskie", a "urocze", ale po początkowym rozczarowaniu zadaniem tego miejsca i atmosferą hotelu konferencyjnego stopniowo zaczęło nam się podobać. Nasz pokój był mały i bez ozdób, ale z widokiem na spokojny ogród z wielkimi drzewami. Zainstalowaliśmy się i odzialiśmy w dostarczone nam stroje yukata. Mieliśmy zarezerwowaną tradycyjną kąpiel przed kolacją. Znalazłam się w łaźni dla kobiet. Nie miałam pojęcia o szczegółach rytuału, ale na szczęście zostawiono mnie samą i radziłam sobie najlepiej, jak mogłam. Po umyciu się weszłam do gorącej wody i usiadłam na półce biegnącej wzdłuż całej długości basenu, z nogami przed sobą. Woda była bardzo gorąca, ciemna, o zapachu siarki. Z ciałem unoszonym przez gorącą

wodę, sama w przestronnym pomieszczeniu, znów czułam się, jakbym przestała istnieć w realnym świecie. Jak gdybym wkroczyła do dziwnej przestrzeni pomiędzy życiem a śmiercią.

Później posadzono nas do kolacji w osobnej małej jadalni. Klęczeliśmy przy stole tuż obok siebie, a od czasu do czasu przez rozcięcie w zasłonie wyłaniała się kelnerka z jednym daniem naraz. Rozmawialiśmy trochę o pracy mojego ojca i wtedy po raz pierwszy wspomniał o emeryturze. Brał pod uwagę przejście na wcześniejszą emeryturę, gdyby padła taka propozycja. W pewnym momencie, ni stąd, ni zowąd, spojrzał na mnie i spytał, czy rozmawiałam ostatnio ze swoją matką. Po chwili kłopotliwego milczenia powiedziałam, że nie. Zdziwiło mnie, że wyglądał na rozczarowanego.

Po kolacji wróciliśmy na górę do swojego pokoju. Zamówiliśmy przez telefon po jednym piwie i usiedliśmy na rozłożonych materacach, żeby je wypić. Powiedziałam mu, że wyjeżdżam w końcu przyszłego tygodnia. Potwierdziłam bilet na lot do Sztokholmu w piątek.

Wiedziałałam, że od dawna planował wyjechać na Boże Narodzenie na Bali, i pomyślałam, że może się martwić, co ze mną zrobić, jeśli zostanę na dłużej.

Skinął głową, ale nic nie powiedział.

Zgasiliśmy światła i położyliśmy się pod swoimi kołdrami. Leżałam na boku, patrząc w stronę okna. Było spokojnie i cicho. Kiedy przekręciłam się na drugi bok, miałam przed sobą plecy ojca, podciągniętą kołdrę tak, że widać było tylko czubek jego głowy.

Oddychał lekko, ale czasem słyszałam małą pauzę, zastój w przepływie powietrza. Przewróciłam się na plecy i nagle ogarnął mnie smutek. Łagodny, nieokreślony smutek, niepodobny do wcześniejszych napadów przejmującego fizycznego bólu. Znowu przekręciłam się na bok i zwinęłam w kłębek.

I po raz pierwszy od wyjazdu z Auckland rozplakałam się.

Rano po śniadaniu opuściliśmy hotel i przed powrotem do Tokio poszliśmy obejrzeć wodospady.

Ostatniego dnia rano spakowałam walizkę, wzięłam prysznic i ubrałam się. Miałam przywieziony z Nowej Zelandii mały rzeźbiony nefryt dla mojego ojca i weszłam do jego sypialni, żeby zostawić go na nocnym stoliku. Kiedy położyłam kamień, zauważyłam pod stertą magazynów ekonomicznych swoją książkę. Podniosłam ją, wając w ręce. Była wytarta i postrzępiona, jakby ją na okrągło czytał, kartkował i nosił ze sobą. Zajrzałam na stronę z dedykacją. Mojemu ojcu, mojemu towarzyszowi podróży. Odłożyłam książkę, kładąc na wierzchu sakiewkę z nefrytem.

Ojciec koniecznie chciał mnie odwieźć na lotnisko, ale odmówiłam.

Kompromisowo ustaliliśmy, że wróci z biura i zawiezie mnie na dworzec autobusowy. Stałam gotowa, wyglądając przez okno, patrząc, jak podjeżdża pod sam dom, i właśnie zamykałam drzwi, kiedy wyszedł z windy, żeby wziąć moją walizkę. Postanowiliśmy zarezerwować czas na wspólny lunch po odprawieniu mojego bagażu na dworcu autobusowym. Wybraliśmy mały stolik przy szklanej

ścianie, z atrium po drugiej stronie. Światło wlewające się przez wysoką szklaną kopułę iluminowało aranżację z gładkich granitowych kamieni i wysokiej trawy.

Czekając na jedzenie, sączyliśmy szampana i sok pomarańczowy.

- Chciałbym... - zaczął ojciec, ale niedokończone zdanie zawisło w powietrzu, a on patrzył przez szkło na kamienie. w końcu odchrząknął i zaczął od nowa: - Daj mi znać, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała. - Akurat w tym momencie podeszła kelnerka z zamówionymi daniami i zaczęliśmy jeść.

Przekonałam go, żeby wyszedł, zanim przyjedzie autobus. Pożegnaliśmy się w hotelowym lobby. Objął mnie, potem ześliznął dłoń z mojego ramienia i ujął moją rękę. Ścisnął ją lekko i raptownie wypuścił.

Odwrócił się tylko raz, żeby pomachać, zanim zniknął za rogiem.

Odleciałam do Sztokholmu, wciąż nie wiedząc, dokąd zmierzam.

... nu will jag sjunga dig milda sanger.

... teraz zaśpiewam ci pieśni spokoju.

Wracały do domu w popołudniowym upale i uznały, że dobrze byłoby popływać. Przebrawszy się szybko, wróciły do samochodu i pojechały nad jezioro.

Tym razem były dwa zaparkowane samochody przy końcu drogi.

Nad brzegiem zastały grupę hałaśliwych nastolatków pluskających się w wodzie i ścigających nawzajem po piasku. Mimo to, kiedy usiadły, miejsca wydawało się dosyć, by mieć poczucie niemal kompletnej prywatności.

Astrid uśmiechnęła się zaciśniętymi wargami i zdjęła bluzkę oraz spódnicę. Stała nieporadnie, bez żadnych oznak wcześniejszej pewności siebie. Kiczowaty kostium miał się nijak do wyrazu onieśmienia, nawet strachu, na twarzy starej kobiety. Veronika ściągnęła szorty i podała jej rękę.

- Chodź, wejdziemy do wody - powiedziała i pociągnęła Astrid za sobą. Zanurzały się w gładkim, ciemnym jeziorze, stąpając nieco chwiejnie przez odcinek kamienistego dna, zanim dotarły do miękkiego piasku. - Wszystko polega na oddychaniu. W wielu sprawach chodzi o proste rzeczy, prawda? Mówią, że w malarstwie i fotografii trzeba przede wszystkim widzieć. W pisaniu chodzi o zdolność obserwacji. Technika jest drugorzędna. Czasami proste jest najtrudniejsze. - Nabrała w dłonie wody i ochlapała sobie twarz. - A w pływaniu chodzi o oddychanie. Pamiętaj, żeby oddychać. - Ugięła kolana, tak że tylko jej głowa i szczyty ramion były widoczne, i zachęciła

Astrid, aby zrobiła to samo. - Przyjemnie, prawda?

Astrid kiwnęła głową, wciąż z zaciśniętymi ustami.

- Odwróć się plecami do mnie - powiedziała Veronika, co Astrid posłusznie zrobiła. - A teraz oprzyj się na moim ramieniu. Będę cię trzymała pod łopatkami, a ty wyprostujesz nogi. - Stara kobieta wolno

pochyliła się w tył, aż oparła się plecami na ramieniu Veroniki.

- Rozłóż swobodnie ręce, patrz w niebo. Pozwól, żeby niosła cię woda. I oddychaj.

I powoli na powierzchnię wody wynurzyły się czubki palców Astrid, jak wyrastające spod ziemi blade kapelusze grzybów.

- Ach - powiedziała, nic więcej.

Gdy wydawała się odprężona i uspokoiła oddech, Veronika stopniowo zwalniała uścisk na ramieniu Astrid, aż jej ciało było podtrzymywane jedynie przez lekki dotyk z tyłu głowy, a w końcu tylko opuszki palców Veroniki.

Kiedy z powrotem stanęła na nogach, pochyliła się do przodu i przyłożyła swoje zimne, pomarszczone na czubkach palce do policzka Veroniki.

- Dziękuję - powiedziała i ruszyła niepewnie w stronę brzegu.

Veronika zanurzyła się głębiej i zanurkowała w złocistej wodzie.

Kiedy wróciła piaszczystym brzegiem, zastała Astrid siedzącą w swej zwykłej pozycji, z nogami wyciągniętymi przed sobą. W spłowiałym kapeluszu i okularach czytała jakąś małą książkę.

- Od tak dawna tego nie czytałam - powiedziała, unosząc książkę.

- Karin Boye. Usiądź i pozwól, że ci przeczytam ten jeden wiersz.

- Poklepała koc i Veronika usiadła, obejmując łydki i patrząc na jezioro spod przymrużonych powiek. - Tytuł brzmi Min stackars unge, Me biedne dziecię. - Zaczęła czytać lekko drżącym głosem:

Min stackars unge, min morkradda morkradda, som mótt andarna av annat slag, som alitid melian de vitkladda skymtar andra med onda drag, nu vill jag sjunga dig milda sanger, fran skramsel loser de och tvsng och kramp.

De ber inte om de ondas anger.

De ber inte om de godas kamp.

Se du skali veta, att alit levande djupt inne ar av samma slag.

Som trad och orter kan det vaxa trevande dra s uppåt av sin egen lag.

Och trad kan fallas och blommor bracka s och grenar tvina med forstord kraft, men drbmmen gómmer sig - och vill vackas i var levande droppe saft.

Me biedne dziecię, złęknione mrokiem, co i inne duchy teź dobrze zna, widzi te złę, gdy zawsze bokiem wśród białych przemykają zjaw, teraz zaśpiewam ci pieśni spokoju, od lęku uwolnią cię i od łez twych.

Nie zagrzewają dobrych do boju.

Ani nie proszą o skruchę złych.

Patrz, musisz wiedzieć, wszystko żyjące łączy się w jeden wspólny ród, co rośnie jak drzewa i zioła błędzące w górę pcha je natury cud.

Gałęż usycha, gdy brak jej siły, drzewo upaść może, zwiędnąć kwiat, lecz w każdej kropli życia się skryły marzenia, co ujrzyć chcą świat.

Zdjęła okulary i zamknęła książkę.

- Zawsze kochałam ten wiersz. - Opuściła tomik na kolana. - To takie piękne wersy.

Veronika wyciągnęła rękę po książkę.

- Nigdy wcześniej go nie słyszałam - powiedziała ze wzrokiem utkwionym na otwartej stronie. Przez chwilę czytała w milczeniu.

- Masz rację. To bardzo piękne. - Trzymała tomik w obu rękach i patrzyła na jezioro.

Wracały z otwartymi oknami i wiatrem owiewającym im twarze.

Kiedy Veronika zatrzymała się przed furtką Astrid, stara kobieta odwróciła do niej głowę.

- Myślę, że uznam to również za swoje urodziny. Zapraszam wieczorem na nasze wspólne urodzinowe przyjęcie. - I zanim wysiadła z samochodu, położyła na moment rękę na rękę Veroniki.

Veronika wzięła prysznic. Ociekająca wodą i naga wytarła parę z lustra nad umywalką. Miała wrażenie, jakby po raz pierwszy od bardzo dawna widziała własne odbicie. Oglądała z uwagą swoją twarz, duże zielone oczy w oprawie krótkich czarnych rzęs i wyrazistych czarnych brwi, długi nos i szerokie usta. Zastanawiała się, czy nie straciła na wadze. Jej twarz wydawała się chudsza, policzki trochę zapadłe.

A może to były oznaki starzenia się. Uniosła włosy i obejrzała swój podbródek. Dotknęła piersi, zważyła je w rękach, zastanawiając się, czy one też się postarzały. Przeciągnęła dłońmi po ramionach, brzuchu i udach, czując miękkość skóry.

Ubrała się w dzinsy i białą koszulę i z kieliszkiem białego wina

w ręce poszła usiąść na schodach ganku. W powietrzu wciąż wisiał upał. Spojrzała na niebo, które zdawało się sklepiać nieskończenie wysoko, i wiedziała, że to jest moment przełomu. Nic się przez ułamek czasu nie zmieniło, a jednak wszystko zmieniło się nieodwołalnie. Lato kończyło swój postój: zbierało się do odwrotu.

Zbliżając się do domu Astrid, usłyszała muzykę przez otwarte okno kuchni. Mocne dźwięki sonaty Brahmsa jeszcze nasiliły w niej poczucie straty: świadomość, że czas jest ograniczony, że nadchodzi pewien koniec. Zatrzymała się, spoglądając w okno, gdzie Astrid przy zapalonym świetle krzątała się w kuchni, i nagle opadło ją wspomnienie z dzieciństwa. Jak stała przed domem, patrząc przez okno na całujących się rodziców. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to była jedyna zapamiętana przez nią oznaka uczucia między jej rodzicami. Musiała być małym dzieckiem - miała może z pięć lat - ale wystarczająco dużym, by móc być po ciemku na zewnątrz. Całkiem sama, na zewnątrz.

Kiedy weszła do środka, Astrid krzątała się przy kuchni. Na stole był półmisek z cieniutko pokrojonym marynowanym łososiem i miseczka z sosem musztardowym. Po jednej stronie z boku stał koszyk z ciemnym żytnim chlebem, a obok schłodzonej butelki wykwintnego francuskiego szampana dwa wysokie kieliszki. Stół znów był nakryty delikatną porcelaną, kieliszki do wina kryształowe ze złotym wzorkiem. Astrid poruszała się sprawnie między stołem a kuchnią, w czerwonej spódnicy falującej wokół jej nóg. Zmieniła białą bluzkę na przeświecające wdzianko z kremowego jedwabiu, z luźnymi

długimi rękawami, które podwinęła za łokieć. Zauważyła spojrzenie Veroniki i wzruszyła ramionami, jakby skrępowana.

- Wiem, że to dziwny strój. Raczej nieprzewidziany na towarzyskie okazje. Kiedyś nosiła to moja matka. Rodzaj peniuaru, tak mi się zdaje. Ale to bardzo piękna rzecz, więc pomyślałam, że będzie stosowna na taką uroczystość. - Z cieniem uśmiechu na twarzy odwróciła się do kuchni.

Veronika naląła szampana i stuknąwszy się lekko kieliszkami, wypili pierwszy toast. Potem, gdy Astrid pilnowała gotowania, pogryzały kromki chleba z łososiem i musztardą. Ukośne promienie zachodzącego słońca zlewały się ze światłem lampy nad stołem, w podmuchach ciepłego wiatru zza okna migotały świece.

- No już, możemy usiąść - powiedziała Astrid, niosąc do stołu półmisek i salaterkę. - To był dla mnie bogaty dzień. Pełen nowych doświadczeń. Ta potrawa nie jest dla mnie nowa, ale nigdy tego sama nie gotowałam. I od bardzo, bardzo dawna nie jadłam. Przyrządzała ją moja mama, i było to moje ulubione danie. Miała na nie jakąś nazwę, ale ojciec nazywał je po prostu rybnymi kulkami.

Rozłożyła na kolanach serwetkę i podsunęła półmisek Veronice.

- Poprosiłam w sklepie, żeby zamówili dla mnie świeżego szczupaka. - Nie zajmując się własnym talerzem, spoglądała wyczekująco na Veronikę, która nałożyła sobie młodych ziemniaków i groszku zielonego, a potem rybnych kulek. Siedziała nieruchomo, czekając, aż

Veronika zacznie jeść.

- Pyszne - powiedziała Veronika, zdając sobie sprawę, że w jej głosie zabrzmiało zdziwienie. - Absolutnie pyszne.

Astrid uśmiechnęła się i w końcu nałożyła też porcję sobie. Podała nowozelandzkie wino. Zamówiła je w miejscowym sklepie i przydźwigała do domu. Żywy obraz starej kobiety robiącej kilka wypraw do sklepu sprawił, że Veronikę coś ścisnęło za gardło, ale kiedy spojrzała na Astrid, zobaczyła twarz, na której malowały się spokój i radość, może nawet podekscytowanie. Veronika odprężyła się, wzięła łyżeczek chłodnego wina, smakując bukiet aromatów wypełniający jej usta.

Po jedzeniu sprzątnęły ze stołu, potem Astrid poszła do spiżarni i wróciła z kryształową miską wypełnioną do połowy leśnymi poziomkami.

- Miałam upiec ciasto, ale zabrakło mi czasu. Przez to całe pływanie - powiedziała z uśmiechem. - Ale ja wolę je w tej postaci, z odrobiną śmietany na wierzchu.

Usiadła i przesunęła po stole cieką paczkę.

- Twój prezent - powiedziała. - Wszystkiego najlepszego, Veroniko.

Veronika odwinęła papier, odsłaniając mały zeszyt w skórzanej oprawie. Skóra była ciemnobrązowa, popękana i wytarta.

- To jest pamiętnik mojej matki. Znajdziesz tu przepis na rybne kulki. Ale też wiele innych rzeczy. - Wstała, obeszła stół i usiadła na krześle obok Veroniki. - Zaczyna się jak dziennik. W kwietniu, w roku, w którym przyszłam na świat. Spójrz. - Astrid otworzyła z

nabożeństwem zeszyt na pierwszej stronie. Dla Sary na urodziny od Tate.

To był prezent od mojego dziadka. I zobaczysz, że na początku to się czyta jak pamiętnik. Nie pisała codziennie, tylko od czasu do czasu.

Ale tu, na początku, są datowane zapiski z jej życia. Bardzo osobiste i bezpośrednie. Jak będziesz czytała dalej, zobaczysz różnicę. - Astrid powoli przewracała strony, na każdej zatrzymując wzrok. - Czytałam to tyle razy, każda strona tkwi wyraźnie w mojej pamięci. Każde słowo, odcień atramentu. Mnie to już niepotrzebne. Ale chcę zobaczyć ten pamiętnik w rękach kogoś, kto będzie go chronił. - Zamknęła zeszyt i przesunęła go w stronę Veroniki, nie zdejmując ręki z okładki.

- Nie przychodzi mi do głowy lepszy właściciel.

Veronika była bliska łez. Wzięła pamiętnik i trzymała go w obu rękach.

- Och, Astrid. - Pochyliła się i złożyła pocałunek na czole starej kobiety. - Obiecuję, że będę go chronić. Dziękuję.

Astrid wróciła na swoje miejsce naprzeciwko Veroniki.

- Nie czytaj go teraz. Poczekaj, aż będziesz gotowa. Nie ma pośpiechu. Przyjdzie na to czas.

Veronika pokiwała wolno głową.

- Kiedy obudziłam się dziś rano; myślałam o swoich urodzinach sprzed roku - wyznała. - I myślałam, że już nigdy więcej nie będę w stanie cieszyć się urodzinami. - Spojrzała na Astrid i sięgnęła przez

stół po jej dłoń. - Ale ty mi dałaś najlepsze urodziny w moim życiu.

- Pamiętaj, że to są też moje urodziny - powiedziała Astrid z uśmiechem.

... och den som mot stjrnorna ser blir aldrig riktigt ensam mer.

... a ten, co ku gwiazdom oczy podniesie już nigdy nie będzie całkiem sam na świecie.

Lato miało się ku schyłkowi. Mimo utrzymującej się słonecznej i ciepłej pogody z każdym rankiem powietrze było coraz bardziej rześkie, światło odrobinę ostrzejsze, wieczory o ton ciemniejsze. W sadzie

Astrid dojrzewały jabłka, a któregoś dnia Veronika pomogła jej zerwać resztę wiśni ze starego drzewa, którego nie zdążyły ogołocić ptaki.

Za mało tego było na dzem, ale po południu obydwie pojadały słodkie owoce, siedząc w cieniu na ganku.

Pewnego wieczoru po kolacji Veronika siedziała przy swoim kuchennym stole. Jej książka nabierała kształtu, a ona śledziła ów postęp z rosnącym podnieceniem. To nie była książka Jamesa, teraz wiedziała. T a inna książka weszła w paradę i Veronika zaczęła myśleć, że właściwie jest tak, jak być powinno. Wiedziała, że napisze książkę Jamesa. Tylko jeszcze nie teraz.

Wstała i rozciągając ręce nad głową, wyszła na ganek. Zobaczyła jasnożółty księżyc w pełni uśmiechający się na czarnym niebie tuż ponad wierzchołkami drzew. Był sobotni wieczór w środku sierpnia i zaprosiła Astrid na tradycyjną ucztę z raków”. Z czasem

przyjęły wygodny zwyczaj codziennych spacerów i wspólnych kolacji, raz, dwa razy w tygodniu, na zmianę w jednym lub drugim domu. Życie nabrało łagodnego, przewidywalnego rytmu. Tkwiąc w terażniejszości, Veronika osiągnęła spokój ducha.

Miała usiąść na schodach, kiedy zadzwonił telefon komórkowy, stłumionym dźwiękiem dobiegającym z piętra, ale burzącym spokój niespodziewaną natarczywością. Wbiegła na górę po drewnianych schodach i zdążyła odebrać na ostatni dzwonek. To był jej ojciec.

Księżyc wisiał trochę wyżej na niebie, kiedy przyszła Astrid, z wiązką małych lampionów umocowanych wzdłuż przewodu elektrycznego.

- Znalazłam to w schowku na rupiecie - powiedziała z uśmiechem.

- Nie mam pojęcia, czy to działa. Może być nawet niebezpieczne.

Ale Veronika wzięła od niej lampiony i zaczęła rozplątywać przewód. Miała nakryty stół dla dwóch osób, zgodnie ze zwyczajem z czerwonymi serwetkami oraz zabawnymi papierowymi czapeczkami i śliniakami. Był kopiasty półmisek małych słodkowodnych raków udekorowany gałązkami kopru, do tego chleb, masło i dwa gatunki sera. I zmrożona butelka akvavitu. Na kuchennym blacie stał laptop grający tradycyjne piosenki biesiadne.

Astrid widząc, jak Veronika męczy się z przewodem, sięgnęła po jeden koniec. Razem udało im się rozplątać węzły i Veronika stanęła na jednym z krzeseł, żeby zahaczyć koniec przewodu o uchwyt

mocujący roletę okienną. Potem przesunęła się na drugą stronę okna i zaczepiła drugi koniec. Lampiony zawisły w oknie jak sznur koralu i kiedy włożyła wtyczkę do gniazdka, zapaliły się wszystkie oprócz jednego. Astrid zgasiła lampę i z samymi lampionami oraz światłem świec na stole pokój nabrał innego nastroju. Kąty zniknęły w ciemności, a stół wyglądał odświeżenie, może nawet z lekka tajemniczo. Veronika zmieniła muzykę na płytę CD z muzyką ludową.

- Mój ojciec dzisiaj dzwonił - odezwała się Veronika, kiedy kończyły ostatnie raki.

Astrid podniosła wzrok, nie przestając ssać skorupki.

- Zadzwoił, żeby mi powiedzieć, że wraca na stałe do Szwecji.

Przyjął propozycję; wcześniejszej emerytury. Zapytał, czybym go nie odwiedziła, jak tylko się urządzi. I może wybrała się z nim na wakacje.

W jeszcze jedną wspólną podróż. - Veronika bezwiednym ruchem palca przesuwiała skorupki na swoim talerzu. - Powiedział, że się za mną stęsknił. - Patrzyła na swoje ręce, ale myślami była gdzie indziej. - Zdałam sobie sprawę, że ja też się za nim stęskniłam, I wciąż myślę o tym, że może pewnego dnia powinnam wrócić do Nowej Zelandii. Że może potrzebuje; jakiegoś zamknięcia. - Spojrzała na Astrid.

- Wciąż chodzi mi po głowie myśl, że wyjechałam bez zakończenia tamtego etapu życia. Że muszę; wrócić.

Astrid wytarła palce w serwetkę.

- Myślę, że jeśli wsłuchujemy się w siebie, dobrze wiemy, co

powinniśmy zrobić - powiedziała wolno. - I w końcu doszłam do wniosku, że choćby nie wiem jak to bolało, choćby nie wiem jak było trudne, musimy słuchać siebie. Musimy przeżywać swoje życie. - Patrzyła na Veronikę z lekko przechyloną głową, jakby próbowała znaleźć właściwe słowa. - Jesteś tu pół roku. Może to już czas. Kiedy będziesz całkiem gotowa. Nie ma pośpiechu. Ale nadejdzie dzień, kiedy twoja decyzja będzie jasna.

Nalała sobie mały kieliszek akvavitu i podała butelkę Veronice.

- Napijmy się - zaproponowała, unosząc kieliszek. - Za ciebie, Veroniko. Za twoje życie. - Odstawiła kieliszek, wciąż patrząc na Veronikę z przekrzywioną głową. - Jest jeszcze coś do zrobienia. To pora na żurawiny. Pora grzybobrania. Pójdiesz jutro ze mną do lasu?

Veronika skinęła głową i rzecz była postanowiona.

Jednak następnego dnia Veronikę obudził deszcz. Wyjrzała przez okno, ale widok zasłaniała rzęsiста ulewa i prawie nie widziała domu

Astrid. Padało cały dzień, a ku wieczorowi zaczęło się zmieniać, jakby deszcz tracił na sile po to, by trwać dłużej. W płaszczach przeciwdeszczowych i kaloszach dwie kobiety wyszły na swój codzienny spacer, ale długą wyprawę do lasu musiały odłożyć o trzy dni.

Aż w końcu, nareszcie, czyste niebo. Wstrzymały się jeszcze jeden dzień, żeby obeschła trochę ziemia. Było wcześniej i jeszcze zimno po nocy, kiedy Veronika zastukała do drzwi Astrid. Czekwała na ganku i napełniała płuca czystym powietrzem. Teraz, po deszczu,

zapach jesieni był wyraźny. Mokre liście, kora. Piasek i glina. Przypomniała sobie słowa Astrid:

- Nie chodzi o to, że któraś z nas będzie potrzebowała dzemu na zimę - powiedziała stara kobieta z dziwnym uśmiechem, patrząc

Veronice w oczy. - Myślę po prostu, że to jedna z najprzyjemniejszych rzeczy, jakie można tu robić. I myślę, że powinnaś wiedzieć... - Zawiesiła głos, jakby chcąc, by jej słowa nabrały mocy. - Jeśli będzie dobra pogoda, możemy wziąć ze sobą lunch. I odwiedzimy wszystkie moje sekretne miejsca, gdzie jest mnóstwo żurawin. Może nawet znajdziemy trochę grzybów, choć jest trochę za wcześnie.

Kiedy Veronika wzięła następny haust lodowatego powietrza, wiedziała, że dzień będzie wspaniały. Astrid otworzyła drzwi, z koszykiem w ręce i w swoich obciętych kaloszach. Veronika miała plecaczek z lunchem dla nich obu. Wyruszyły przez pola do lasu, gdzie w półmroku pod gęstymi jodłami panował chłód i nieruchomy spokój. Po pochyłym, wznoszącym się terenie Astrid szła powoli. Veronika miała przed oczami plecy starej kobiety. Jej kroki, choć wolne, wydawały się całkowicie pewne, jak gdyby była we własnym żywiole. Znajdowała równowagę w sposób naturalny, poruszała się sprawnie i z gracją.

W wyższych partiach las stopniowo rzedł, w końcu ustępując wysokim sosnom, żyjącym w symbiozie wyłącznie, jak się zdawało, z białym mchem, który porastał ich korzenie. Nagie pnie pięły się wprost ku niebu, powietrze wypełniał zapach i żywicy, i sosnowych

igieł. Mech był usiany małymi czerwonymi kulkami. Żurawiny rosły w kępach, można więc było przysiąść na ziemi i całkiem długo zbierać owoce w jednym miejscu. Veronika, skupiona na swoim zadaniu, nagle poczuła, że słońce grzeje ją w plecy. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że Astrid leży na mchu, wpatrzona w niebo.

- Dziękuję, Veroniko - powiedziała.

Veronika uśmiechnęła się.

- Za co?

- Och, za to wszystko. Za wszystko.

Z ciężkimi koszykami ruszyły dalej i znów weszły w las. Przy wielkim granitowym bloku Astrid przystanąła. Wyciągnęła rękę i poklepała porośnięty mchem kamień.

- To jest to. Mój kamień modlitewny. To tu się zatrzymywałam, kiedy miałam jeszcze wiarę, że modlitwy coś znaczą.

Stała przez moment bez ruchu, z ręką na kamieniu. Potem idąc dalej, torowała drogę przez leśny gąszcz. Veronika nie widziała ścieżki, i choć Astrid ułatwiała jej przejście, przytrzymując gałęzie, wkrótce obie miały podrapane ręce.

Nagle las się skończył. Znienacka. Rozsunęły gałęzie i wyszły na pełne słońce. I było tak, jak to opisała Astrid. Polana okolona litą ścianą drzew. Miękka trawa, jedwabista i rozświetlona słońcem, w kolorze wysuszonego lnu, usłana krzaczkami poziomek o żółknących liściach. Wokół dziwna cichość, ani podmuchu wiatru, kojące ciepło i absolutny spokój. Wysoko w górze przejrzysty błękit bez plamki.

Usiadły na trawie. Veronika wzięła do ust jagodę żurawiny i

smakowała kwaskowatą świeżość. Obie milczały.

Później rozpakowały lunch, kanapki i kawę, i jadły bez pośpiechu.

W zaciszu osłoniętym drzewami słońce dogrzewało, zdjęły więc kurtki i położyły się na nich, bok przy boku. Gdy Veronika patrzyła w przejmująco czyste niebo, reszta świata zdawała się odległa, nierzeczywista. Po chwili zamknęła oczy.

Nagle poczuła na ramieniu dłoń Astrid.

- Spójrz - szepnęła stara kobieta.

Słońce zeszło trochę niżej i cienie drzew wpełzły w głąb polany.

Veronika podążyła oczami za wzrokiem Astrid. Duży szary ptak przeciął bezszelestnie niebieski krąg. Sowa. Astrid przyłożyła palec do ust i wyszeptała miękkie "ciiii". Ptak przeleciał kilka razy w tę i z powrotem nad ich głowami, zanim zniknął w mroku drzew. Usiadły i Astrid odwróciła się do Veroniki z uśmiechem.

- Pora iść - powiedziała.

Wracały inną drogą, gdzie ziemię okrywał gęsty wilgotny mech, dając złudne wrażenie miękkości. Pod spodem były głębokie szczeliny, mnóstwo kamieni i cały czas musiały patrzeć pod nogi. Astrid nie odrywała oczu od poszycia, a gdy się nagle zatrzymała i pochyliła, to okazało się, że ma przed sobą niemal zagon jasnopomarańczowych grzybów.

- O, zobacz. Rydze, mleczaje rydze. - Wyjęła z kieszeni nożyk i zaczęła ścinać grzyby. - Nikt inny ich nie zbiera - powiedziała, nie podnosząc wzroku. Gdy w końcu wstała, miała w koszyku kopczyk

rydzów przykrywający ciemnoczerwone żurawiny. - Spójrz. - Podniosła jeden grzyb. - Kiedy się je przekroi, puszczają sok. - Odłamała kawałek kapelusza i wzdłuż krawędzi zebrały się ciemnoczerwone kropelki. - Wygląda jak krew. Może dlatego ludzie ich nie lubią. - Wrzuciła grzyb z powrotem do koszyka i wytarła palce o spodnie. - Dla wiedzy jak znalazł - powiedziała z lekkim grymasem uśmiechu.

Astrid znalazła jeszcze więcej rydzów, wypełniając koszyk po brzeg.

Kiedy wyszły z lasu i wolno, z boczem w dół, zmierzały przez łąki do domu, słońce wisiało poniżej linii wierzchołków drzew, malując niebo nad wioską bladym różem rozmytym przez mgłę nad rzeki.

- Oczyszczyć rydze i możemy mieć na kolację grzybowy omlet - zaproponowała Astrid. - Jeśli chcesz - dodała z szybkim spojrzeniem na Veronikę. - A przed kolacją możemy przebrać żurawiny i zrobić dżem. Wynieśmy na zewnątrz małą kuchenkę. - Postawiła koszyk na schodach ganku. - Otworzę okno i znajdę przedłużacz.

- To ja wpadnę do siebie i przyniosę wino - powiedziała Veronika.

O zachodzie słońca czyściły żurawiny, przesypując je przez palce, suche i błyszczące. Obie zbierały czysto i do usunięcia były tylko pojedyncze igły sosen i listki. Kiedy uporały się z jednym i drugim koszykiem, wielki garnek Astrid był do połowy wypełniony owocami.

Dodały cukier i postawiły garnek na płycie. Gdy usiadły wygodnie z kieliszkami wina, w powietrzu unosił się słodki zapach perkoczącego dżemu. Potem Astrid zaczęła obierać grzyby. Czyste jeden po drugim ładowały w misce, a obrzynki spadały na ścierkę, którą przykryła sobie kolana. Wyglądała na odprężoną, pracując szybko i z wprawą, wrzucając rydze do miski zamaszystym ruchem nadgarstka.

- Miałaś rację - powiedziała Veronika. - To był wspaniały dzień.

Astrid podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Tak myślałam, że będziesz zadowolona. - Spojrzała na niebo, teraz prawie granatowe z domieszką fioletu. - Co w tym takiego jest?

Może to naturalny ludzki instynkt, ta potrzeba robienia zapasów przed zimą. Zbieranie leśnych owoców i grzybów. Robienie przetworów. Mnie to zawsze sprawiało dużą przyjemność. - Kiedy skończyła obieranie grzybów, podniosła z kolan ścierkę i wstała, żeby ją wytrząsnąć. - To moja ulubiona pora roku, jesień. Niektórzy widzą w niej koniec roku. Śmierć. A mnie się zawsze wydawała początkiem. Prostym i czystym, kiedy nic człowieka nie rozprasza. Czasem na uporządkowanie domu i przygotowanie się do zimy. - Usiadła z powrotem, opierając się o ścianę i obracając kieliszek w zaplamionych dłoniach.

- I tak jest. Mój dom jest uporządkowany.

Zostały na ganku, a gdy się ochłodziło i zaczęła wstawać mgła, Astrid weszła do środka i wróciła z dwoma wełnianymi kocami. Owinęły się i wygodnie rozparte siedziały w stopniowo gęstniejącym

mroku. Veronika spojrzała w niebo i kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, oglądała intensywnie czarną otchłań wypełnioną gwiazdami.

By ta ett ord eller tva gjorde det latt att ga.

Alta mdniskors mote

Borde vara sa.

Rzucić słowo lub dwa i jak łatwo odejść: Pa!

Niechby wszystkie nasze spotkania

Kończyły się właśnie tak.

Dzień Wszystkich Świętych, pierwsza sobota listopada. Veronika rozpałała pod kuchnią. Nadszedł prawdziwy chłód, ale przez kilka ostatnich tygodni było pogodnie. Krajobraz wyglądał, jakby go ułagodziła czyjaś życzliwa ręka, z lekkim śniegiem na ziemi i przejrzystą zasłoną nieba. Było słońce, ale wisiało nisko nad horyzontem, blade i przesiane przez mgłę, która utrzymywała się przez cały dzień.

Pakowanie było prawie skończone. Mimo że przyjechała z małym bagażem i niewiele miała do dodania, całe to szykowanie się do wyjazdu odczuwała jak wielkie przedsięwzięcie obarczone intensywnymi i rozbieżnymi emocjami, których ani do końca nie rozumiała, ani nie była w stanie kontrolować.

Jechała do Sztokholmu następnego dnia z rana, żeby spotkać się ze swoim ojcem. Nie miała żadnych dalszych planów, ale rozmawiała z nim krótko o Nowej Zelandii.

- To jedno z niewielu miejsc, których nie widziałem -

powiedział.

- Nigdy nie byłem w Nowej Zelandii.

Nie drążył dalej, a ona nie odpowiedziała. Czuła, że potrzebuje więcej czasu, żeby zdecydować, czy chce towarzystwa na tę podróż.

I wydawało się, że zrozumiał.

Pakowanie było czymś, co normalnie budziło w niej przerażenie i co zawsze odkładała na ostatnią chwilę. Tym razem zniosła to inaczej - wciąż jako duże przeżycie, ciężkie zadanie, ale jakoś wypełnione poczuciem celu, nawet miłym dreszczem oczekiwania. Choć jej plany wciąż były nieustalone, działała świadomie i z rozmysłem. Czuła się gotowa i odpowiedzialna.

A jednak gdy usiadła przy stole ze swoją kawą, patrząc przez okno na dom Astrid, ogarnęły ją całkiem inne uczucia. Nagle świadomość konsekwencji bliskiego wyjazdu wynurzyła się na powierzchnię. Dotąd ciążyła jej w postaci fizycznego bólu, który bez przerwy nosiła z sobą, ale głęboko, gdzieś z tyłu głowy. Powoli szykując się do podróży, budziła się z podświadomym uporczywym smutkiem. Teraz zachodziła w głowę, jakim cudem jej psychika mogła pomieścić w jednym czasie tak kontrastujące ze sobą uczucia. Zdała sobie sprawę, że ten dom i wioska stały się jej domem. Że po raz pierwszy będzie skądś wyjeżdżać z podskórnym uczuciem żalu.

Spojrzała na dom Astrid i chociaż nie dostrzegła żadnych oznak życia, sam budynek wydawał się żywy. Wstała z ociąganiem i poszła na górę dokończyć pakowania. Walizka leżała na podłodze sypialni, obok dwa pudła z książkami i płytami CD. Otworzyła szufladę

nocnego stolika i wyjęła kilka przedmiotów: klamrę do włosów, mały notes, pióro. I na koniec pamiętnik, który dostała od Astrid na urodziny.

Usiadła na łóżku i otworzyła zeszyt. Wyjmowała go już kilka razy, ale zawsze odkładała na miejsce, nie zaglądając do środka. Coś jej mówiło, że potrzebuje więcej czasu, innej perspektywy. Teraz ostrożnie go otworzyła, na początku nie czytając, tylko przyglądając się pismu: było mocne i zdecydowane, a niektóre strony miały małe rysunki na marginesach. Były szkice roślin i ptaków. Niektóre strony wydawały się pisane w kilku etapach, jakby autorka wracała do nich z dodatkowymi komentarzami i przemyśleniami. W drugiej połowie dziennika całe akapity były powykreślane, z zamazanymi atramentem linijkami. Veronika wróciła na pierwszą stronę i zaczęła czytać.

Ten zeszyt przybył na moje urodziny. Od tak dawna nie dostałam żadnej przesyłki, lecz oto jest, razem z listem. Nie rozumiem, dlaczego nie ma słowa o dziecku. Piszę co drugi tydzień, tak samo jak przedtem. Czyżby on nie wysyłał moich listów?

Ale oboje mają się dobrze, Tate i Mamele.

Veronika przewróciła kilka stron.

Ta dziewczyna odwraca teraz oczy, tak jak wszystkie inne. Dziś jest dzień prania i widzę, jak wieszka czyste rzeczy na sznurze. Jest miłą dziewczyną, ale wiem, że niedługo odejdzie.

Tvattdag

Under den hoga hinlen hanger mitt hjarta pa tork i vinden.

Dzień prania

Pod wysokim niebem moje serce wywieszzone by schnąć na wietrze.

Veronika opuściła zeszyt na kolana i spojrzała przez okno. Miała uczucie, jakby słyszała te słowa we własnych dłoniach, jak gdyby docierały do niej w jakiś sposób z milczącego domu za oknem.

On już wcale na mnie nie patrzy. Zamyka się w gabinecie na całe wieczory. Przestałam malować. Staję przed sztalugami, z pędzlem w ręku, ale w głowie mam pustkę. Zupełnie jakby mnie poraził jakiś dziwny rodzaj ślepoty.

Ale potem spaceruję nad rzeką, patrzę na rwący potok wody i kolory wracają. Tylko tam je znajduję. Nigdy w tym domu.

Kilka następnych stron zostało wyrwanych i Veronika przeciągnęła palcem po poszarpanych brzegach straconego papieru.

Jestem ciężka z moim dzieckiem, ale teraz chciałabym jakoś odwlec narodziny. Wolałabym trzymać to dziecko w sobie. Chronić je.

On by na pewno chciał, żeby to był syn. Jeżeli w ogóle o tym myśli.

Ale ja czuję w swoim sercu, że to jest dziewczynka. Postanowiłam nie prosić, żeby dostała imię po mojej matce. Chcę, żeby miała imię pasujące do tego miejsca. Chcę, żeby mogła żyć tu szczęśliwie. Jeżeli on się zgodzi, nazwę ją Astrid. Kochająca.

Veronika przewróciła szybko kartki do ostatnich czytelnych słów.

Muszę sprawić, żeby była silna. Kochająca, ale również silna bo

Nie było kropki, a druga połowa strony została wykreślona atramentem, który musiał zmoczyć papier i w kilku miejscach stalówka przedziurawiła kartkę. Veronika zamknęła zeszyt i siedziała przez chwilę zapatrzona na drugi dom. Potem wyjęła z walizki czerwoną polarową kurtkę. Owinęła delikatnie pamiętnik miękką tkaniną i umieściła zawiniątko pod wierzchnią warstwą ubrań w walizce.

Kiedy skończyła, co miała do zrobienia na górze, wróciła do kuchni i usiadła na chwilę przy stole. Światło dzienne już nikło i dom wypełniał półmrok, ale widziała, że Astrid zapaliła u siebie lampę nad stołem.

Umówiły się, że po południu pójdą nad rzekę, a potem dalej do kościoła. W Dzień Wszystkich Świętych nawet te groby, które przez cały rok trwały w zapomnieniu, zwykle doczekiwały się odwiedzin.

I świece. Veronika zachowała z dzieciństwa wspomnienie wypraw na grób dziadków. Pamiętała dzień taki sam jak ten za oknem: bezwietrzny, chłodny, spowity lekką mgłą. Wielki cmentarz w Sztokholmie rozświetlały tysiące migoczących świeczek. Spacerowała wśród magicznego pejzażu, zadowolona, że trzyma za rękę swego ojca, niepewna, czy jej uczucie podekscytowania jest na miejscu.

Veronika poszła na przełaj do Astrid. Była druga po południu i zapadał już zmrok. Kiedy zapukała do drzwi, stara kobieta otworzyła natychmiast, ubrana do wyjścia. Włożyła zrobioną na drutach czapkę i kiedy zeszła ze schodów, wciągnęła rękawiczki z jednym palcem.

Na ziemi zalegał śnieg, ale od kilku dni nie padało, i warstwa na ścieżce była wydeptana do żwiru. Astrid wzięła Veronikę pod rękę i powędrowały w dół w kojącym milczeniu.

Czuły na twarzach zimne powietrze, ale obie były ubrane stosownie do pogody, Astrid w krótki ciężki kozuch, Veronika w watowaną kurtkę z kapturem. Nie było wiatru i szły, nie spiesząc się, wolniej niż zwykle na swoich porannych spacerach. Drzewa stały nagie, cienko oszronione, pola okrywał lekki śnieg.

- W dniu mojego przyjazdu była taka sama pogoda - powiedziała Veronika. - Ale między marcem a listopadem jest zasadnicza różnica.

- Powiodła wzrokiem po leżącej niżej wiosce. Nie widać było śladów życia poza smugami dymu z niektórych kominów, wtapiającymi się w mgłę. - W marcu człowiek wie, że jeśli przetrwa, będzie światło.

W listopadzie trzeba mieć siłę, żeby przyjąć ciemność. Stodoły powinny być pełne, plony zebrane. - Astrid nic nie powiedziała, ale ich kroki w naturalny sposób znalazły wspólny rytm. - Podobno marzec jest najcięższym miesiącem. Na marzec przypada szczyt zgonów. I czytałam, że dzieci urodzone w listopadzie mają największe szanse, ich matki wzmocniło lato. Kojarzemy wiosnę z nowym życiem, a ona często przynosi śmierć.

Veronika umilkła na chwilę, potem się zatrzymała i odwróciła do Astrid.

- Dla mnie marzec był najcięższym miesiącem w życiu. Myślę,

że wiosna nie jest dla słabych. Ale miałam to lato i teraz jestem gotowa.

Jestem silna.

Astrid nie odezwała się słowem, ale kiedy ruszyły dalej, zacisnęła mocniej rękę na ramieniu Veroniki.

Wybrały ten sam szlak, co na swoim pierwszym spacerze, i kiedy wyszły z niewielkiego lasu na otwarte pola, jak wtedy przystanąły, żeby popatrzeć na skupisko domów, które przy tej pogodzie wyglądały na żałośnie opuszczone. Wokół leżące odłogiem nagie pola, ciemna glina огоłocona ze śniegu. Nie było żadnych drzew, żadnej widocznej roślinności w otoczeniu domów. Veronika miała wrażenie, jakby one wszystkie tłoczyły się ku sobie dla wzajemnego wsparcia, jeszcze bardziej rozpaczliwie, niż kiedy mijały je po raz pierwszy.

- Myślałam o tych domach - powiedziała Astrid. - A to mnie zmusiło to pomyślenia o wielu innych rzeczach. - Ruszyły dalej. - O tym, jaki sobie wybieramy sposób życia. Popatrz na wioskę i stare domy.

Wszystkie stoją w skupisku. Przypuszczam, że taka jest definicja wsi.

- Obie spojrzały przez otwarte połacie ziemi ku kościołowi.

- Ale nie przylegają do siebie jak te nowe - zauważyła Veronika.

- Stare domy wyglądają, jakby powstawały naturalnie, każdy w swoim czasie. Nie tworzą jednej grupy - są pojedynczymi, oddzielnymi domami. - Schodziły drogą ku rzece.

- Myślałam o ludziach, którzy tu żyją, w tych nowych domach - ciągnęła Astrid. - To muszą być starzy ludzie. I nie wydaje mi się, żeby byli zrozpaczeni. Ani żeby się bardzo bali. Myślę, że wiem, czego szukają.

- Astrid zadarła głowę do nieba, gdzie mgła rozmywała światło zachodzącego słońca. - Myślę, że przyjechali tutaj, żeby być ze sobą. Myślę, że są ludźmi, którzy zdali sobie sprawę, że potrzebują innych ludzi. Wyciągnęli z tego wnioski i w porę zrobili, co należy. Nim byłoby za późno.

Mam nadzieję, że się nie mylę. Myślę, że to właściwe, żeby starzy ludzie mieszkali w nowych domach, a młodzi zajmowali stare. - Poklepała Veronikę po ramieniu. - Uważam, że oni nie lgną do siebie ze strachu. Nie, oni otwierają przed sobą ramiona. I myślę, że to jest dobra rzecz.

Rzeka płynęła wolno, jak gdyby woda była w trakcie zamarzania.

Weszły na podniesiony brzeg i stały na śniegu, patrząc w dół na ciemną pofałdowaną masę wody. Wydawało się, że w głębi jest jakiś ruch, ale powierzchnia była niemal zastygła.

- Były lata, że ślizgaliśmy się po rzece na łyżwach - powiedziała Astrid. - Ale najwcześniej w styczniu, kiedy lód był bezpieczny. To nie zdarzało się co roku. Czasami lód nigdy porządnie nie twardniał.

- Wzięła głęboki oddech i spojrzała w górę. - Dopiero listopad - kto wie, co przyniesie ta zima.

Droga wzdłuż rzeki do kościoła była opustoszała. Nie spotkały żadnych samochodów, nie słyszały żadnych dźwięków. Kiedy dotarły na cmentarz, Veronikę zdziwiło to, że jej przypuszczenia się nie sprawdziły. Na niewielu grobach paliły się lampki i oprócz nich

. dwóch była tylko jedna żywa dusza - stara kobieta zapalająca świeczkę na dalekim końcu cmentarza.

Zatrzymały się przy grobie rodziny Mattsonów i Astrid wyjęła z kieszeni kurtki cztery małe świece. Pochyliła się, ustawiła je na śniegu i zapaliła. Zajął to trochę czasu - Astrid z trudem wykrzesła ogień z zapalki i musiała zapalić następną, gdy pierwsza zamigotała i zgasła.

Veronika stała z boku, pozwalając starej kobiecie dopełnić rytuału.

Kiedy Astrid wyprostowała się, lekko sapiąc, wszystkie cztery świece płonęły na śniegu.

- Była miłość. Musiała być miłość - powiedziała. - Myślę, że kiedy nabieramy przekonania, że jest stracona, ona może się zamienić w swoje przeciwieństwo. Tak bywa. Trzeba pamiętać, że nasza miłość jest w nas samych. Zawsze. - Pogrzebała w kieszeni i wyjęła chusteczkę. Wydmuchała nos. Veronika nie była pewna, czy stara kobieta płacze, czy tylko od zimnego wiatru łzawią jej oczy.

Odwróciły się i podeszły pod mur na końcu cmentarza. Astrid wyjęła jeszcze jedną świeczkę, przyklękła, a Veronika obok niej. Tablica była pokryta cienką warstwą śniegu i razem, spodem dłoni obleczonych w rękawiczki, wytarły ją do czysta.

- Wiesz, Veroniko, był czas, kiedy bałam się tu przychodzić. Teraz wiem, że bałam się samej siebie. - Ściągnęła rękawiczki, postawiła na tablicy małą świeczkę i zapaliła. Przez chwilę trzymała dłonie wokół płomienia. - Teraz już się nie boję - powiedziała, wkładając z powrotem rękawiczki.

Wróciły tą samą drogą i choć wciąż nie było późno, bardzo szybko zapadała ciemność.

- Przyjdź, kiedy będziesz gotowa - powiedziała Astrid, otworzywszy swoją furtkę. - Będę czekała.

Veronika przeszła się po domu, który już zamykał się w sobie. Wydawał się odległy i milczący. Każdy kąt został przez nią wysprzątnany, wszystko wróciło na pierwotne miejsca, i nagle ten dom przestał być jej domem. Więź została zerwana. Ona i on wyglądali następnego etapu, patrzyli w przyszłość. Nie zapaliła ani jednej lampy i kiedy podeszła do kuchennego okna, zobaczyła przez mrok ciepłe światło w kuchni Astrid. Stała długi czas bez ruchu, obserwując starą kobietę poruszającą się w kręgu tego światła. Lalkę w domu lalki.

Kiedy zjawiała się przed progiem Astrid, zaczął padać śnieg. Delikatne suche płatki wirowały luźno nad jej głową, ale wydawały się niknąć, nie dotarwszy do ziemi. W kuchni stół znów był nakryty wytworną porcelaną.

- Są pewne reguły przewidziane na tę kolację - powiedziała

Astrid, prowadząc Veronikę do środka. - Nie będzie żadnych pożegnań. To jest zwyczajna kolacja jak każda inna. - Podeszła do rozpalonej kuchni i schyliła się po kawałek drewna. - Zobaczysz, że

jedzenie, bez dwóch zdań, jest bardzo zwyczajne. Naleśniki. - Uśmiechnęła się i odwróciła plecami do Veroniki, żeby podłożyć do kuchni. - A jutro tylko pomachanie ręką, kiedy będziesz przejeżdżała - dodała, nie podnosząc głowy. - Masz się nie zatrzymywać.

Veronika patrzyła na plecy starej kobiety.

- Zgoda. Zjemy zwyczajną kolację. Chociaż wiem, że naleśniki już nigdy nie będą dla mnie zwyczajne.

Astrid roztopiła na patelni masło, a Veronika nalała do dwóch kieliszków czerwonego wina. Zamierzała postawić kieliszek gospodyni na rancie kuchni, ale Astrid wyciągnęła po niego rękę.

- Za ciebie, Veroniko - powiedziała, unosząc w toaście wino.

- Lycklig resa. Szczęśliwej podróży. - Zarumieniła się i skrzywiła z niesmakiem. - No i proszę, od razu. Nic tylko pożegnania. - Odstawiła kieliszek, podeszła do Veroniki i rozłożyła ramiona. - Mogłabym to przynajmniej zrobić właściwie - powiedziała i uściśnęła młodą kobietę. Trzymała ją w objęciach długą chwilę, aż w końcu opuściła ręce i gwałtownie odwróciła się do kuchni.

Po kolacji siedziały przy stole, słuchając muzyki. Astrid tylko raz włączyła Brahmsa.

- Jeden raz wystarczy na zwyczajną kolację. Posłuchajmy czegoś innego. - Włożyła do odtwarzacza jedną z płyt Veroniki. Potem zgasiła lampę nad stołem i świece dawały jedyne światło, sięgające nie dalej niż do ich twarzy.

- Pornogę ci posprzątać - rzekła Veronika, ale stara kobieta podniosła rękę i potrząsnęła głową.

- Mam aż za dużo czasu na sprzątanie. - Reflektując się, znów skrzywiła usta w grymasie zażenowania. - To jest za trudne, Veroniko - przyznała. - Chyba będę musiała cię prosić, żebyś już poszła. - Patrzyła w skupieniu na młodą kobietę, która wolno skinęła głową.

- Obiecuj mi, że będziesz jutro stała w tym oknie - poprosiła Veronika. - Obiecuj, że mi pomachasz.

Astrid uśmiechnęła się skąpym uśmiechem i kiwnęła głową.

- Obiecuję.

Veronika wstała i odsunęła krzesło. Obeszła stół i położyła ręce na policzkach starej kobiety, odgarniając włosy i zakładając je za uszy.

Pocałowała ją w czoło. Potem odwróciła się i przeszła przez całą kuchnię, nie oglądając się, i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Powoli ruszyła ścieżką do furtki i wyszła na drogę, gdzie lekki świeży śnieg wzbijał się w powietrze z każdym jej krokiem. Kiedy skręciła we własne podwórze, spojrzała w tył na drugi dom. W kuchni było ciemno. Uniosła rękę i pomachała. Nie miała pewności, czy jej gest został odwzajemniony, ale chciała myśleć, że tak.

Kiedy Veronika zamknęła drzwi, Astrid zdmuchnęła świece i siedziała dalej w ciemności. Choć z oczu płynęły łzy, jej twarz była uśmiechnięta. Spojrzała przez okno i zobaczyła sylwetkę Veroniki na tle świeżego śniegu. Kiedy młoda kobieta podniosła rękę i zamachała, Astrid podniosła swoją.

... nar det dagas.

... gdy wstaje dzień.

Droga wiodła przez piaszczystą połąć ziemi, naturalny pomost przecinający wodę. Brzegi były porośnięte białym mchem, ze strzelistymi sosnami pnącymi się ku jasnemu niebu.

Był marzec, jak za pierwszym razem. Ale teraz wieczór był bezchmurny i pogodny, z miękkim światłem i słońcem nad wierzchołkami drzew, które odbijało się w ciemnej toni jeziora. Wiosna przyszła wcześniej: na jeziorze nie było lodu i choć po obu stronach drogi na polach leżał śnieg, sama droga ciągnęła się suchą wstęgą w dal.

Nie było żadnego ruchu: Veronika nie widziała ani jednego samochodu od wyjazdu z Ludviki. Wypożyczone volvo było wygodne i anonimowe, ze sztucznym zapachem nowego pojazdu, jeszcze nieskażonym kontaktem z ludzkimi ciałami. Veronika nastawiła radio na miejscową stację, wiadomości wieczorne i prognozę pogody. Słuchała bardziej dźwięków niż treści - rytmu języka, znajomego i zarazem obcego. Jakby już niezupełnie jej języka. Nie zamierzała tak późno wyruszyć, ale teraz cieszyła ją jazda wczesnym wieczorem i myśl o zostaniu na noc. Miała zatrzymać się w sąsiedniej wiosce, żeby odebrać klucze od człowieka, który zarządzał majątkiem.

Gdy tylko zostawiła za sobą las i dojechała do mostu, zobaczyła dwa łosie stojące nieruchomo na małej polanie. Słońce schowało się za drzewa i zwierzęta były czarnymi sylwetkami na tle połąci śniegu i zeszłorocznej wypłowiałej trawy. Zwolniła. Przejeżdżając przez most, słyszała stłumione chlupotanie wzbierającej rzeki, a z prawej strony

widziała wodę kłębiącą się złudnie powolnym rytmem.

Miała dokładny opis domu i łatwo go znalazła. To był nowoczesny budynek z cegły stojący wśród starszych drewnianych domów pomalowanych na tradycyjny rdzawoczerwony kolor. Powietrze było nieruchome; z kominów unosiły się słupy szarego dymu. Nie słyszała żadnych dźwięków, dopóki nie zauważył jej bardzo stary golden retriever leżący koło frontowych schodów i bez przekonania zaszczekał. Podeszła ścieżką do drzwi, czując zbliżający się wieczorny ziąb. Czarne pola za domem leżały odłogiem, czekając na bronowanie.

Był sobotni wieczór i naciskając dzwonek, poczuła się trochę winna, że zakłóca spokój. Słyszała przez drzwi stłumiony dźwięk telewizji i widziała migoczące światła w oknach kilku innych domów.

Kobieta, która otworzyła drzwi, przywitała ją serdecznie i zaprosiła do środka. Gęsto umeblowane wnętrze było ciepłe i przytulne, z utrzymującym się zapachem kolacji.

- Veronika Bergman, prawda? - Kobieta wyciągnęła na powitanie rękę.

Była pulchna i niezbyt wysoka, ubrana w granatowy dres, a na nogach miała wielkie kapcie z owczej skóry. zaproponowała kawę, ale

Veronika odmówiła. Potem kobieta zawołała męża, który wyłonił się natychmiast z pokoju na końcu korytarza, jakby tylko czekał na sygnał. Był potężnym mężczyzną, wysokim i zwalistym, z otwartą przyjazną twarzą. Miał na sobie dres jak jego żona. Spodnie

opinały się na jego masywnych udach, góra była rozciągnięta na ramionach, podwinięte rękawy odsłaniały nadgarstki. Uścisnął jej dłoń szorstką, stwardniałą ręką, po czym włożył obie ręce do kieszeni dresu i odchrząknął.

- Poczyliem przygotowania wedle instrukcji. Mam nadzieję, że zostanie pani wszystko w najlepszym porządku. Cieszy mnie, że pogoda sprzyja. Nie powinna mieć pani kłopotów z wodą. - Zawiesił głos, jakby się głowił, co jeszcze może powiedzieć. - Smutne, że odeszła w taki sposób, starsza pani. Ale po prawdzie to był jej wybór, tak przypuszczam.

- Potarł ręką brodę i odchrząknął. - Chwileczkę, przyniosę pani klucze.

Zniknął za drzwiami po lewej stronie i wrócił chwilę później z dużą szarą kopertą. Podał ją Veronice i skrzyżował ręce.

- Jest tu parę dokumentów dotyczących posiadłości. Proszę je przejrzeć w wolnym czasie i dać mi znać, jeśli będzie pani miała jakieś pytania. - Wyciągnął rękę na pożegnanie. - Aha, jest tu też list od pani Mattson. Życzyła sobie, abym go wręczył razem z kluczami. - Wypuścił rękę Veroniki i schował swoją z powrotem do kieszeni, potem na moment opuścił oczy, przenosząc ciężar ciała z palców na pięty i odwrotnie.

- Powodzenia, wobec tego. - To jedyne, co powiedział na koniec.

W progu dołączyła do niego żona i oboje pomachali na do widzenia, kiedy Veronika podziękowawszy, zeszła ze schodów. Słyszała, jak zamykają za nią drzwi, i czuła, że z dużym

zadowoleniem wrócili do swojej sobotniej sielanki. Ona też odetchnęła z ulgą.

Już za furtką przystanęła na chwilę, otworzyła kopertę i wyjęła klucze. Zważyła je w dłoni. Były dwa: jeden stary, ciężki i poczerniały; drugi lśniący nowoczesny klucz do zamka patentowego. Wisiały razem na prostym kółku. Veronika wetknęła je do kieszeni i wróciła do samochodu.

Wyruszyła w krótką drogę do domu. Do swojego domu.

Ale najpierw miała do odbycia jeszcze jedną wizytę.

Podczas nie długiej jazdy zapadał zmierzch. Jasnożółte kwadraty światła znaczyły obecność pojedynczych domów wzdłuż drogi, ale minęła tylko kilka samochodów. Zwolniła na zakręcie, tuż zanim jej oczom ukazał się kościół, potem zjechała z głównej drogi w lewo i wreszcie się zatrzymała przed wyniosłym białym budynkiem. Wzięła głęboki oddech. Powietrze było chłodne, z wyczuwalnym zapachem palonego drewna. W głuchej ciszy usłyszała tylko przejeżdżający gdzieś daleko pojedynczy samochód. Ścieżką wzdłuż zachodniej ściany kościoła doszła na koniec cmentarza. Było prawie ciemno, ale śnieg, który zalegał w cieniu pod murem, zdawał się świecić bladym odbitym światłem, i jej oczy szybko przyzwyczyły się do mroku.

Niewiele grobów wyglądało na dobrze utrzymane i może na jednym czy dwóch były ślady nie dawnych wizyt. Tylko jeden był nowy.

- Kiedy opuszczę ten dom, to już na cmentarz - powiedziała któregoś dnia Astrid, gdy przechodziły obok kościoła. - Wybrałam

sobie miejsce i opłaciłam. Chciałam mieć pewność, że będę tu miała własną przestrzeń, rozumiesz.

I oto była, własna przestrzeń Astrid. Mała granitowa tablica leżąca płasko na ziemi, bez prawdziwego nagrobka. Tylko jej imię z nazwiskiem i te słowa:

... nu oill jag sjunga dig milda sanger.

Obok leżała inna tablica, tej samej wielkości i koloru, ale wiekowa, i z imieniem Sara ledwie czytelnym pod mchem i porostem.

Veronika sięgnęła do kieszeni i wyjęła dwa kawałki nowozelandzkiego nefrytu. Trzymała je w zamkniętej dłoni, czując pod palcami kształty kamieni. Były gładkie i ciepłe. Położyła po jednym na każdej tablicy. Przykucnęła i powiodła palcami po literach pojedynczego wersu na nowym granicie.

... nu oill jag sjunga dig milda sdnger.

... teraz zaśpiewam ci pieśni spokoju.

Uklękła na ziemi i trwała tak długą chwilę, przeciągając ręką po zimnej powierzchni, dopóki odległe szczekanie psa nie przerwało ciszy. Podniosła się wolno i wróciła do samochodu.

Minęła sklep, zamknięty o tej porze, z postrzępionymi billboardami niemającymi kogo informować o specjalnych ofertach. Wzięła ostatni ostry zakręt w stromą drogę pod górę. W żadnym z mijanych domów nie paliły się światła. Na grzbiecie wzgórza skręciła w lewo w nieubitą drogę, ciągnącą się wzdłuż ogrodzenia z rzędem skrzynek pocztowych. Drewniane altanki w głębi były ledwie cieniami.

Zatrzymała się przed furtką i wysiadła. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem było miękkie buczenie chłodzącego się silnika. Czuła zapach zeszłorocznych liści i mokrej gleby zamarzającej na jeszcze jedną noc.

Stała przez chwilę i patrzyła na milczący dom przed jej oczami, potem otworzyła furtkę i ruszyła ścieżką do frontowego wejścia. Żwir pod stopami był zmarznięty, twardy i suchy. Klucze obijały jej się o udo, i kiedy na ganku wygrzebała je z kieszeni, były ciepłe w dotyku. Włożyła stary klucz do górnego zamka, ale nie chciał się przekręcić; musiała docisnąć drzwi ramieniem i podciągnąć klamkę, żeby zamek w końcu ustąpił. Klucz patentowy otworzył dolny zamek bezszelestnie przy pierwszej próbie.

Spodziewała się, że powietrze w ciemnym korytarzu będzie zatechłe i wychłodzone, tymczasem weszła w ciepły półmrok: pozbawiony zapachu, suchy i kojący. Zupełnie jakby ten dom na nią czekał. Był wysprzątnany, przewietrzony i ogrzany. Był gotowy. Podniosła rękę, żeby zapalić światło, ale zmieniła zdanie i wybrała ciemność. Szła po omacku, jak lunatyczka z wyciągniętymi rękami, ale kiedy weszła do kuchni, blade światło z zewnątrz było wystarczające, żeby się mogła odnaleźć. Stała przyoknie i spojrzała na pole z płasko leżącą trawą przykrytą wysepkami zmrożonego śniegu. Oparła dłonie o zimną szybę i przycisnęła do niej czoło.

Jej dawny dom tkwił milcząco po drugiej stronie pola, z czarnymi oknami, które odwzajemniły jej spojrzenie bez oznak rozpoznania.

Na trawniku przed wejściem była dziecięca huśtawka, żywopłot wzdłuż drogi został przycięty. To już nie był dom osierocony.

Usiadła przy kuchennym stole i położyła przed sobą kopertę. Wyjęła dokumenty, potem podniosła kopertę i wytrząsnęła z niej list.

Mniejszą grubą kopertę z pożółkłego papieru, z tak wyschniętym klejem, że skrzydełko zostało zaklejone taśmą.

Była zaadresowana do niej, znajomym eleganckim pismem, choć trochę niepewnym: Till min karaste Veronzka. Do mojej ukochanej

Veroniki.

Pogładziła kopertę i wyczuła w środku jakiś guzek. Kiedy potrząsnęła nią delikatnie, na stół, z głuchym odgłosem, wypadł mały przedmiot. Złoty naszyjnik Astrid. Veronika podniosła wisiorek, a delikatny łańcuszek wpadł między jej palce. To był mały owalny medalion z wygrawerowaną na awersie gwiazdą. Przeciągnęła łańcuszek między palcami, zamknęła w dłoni medalion i położyła obie ręce na kopercie.

Spojrzała w okno.

Potem obmacała krawędź stołu i znalazła uchwyty szuflady na sztućce, w której Astrid trzymała świece. Przyniosła mosiężny świecznik z półki nad kuchnią i pudełko zapalek, które jak zawsze leżały w koszu z drewnem na opał, na samym wierzchu. Zapaliła świecę i zaczęła czytać.

Ma det bldsa god vind.

Ma det lalla vit sno.

Niech wieje dobry wiatr.

Niech sypie biały śnieg.

Viistra Sangeby, styczeń 2Moja najukochańsza Veroniko!

Siedzisz przy kuchennym stole. Znowu jest marzec. Wieczór jak tamten, kiedy przyjechałaś pierwszy raz. Zapaliłaś świecę i widzę twoje ręce na stole, trzymające tę kartkę. Twoja twarz jest jasna, ramiona odprężone. Twoje włosy opadają luźno w swojej kędzierzawej bujności, ale myślę, że mimowolnie odgarniasz je z twarzy i zbierasz na karku.

Ale mogę się oczywiście mylić. Może te słowa nigdy nie zostaną przeczytane. Albo kiedy ten list do ciebie dotrze, będziesz gdzieś w świecie. Jeśli jednak wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziesz tutaj. W kuchni, gdzie to wszystko się zaczęło. W szufladzie pod stołem są świece. Zapalki na drewnie przy kuchni. Dom powinnaś zastać schludny, ale opróżniony do niezbędnego minimum. Nie chcę ci niczego narzucać. Stawiać żądań. Chcę, żeby był podarunkiem bez zobowiązań.

Tamtego pierwszego wieczoru w marcu byłam dokładnie tam, gdzie umieszczam teraz ciebie. Przyoknie. Myślę o tym teraz jak o pierwszych wiosennych promieniach słońca na skutym lodem jeziorze.

Wydaje mi się, że lód w jakiś sposób taje od spodu. Ciepło przychodzi z góry, ale dopiero gdy głębiny pod nim się rozgrzeją, lód w końcu ustępuje. Robi się porowaty, woda zaczyna przesiąkać, i

brzezi powoli odmarzają. Patrzenie na ciebie, kiedy tu przyjechałaś, było pierwszym światłem po tak długiej ciemności. Śledziłam kontury twojej drobnej sylwetki w tunelu światła samochodu, dopóki wszystkiego nie wypakowałaś. Stałam przy oknie jeszcze długo po tym, jak zamknęłaś drzwi. Patrzyłam, jak gasną światła, jedno po drugim. I chyba wiedziałam, że powróciło życie.

Poznałaś mnie jak nikt inny na świecie. I myślę, że ja ciebie też trochę poznałam. Przez bardzo długi czas czerpałam ulgę z tego, że nic nie miałam. Nikogo. Teraz jednak wiem, że nie jesteśmy stworzeni, aby żyć w ten sposób. Nie smuci mnie, że dojrzałam do tej prawdy tak późno.

Jestem wdzięczna, że w ogóle dojrzałam. Niektórym moje życie może się wydawać tragiczne. Stracone. Ja tego tak nie widzę. Ty dałaś mi nową perspektywę. Wyciągnęłaś mnie z powrotem na światło dzienne, otworzyłaś mi oczy. Dzięki tobie lód stajał. I jestem tak ogromnie wdzięczna.

Miłość przychodzi do nas bez ostrzeżenia, i raz nam dana, zostaje na zawsze. Nigdy jej nikt nie odbierze. Musimy o tym pamiętać. Nie można jej stracić. Miłość jest niewymierna. Nie można jej liczyć w latach, minutach ani sekundach, kilogramach czy gramach. Nie da się w żaden sposób określić jej ilościowo. Ani porównywać jednej z drugą.

Ona po prostu jest. Najkrótsze muśnięcie prawdziwej miłości może nas wzmocnić na całe życie. Musimy o tym zawsze pamiętać.

Nie oplakuj mnie, Veroniko. Pamiętasz, jak powiedziałam, że to

smutne, kiedy zapominamy twarze tych, których kochamy? Teraz myślę, że nie zapominamy. Wyobrażamy sobie, że je straciliśmy, podczas gdy tak naprawdę one stały się częścią nas, dlatego nie mogą już być widziane obiektywnie. Chciałabym, żebyś myślała o mnie w ten sposób.

Wiedząc, że zawsze będę z tobą, choć może nie zdołasz przypomnieć sobie mojej twarzy.

Moja najdroższa Veroniko, z tym domem nie wiążą się żadne zadania, żadne konieczności. Masz wolną rękę i możesz zrobić z nim, co chcesz - oddać go komuś, opuścić, sprzedać. Ale mam nadzieję, że postanowisz go przyjąć. To jest dom potrzebujący miłości i szczęścia.

Zasługujący na jedno i drugie. I tak sobie myślę, że nadszedł jego czas.

Czy z tobą - jak mam nadzieję - czy z kimś innym, to nie jest takie ważne. Wyobrażam w nim sobie pełno ludzi w Boże Narodzenie, Nowy

Rok i dzień letniego przesilenia. Myślę o spokojnych letnich dniach z dziećmi bawiącymi się w ogrodzie, zrywającymi poziomki.

Ale przede wszystkim, bardziej niż o domu, myślę o tobie. To drugi raz w moim życiu, kiedy doprowadzam do rozstania z kimś, kogo kocham.

Ale tym razem to zupełnie co innego. To nie jest smutne w zwykłym znaczeniu słowa. Ja już dawno powinnam odejść. I wierzę, że ty jesteś gotowa zmierzyć się z życiem.

Żyj, Veroniko! Ryzykuj! W życiu tak naprawdę o to chodzi.

Musimy gonić za własnym szczęściem. Nikt nigdy nie żył naszym życiem; nie ma żadnych wytycznych. Ufaj swojemu instynktowi. Przyjmuj tylko, co najlepsze. Ale też szukaj tego uważnie. Nie pozwól, by życie prześlizgiwało ci się między palcami. Czasami dobre rzeczy przychodzą w taki cichy sposób. I nic, co przychodzi, nie jest pełne. Od tego, co zrobimy z tym, co nas spotyka, zależy rezultat. Od tego, co chcemy zobaczyć, co chcemy zachować. I co chcemy pamiętać. Nie zapominaj, że cała dana ci miłość jest w tobie samej, zawsze. I nikt nie może ci jej odebrać.

Chciałabym, żebyś myślała o mnie z uśmiechem. Pamiętaj, że była miłość. Chodzi o to, że pozwoliłam nienawiści wyprzeć wspomnienia.

Teraz myślę, że moje życie kończy się mimo wszystko zwycięstwem.

Pozbyłam się nienawiści.

Moja najdroższa Veroniko, to wszystko twoja zasługa. Przyjechałaś w ciemny marcowy wieczór i zasadniczo zmieniłaś moje życie. Nie mam słów, żeby ci powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna. Ten dom jest drobnym, niewspółmiernym - i potencjalnie wymagającym - szczerym znakiem mojej wdzięczności.

Dałaś mi ten odtwarzacz CD i znów puszczałam Brahmsa. Sonatę na skrzypce i fortepian, której słuchała moja matka. To też mi zwróciłaś.

Muzykę. Przedtem była cisza, tak bardzo długa cisza. A ty wkroczyłaś w moje życie i podarowałaś mi utraconą muzykę. To była

rzecz rozdzierająca serce, ale też taka cudowna. Nie znam piękniejszego utworu od tej sonaty. Słucham drugiej części i chociaż muszę przyznać, że łzy zamglily mi oczy, to nie są łzy smutne. Są kojące, ciepłe na moich policzkach. Wyglądam przez okno. Jest bezchmurny dzień, wczesne popołudnie z ciepłym ukośnym światłem na śniegu. Jest bezmierny spokój i widzę dym z kominów na dole w wiosce. Miękkie ołówkowe szare kreski na intensywnie błękitnym niebie, a nadchodzący wieczór pogłębia kolor z każdą minutą. To też jest twoim darem dla mnie. Zdolność zauważania widoku. Widzenia piękna. A to jest tak bardzo piękne.

Jestem szczęśliwa, Veroniko. I tak bardzo, bardzo wdzięczna.

Chciałabym, żebyś znalazła czas na poznanie tego domu. Myślę sobie, że możesz wnieść do niego to, co ja dostałam od ciebie. Życie. I myślę, że może ten dom da ci to, czego wydajesz się szukać. Własne miejsce na ziemi. Że bez względu na to, czy uczynisz go stałym domem, czy tylko spokojnym schronieniem wykorzystywanym od czasu do czasu, on będzie miejscem, które nazywa się domem. Miejscem, które się opuszcza i do którego się wraca. Cokolwiek postanowisz, Veroniko, to musi być dla ciebie. Nie dla mnie ani kogokolwiek innego.

Pamiętasz tamten dzień nad jeziorem, czytanie Karin Boye? Jest taki jej wiersz pod tytułem Ranek, który uważam za bardzo piękny. Ostatnie wersy brzmią tak:

... ty dagen ar du, och ljuset ar du, solen ar du, och hela det vackra, vackra vantaride livet ar duo

... bo dzień jest tobą i światło jest tobą, słońce jest tobą, i piękne, tak piękne życie, co czeka, jest tobą.

Teraz zgaś świecę i pójdz do łóżka. Śpij dobrze, moja kochana Veroniko, i obudź się jutro, witając nowy dzień.

Twoja Astrid

... och hela det vackra, vackra, udntande livet ar duJ

... i piękne, tak piękne życie, co czeka, jest tobą.

Veronika uśmiechnęła się na moment, gdy zdała sobie sprawę, że nieświadomie zebrała włosy, odgarniając je z twarzy. Ale łzy skapywały jej po brodzie na stół.

- Astrid, skończyłam książkę - wyszeptała. - Mam nadzieję, że spodoba ci się, bo to jest twoja książka. Przyjechałam tu z bagażem smutków i książką do napisania. Ty mi pomogłaś zrozumieć, że w smutkach jest też miłość, radość i śmiech, które trzeba nosić w sobie z lekkością do końca życia. Książka bardzo się różni od tej, którą miałam w głowie, ale jest napisana, i mam ją dzisiaj ze sobą, w swojej walizce. Chciałabym, żebyś tu była, po drugiej stronie stołu z kubkiem kawy w dłoniach, i słuchała, jak ci czytam. Wyrażając pochwałę lekkimi skinieniami głowy. Ale myślę, że wiesz. I pochwalasz, co napisałam.

Twoja historia powstała z poczucia naglącej potrzeby. Konieczności dopełnienia czegoś, co zaczęło się dawno temu. Uleczenia czegoś, co tak długo bolało. Więc oto jest twoja książka, Astrid.

Świeca zaskwierzała i zgasła. Początkowo dom wydawał się pogrążony w ciemności, ale teraz, przyzwyczajwszy oczy, Veronika widziała światło księżyca w pełni na śniegu za oknem, z mglistą białą poświatą wpadającą do środka.

Przyszła pora spać.

Gad natt - gad somn jag anskar er, ni alla vandringman.

Vi sluta sjunga och skiljas - vad mer om aldrig vi traffas igen.

Jag har sagt nagot litet och fattigt av det som brunnit hos mig och sa snart brinner ner, men den kadek, dar fanns, ej forgangelse vet
gad natt - gad somn at er.

Spokojnych snów chcę życzyć wam, wędrowcy wszystkich dróg.

Gdy pieśń umilknie, odejdę - gdzieś tam, gdzie spotkać nie będę was mógł.

Chciałbym czasu mieć więcej, coś jeszcze wam dać, choć sił mi już brak i swój los dobrze znam.

Lecz miłość nie zginie, ona wciąż będzie trwać. Dobranoc życzę wam.

DAN ANDERSSON, Epilog z E/terldmnade dikter

(Wiersze pośmiertne)

Słowo od autorki

Niech wieje dobry wiatr jest namacalnym rezultatem faktu, że zostałam przyjęta na inauguracyjny podyplomowy kurs pisania powieści na Uniwersytecie Auckland. Bez tego kursu zamysł książki

prawdopodobnie nigdy by się nie zrodził. Bez konstruktywnej krytyki, stałej mobilizacji i profesjonalnych rad dwojga moich opiekunów, Witi Ihimaera i Stephanie Johnson, z pewnością nie zostałyby zrealizowane.

Jestem głęboko wdzięczna im dwojgu.

Pisałam w swoim gabinecie z widokiem na linię dachów Auckland, gdzie dramatyczne zmiany światła stanowią ciągły bodziec rozpraszający. Mimo to pisanie tej książki przeniosło mnie na drugą stronę świata; w istocie najdalej, dokąd można się udać w bezpowrotną podróż. Mój rodzimy kraj zajął mi umysł z niesłychaną intensywnością, ale ta książka nie mogłaby powstać nigdzie indziej niż w Nowej Zelandii. Dystans był niezbędny.

Wiele osób wspierało mnie i dodawało otuchy: opiekunowie kursu, koledzy pisarze i przyjaciele. Dziękuję wam wszystkim, a w szczególności Lindzie Grey-Hughes, która naprowadziła mnie na pomysł napisania książki i przekonywała, że potrafię to zrobić.

Mojej redaktorce Racheli Scott - szczerze wyrazy wdzięczności. Podeszła do mojego tekstu z wszystkimi najlepszymi cechami dobrej redaktorki: zainteresowaniem, wrażliwością, starannością, cierpliwością, szacunkiem - i znakomitym poczuciem humoru. Ta książka należy również do niej. Specjalne serdeczności dla mojej przyjaciółki i pisarki Lisy M. Skoog de Lamas - życzę jej pełnego wyzdrowienia i szybkiego powrotu do pisania. Brakowało mi jej nieocenionego krytycznego oka i bezwzględnej szczerości.

Na koniec słowa miłości dla mojego męża Franka, który dał mi

swobodę i czas.

Linda Olsson

Auckland, wrzesień 2

Źródła poezji cytowanej w książce

Wymienię osoby i organizacje, którym jestem wdzięczna za zgodę na zamieszczenie fragmentów wierszy i słów piosenek. Głęboko poruszyła mnie hojność, zaufanie i życzliwość, jakiej doznałam. Moje szczególne podziękowanie dla Mats Boye, której wczesne bezwarunkowe pozwolenie na użycie obszernych cytatów z twórczości poetyckiej Karin Boye oraz na zamieszczenie moich własnych przekładów;’ ośmieliło mnie do zabiegania o wszystkie inne pozwolenia.

Fleur Adcock; Rolfowi Almerowi zarządzającemu spuścizną Bo Bergmana; Monice Kempe, zarządcy spuścizny Erika Blomberga;

Mats Boye za cytaty z wierszy Karin Boye; Bricie Edfelt za wersy Demaskering (Zdejmwowanie maski) Johanna Edfelta; AL1S, organizacji zarządzania prawami autorskimi w Szwecji, za prawo do wykorzystania ustępu wiersza Grekland (Grecja) Gunnara Ekelofa; profesorowi

Erikowi Allardtowi za cytat z Ljust i morlet (Światła w ciemności) Ragnara Ekelunda; Ainie Enckell za zgodę na zamieszczenie urywka wiersza Bast bygges (Najlepiej buduj) Rabbe Enckell; Gósta Fribergowi; Larsowi Grundstrómowi za wersy Ma - (Maj-) Helmera

Grundstroma; Susannie Gulin za fragment wiersza Skuggan i rummet

(Cień w pokoju) Ake Gulin; Funduszowi Powierniczemu Hjalmar

Gullberg & Greta Thott za pozwolenie na użycie fragmentów wierszy

Hjalmara Gullberga: Lag din hand i min om du har lust! (Kładź swą rękę na mojej, jeśli chcesz) oraz Manniskors mote (Ludzkie spotkanie);

Erlandowi Hemmerowi i Marie Louise Hemmer za urywek wiersza

Jarla Hemmera Stilla kval! (Spokojny wieczór); Bengtowi Lagerkvistowi za zgodę na wykorzystanie cytatów z wierszy Para Lagerkvista

Vem spelar i natten? (Kto gra w nocy?) i Solig stig ar ful! av under (Słoneczna ścieżka jest pełna cudów); Ehrlingförlagen AB za pozwolenie na umieszczenie fragmentu piosenki Vzsa vid midsommartid (Piosenka na letnie przesilenie) Rune Lindstrom; Finlands svenska författareforening (Stowarzyszeniu Autorów Szwedzkich w Finlandii) za prawo do wykorzystania urywka Ensam under fdstet (Samotna pod firmamentem) Arvida Mórne i wiersza Jag var ett speglande vatten (Byłem lustrem dla wody) Emila Zilliacusa; Margaret Orbell za zgodę na wykorzystanie przekładu wiersza Matai rore au (Pieśń miłosna) przypisywanego nieznanemu plemieniu maoryskiemu; Zarządowi Powierniczemu Ovravid za pozwolenie na

zamieszczenie ustępów wiersza

Venera von Heidenstama M!1nljuset (Światło księżycy);
Notfabriken

Musie Publishing AB za prawo do wykorzystania fragmentu
piosenki

Veronica do słów i muzyki Cornelisa Vreewijka,
copyright©1968 Multitone AB, by Warner Chappell Musie
Scandinavia AB, wydane za zgodą Notfabriken Musie Publishing AB.